PISMA
H. SIENKIEWICZA

PISMA

HENRYKA SIENKIEWICZA

III

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

		Rs.	k.
Tom I.	Stary sługa. — Hania. — Szkice węglem. — Janko muzykant	1	—
	w oprawie .	1	40
Tom II.	Listy z podróży (po Ameryce) I	1	—
Tom III.	Listy z podróży II. Komedya z pomyłek .	1	—
	w oprawie .	1	40
Tom IV.	Przez stepy. — Orso. — Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela. — Czyja wina? — Za chlebem	1	—
	w oprawie .	1	40
Tom V.	Latarnik. — Niewola tatarska. — Janioł. — Na jedną kartę. — Bartek zwycięzca . .	1	—
	w oprawie .	1	40
Tom VI—IX.	Ogniem i mieczem. 4 tomy	4	—
	w oprawie .	5	60
Tom X—XV.	Potop. 6 tomów	6	—
	w oprawie .	8	40
Tom XVI—XVIII.	Pan Wołodyjowski. 3 tomy . . .	3	—
	w oprawie .	4	20
Tom XIX.	Ta trzecia. — Sachem. — Sielanka. — Walka byków w Hiszpanii. — Z puszczy Białowieskiej. — Wycieczka do Aten	1	50
	w oprawie .	1	90
Tom XX.	Wyrok Zeusa. — Z wrażeń włoskich. — Organista z Ponikły. — U źródła. — Lux in tenebris lucet! — Bądź błogosławiona! — Pójdźmy za nim! — Listy o Zoli	1	50
	w oprawie .	1	90
Bez dogmatu. 3 tomy		5	—
	w oprawie .	6	20
Listy z Afryki. 2 tomy z illustracyami		4	—
	w oprawie .	5	50
Rodzina Połanieckich. Powieść 3 tomy		5	—
	w oprawie .	6	20

Pisma
Henryka Sienkiewicza

Tom III

Listy z podróży po Ameryce
(dokończenie)
Listy z Rzymu, Wenecyi i Paryża
Komedya z pomyłek

Warszawa
nakład Gebethnera i Wolffa
1896

około pięćdziesięciu, wyglądający zupełnie tak, że gdybym go spotkał w której z moich wycieczek, bez wahania chwyciłbym za rewolwer. Ubrany był we flanelową koszulę, w spodnie ze skóry daniela i w podarty meksykański kapelusz, którego wystrzępione kolisko zakrywało twarz zarosłą i groźną. Skoro Maks poznajomił nas wzajemnie, skwater uścisnął silnie moją rękę i wyrzekłszy zwykłe „Halo!“ odszedł zaraz do wąwozu rozniecić ognisko i przygotować dla nas wieczerzę, my zaś z Maksem zajęliśmy się rozsiodłaniem naszych mustangów, które przywiązaliśmy na długich lasso do drzewa. Konie poczęły chrupać koniczynę, obficie rosnącą pod dębami; my zaś, zapaliwszy fajki, siedliśmy pod namiotem, czekając na wieczerzę.

Począłem przyglądać się okolicy. Czarne, spiętrzone masy gór otaczały naokół kotlinę, z której jedyne wyjście na północ i na południe stanowił łożysko głębokiego, górskiego strumienia. Okolica wydała mi się nad wszelki wyraz dzika i ponura. Urwiska skalne zwieszały się nad kotliną w ogromnych, tytanicznych złomach, narzuconych jakoby z bezładną wściekłością jedne na drugie. Zdawało się, że lada chwila wszystko to porwie się i spadnie na dno doliny. Noc jasna powiększała jeszcze dziką fantastyczność wszystkich kształtów. Promienie księżyca obrzucały srebrnym szlakiem brzegi skał, których czarne, nieruchome sylwety rysowały się na rozświetlonem tle z dziwnie twardą wyrazi-

stością. Głosy nocne powiększały jeszcze posępny urok otoczenia. W rozpadlinach skał, pokrytych drzewami, beczały złowrogo i chrapliwie dzikie koty; czasem ozwał się puhacz, czasem zachrapały konie. Pies mój, nie przywykły do podobnych wzruszeń, podniósł pysk na księżyc i zaczął wyć; oswojony borsuk wdrapał się gwałtem, jakoby ze strachu, na moje kolana, ja zaś byłem upojony i prawie zupełnie szczęśliwy. Mimo iż przegalopowałem około trzydziestu mil angielskich na niegodziwie noszącym mustangu, mimo iż nie czułem w sobie żadnej kości, za nic nie poszedłbym za przykładem Maksa, który, rozciągnąwszy przed namiotem kołdrę, położył się na niej i usnął. Odechciało mi się i spać i jeść, a natomiast rozmyślałem tylko, że najdawniejsze marzenia moje z lat dziecinnych zmieniły się w rzeczywistość.

Zawsze marzyłem o tem, abym kiedykolwiek w życiu mógł ujrzeć owe kraje bezludne jeszcze, w których potężne siły natury, niepohamowane ręką ludzką i rozbujałe, żyją jak chcą, tworzą co chcą i panują absolutnie. Spojrzeć twarzą w twarz, oczyma w oczy naturze zupełnie pierwotnej, wedrzeć się w głębie dziewiczych lasów i stepów opisywanych przez Coopera, był to ideał szczęścia, do którego wzdychałem w ukryciu oddawna. Teraz miałem to wszystko przed oczyma. Pierwotna natura otaczała mnie zewsząd, ogarnęła całego, pochłonęła moje

zmysły i umysł. Mogłem się w niej rozpuścić i zginąć, jak kropla marna deszczu w oceanie.

Dziś zdaje mi się, że podróż moja rozpoczęła się naprawdę dopiero od chwili, w której przybyłem w te góry; czyż bowiem można nazwać podróżą przebieganie mórz w pysznych okrętach, lub stepów w wygodnych wagonach Pulmana... — dalej zatrzymywanie się po hotelach, zwiedzanie miast i tym podobnie? Jakaż to rola takiego, ucywilizowanych stron, badacza-podróżnika? Wiozą go jak pierwszy lepszy kufer — ot i wszystko. Jedyną czynną rolą, jaka mu pozostaje, jest wydawanie pieniędzy. Ale w tych górach prawie bezludnych, a przynajmniej leżących po za cywilizacyą, rola podróżnego odmienna i bezwarunkowo czynna. Jedynym pasportem i biletem na podróż jest twój własny karabin; jedynym sposobem przenoszenia się z miejsca na miejsce twoje własne nogi, lub nawpół dziki mustang, którego ile razy chcesz dosiąść, tyle razy musisz naprzód nawpół udusić w skrętach lasso; który nie zaniedbuje żadnej okoliczności, aby cię wierzgnąć, chwycić zębami, i który toczy przerażonem, krwawem okiem, skoro tylko do niego się zbliżysz.

Tu przytem za przewodnika służy ci twój własny instynkt, sypiasz pod gwiazdami w rozpadlinie skalnej, którą własnemi rękoma musisz poprzednio oczyścić ze skorpionów i węży; grzejesz się jeśli sam napalisz ogień, jesz co sam upolujesz; jednem okiem śpisz, drugie gubisz w ciemnościach, badając

niebezpieczne ich głębie; zrywasz się na lada szelest; chwytasz za karabin, gdy pies zawarczy i zjeży sierć na karku.

Krótko mówiąc, podróżujesz jak prawdziwy mężczyzna; wszystkie pierwiastki twej dzielności, nie zmarnowane życiem miejskiem, wchodzą w grę z niebezpieczeństwem. Wszystko, co się staje, staje się przez ciebie, dzięki twemu męstwu, energii i przezorności. Ani na chwilę nie możesz być biernym. A przy tem jeszcze jedno: nietylko przypatrujesz się, ale odkrywasz. Przyznacie mi, że jedynie taką podróż można nazwać podróżą prawdziwą, czynną i twórczą.

Całe dnie i miesiące takich podróżniczych warunków miałem teraz przed sobą, ponieważ owe góry: Tamiscal, Santa Ana i San-Bernardino, w które przedostałem się po wielu usiłowaniach, leżą po za ucywilizowanym kalifornijskim pasem. Ów pas ciągnie się z północy na południe, brzegiem morskim od Oregonu, aż do miasta San-Diego, leżącego prawie już na granicy między właściwą Kalifornią, a tak zwaną Lower-Kalifornią, półwyspową i należącą do Meksyku. Na północy, zwłaszcza koło San-Francisco, ów szlak cywilizowany szeroki jest i obejmujący cały kraj od oceanu Spokojnego aż do grzbietów Sierra-Nevada, stanowiących granicę od złotodajnej, ale posępnej i pustej Nevady. Kraj w tem miejscu dobrze jest zaludniony, nie gorzej nawet niż Królestwo Polskie. Śliczne doliny, leżące między

pasmami gór środkowych, jakoteż i same góry, pokryte są siedliskami ludzkiemi. Gdym kilka miesięcy temu patrzył o wschodzie słońca ze szczytu Mount-Diablo na okolicę leżącą u nóg moich — z różowej mgły porannej wynurzyła się z jednej strony szmaragdowa toń morska zatoki, z mnóstwem masztów, żagli i różnobarwnych chorągiewek; z drugiej cały kraj budzący się ze snu, ale tak wdzięczny, że chyba i szatan nie kusił piękniejszym ze szczytu urwiska Chrystusa. W zielonych dolinach błyszczały złote i srebrne taśmy wijących się strumieni, na dolinach miasta pełne wież, których iglice i gałki całował pierwszy promień wschodu: więc ogromne San-Francisco, mniejszy Oakland, Heywards, Benica, kalifornijski New-York, Brooklyn, San-Leandro, Sant-Mateo, Vallejo, Martinez, San-Pablo, z drugiej zaś strony stołeczne Sacramento, oblane czerwonemi falami rzeki tegoż nazwiska.

Z samej już ilości wymienionych miast, leżących w promieniu oka naokoło Mount-Diablo, możecie miarkować, jak kraj obficie w tych miejscach jest zaludniony. Gdyby nie niebo dziwnie błękitne nad moją głową, gdyby nie zbyt ciepły oddech porannego wiatru; gdyby nie kolibry i wielkie złote motyle, wijące mi się nad głową; gdyby nakoniec nie Feb zbyt palący i promienny, co wszystko już wpółzwrotnikową krainę zdradzało, mógłbym sądzić, że spoglądam np. z wieży św. Guduli na okolice Brukselli, tak kraj był uprawny, tak podobny do je-

dnego ogromnego ogrodu i tak gęsto zasiedlony. Między miastami farma bielała przy farmie; to znów młyny wodne, to wietrzne studnie, podobne do naszych wiatraków; to płuczkarnie złote, długie po kilka mil angielskich, a wszystko to utulone w zieleń mirtów, cyprysów i drzew gumowych; zatopione w zwojach bluszczów, lianów, dzikiego wina, lub zdobne palmami rozpościerającemi nad ludzkiem siedliskiem, nakształt opiekuńczych ramion, swoje szerokie liście.

Ale zstępując od San Francisco ku południowi, aż do San-Diego, ten ucywilizowany, zaludniony i uprawny szlak zwęża się coraz bardziej. Przyczyną tego nie jest mniejsza urodzajność gleby, bo przeciwnie, brzeg morski zamieszkały mniej jest żyzny od pustych jeszcze canionów górskich; nie żyzności więc ziemi szuka ludność tutejsza, ale przedewszystkiem blizkości miast, zwłaszcza portowych, w których mogłaby znaleźć łatwy zbyt owoców swojej pracy, i dlatego też kupi się głównie koło brzegów. Najważniejszą jednak przyczyną jest mała, na ogół wziąwszy, ludność Kalifornii. Na sześć tysięcy mil kwadratowych jest tylko siedmset tysięcy mieszkańców, wobec czego nie jest rzeczą ani nienaturalną, ani dziwną, że odleglejsze ziemie, choćby nad wszelki wyraz hojne i bujne, nie są jeszcze zajęte.

Gdy posuwając się od Anaheim na wschód, w kierunku gór, koń twój przebiegnie szerokie i piaszczyste koryto rzeki Santa-Ana, wiedz o tem,

że wyjechałeś już ze stron ucywilizowanych, w których ziemia jest rozdzielona i stanowiąca prywatną własność, w których społeczeństwo żyje pod prawem Stanów Zjednoczonych, stosunki są uregulowane, a własność ziemska oznaczona. Po prawej stronie tej rzeki zaczynają się ziemie rządowe, zrzadka zamieszkałe przez skwaterów, lub Indyan, po większej części jeszcze nie zajęte i oczekujące pionierów. Jedynem prawem, zresztą z powodu uczciwości i oświaty skwaterów nigdy nie stosowanem, jest tu straszliwe prawo *lynch*, dające się chyba wyrazić w słowach nie ząb za ząb, nie oko za oko, ale za wszelki zamach, tak przeciw osobie, jak przeciw własności, jedna tylko kara: powróz.

Ziemie te podzielone są na tak zwane klemy, czyli kwadratowe cząstki, zawierające 160 akrów. Właściwie jednak podział ten nie jest pomiarem, bo w oddalonych płoninach gorskich nigdy jeszcze nie postała noga inżyniera, ale raczej prawem dozwalającem każdemu Amerykaninowi, lub kandydatowi na obywatela Stanów Zjednoczonych, brać wymienioną ilość ziemi na pożytkowanie, pod warunkiem zapłacenia rządowi w ciągu lat dziesięciu po półtora dolara za akr. Po upływie tego czasu, pożytkowanie, czyli tak zwany *usus*, zmienia się już w bezwarunkową własność, którą można sprzedać, darować, wydzierżawić, słowem, robić z nią co się podoba. Konieczność płacenia rządowi istnieje zresztą na papierze, w rzeczywistości bowiem, skwatera,

który ziemię wolną zajął, obronił i zabudował, choćby grosza za nią nie zapłacił, żadne prawo wyrugować nie jest zdolne.

Wobec tak dogodnych warunków, wobec łatwości zajmowania ziemi, przy którem niemasz żadnych prawnych kłopotów; wobec wreszcie tego, że doliny owe i hale pokryte po największej części odwiecznymi lasami dębów, platanów i laurów, bajecznej są prawie urodzajności: zdawałoby się, że ludność skwaterska powinna się roić i mrowić, a jednak tak nie jest. Mówiłem już o głównej przyczynie: ludzi niema! Zbiegłaby się zapewne liczna i goła, a niemająca nic do stracenia gawiedź emigrancka, ale na przeszkodzie temu stoją niezmierne odległości, dzielące Kalifornię od Stanów zachodnich, i przedewszystkiem to, że podróż nad brzegi oceanu Spokojnego, już nie z Europy, ale z New-Yorku, Filadelfii, Waszyngtonu lub Bostonu, kosztuje więcej niż dwa klemy, za które, jak wspomniałem, płaci się przez lat dziesięć.

Co zaś do Amerykanów osiadłych z miastach, są to bez wyjątku tak zwani businessmeni, czyli ludzie, trudniący się przemysłowemi lub handlowemi sprawami, którzy w osiedlaniu się w górach i na pustkowiach żadnej nie widzą korzyści materyalnej; względy zaś poetyczne, jako to: malowniczość położeń, samotność, niezmącony spokój i życie na łonie natury, są to rzeczy, za które prawdziwy Yan-

kes nie da i pięciu centymów. A przytem w te śliczne doliny górskie dróg niema.

Nazwa hiszpańska *canion* oznacza, ściśle mówiąc, wąwóz. Gdy taki wąwóz rozszerza się nagle lub stopniowo w ten sposób, że tworzy obszerną kotlinę, otoczoną naokoło amfiteatrem gór, wówczas daje dość miejsca pod gospodarstwo pastewne, pszczelnicze, a nawet rolne. Ale najczęściej takie polany leżą w głębi pasm, wejście zaś do nich stanowi jedynie koryto potoku. Jest to poprostu ogromna szpara, czyli jak nazywają na Ukrainie „jar“, na dnie którego szumi po kamieniach woda, boki zaś utworzone są ze skał wznoszących się czasem na dwieście i trzysta stóp prostopadle w górę. Nic posępniejszego, jak takie gardła potoków. Na dnie panuje wieczny mrok, szczyty bowiem skał, posiadające warstwę rodzajną, pokryte są drzewami, których konary częstokroć stykają się z sobą nad potokiem i przysłaniają oku wędrowca niebo. Miejscami dziki chmiel, dzikie wino, lub liany przerzucają się z brzegu na brzeg, łączą się, plączą, duszą wzajemnie w ramionach, tworząc festony zieloności tak grube, że światło dzienne zaledwie przez nie na dół dochodzi.

Podróżnemu często zdaje się, że posuwa się naprzód jakimś podziemnym korytarzem. Tam, gdzie przez szczelinę w górze można dojrzeć błękit niebieski, tam rozweselający ten widok zmącony jest łopotaniem skrzydeł sępów, kruków, orłów i po-

sępnem ich krakaniem, przejmującem smutkiem i trwogą.

Z takich to rozpadlin wreszcie dolatują, po zachodzie słońca, owe złowrogie beczenia i ryki, których nieprzywykłe nerwy prawie wytrzymać nie mogą. Gdy słońce gaśnie na szczytach, wszelka dziez górska schodzi poć wodę do potoku: więc naprzód jelenie, antylopy, dalej koziorożce z sierpiastymi, prawie końca grzbietu sięgającymi rogami, i małe, biało nakrapiane kózki górskie. Za niemi dopiero ciągną drapieżcy tych gór: srebrny i czerwony kuguar przesuwa się cicho w mroku, niby jakiś szarawy wąż; z rozpadliny skalnej podnosi głowę ryś-ostrowidz i toczy ognistemi oczyma. Po drzewach skrada się plebs szarawych żbików, czasem znów zdala dojdzie odgłos spadających ze zrębu skalnego kamieni: — to posępny despota tych gór — szary niedźwiedź, wlokąc ociężałe kroki, idzie zanurzyć w strumieniu uznojone żarem dziennym cielsko.

Miejscami łożyska tak są zawalone większemi i mniejszemi bryłami kamieni, że nietylko już wozem, ale i konno niepodobna przez nie przejechać, tembardziej, że kamienie wiecznie pokryte są wilgotnym i oślizgłym mchem.

Zimą, w czasie pory dżdżystej i na wiosnę, podczas ogólnego wezbrania wód, strumienie owe zmieniają się w rwące potoki, i wówczas mieszkańcy canionów są zupełnie od reszty świata odcięci. Skut-

kiem tego w canionach trzeba żyć dziko: o wygodach ucywilizowanego życia marzyć nawet nie wolno.

Prócz tego, prawda: rozszerzenia się canionów czyli doliny, śliczne są i urodzajne; łatwo je zająć, łatwo przyjść, wynaleźć kąt, w którym jeszcze człowieka może nigdy nie było, i powiedzieć sobie: to moje! Własności, jakby na bezludnej wyspie, nikt tu nie zaprzeczy; łatwo więc wziąć ziemię, ale żyć na niej nie łatwo. Skwater jest zwykle człowiek ubogi, pozbawiony żony, dzieci, więc samotny. Taki człowiek przychodzi w góry, wybiera canion, który mu się najlepiej podoba, i mówi sobie: „tu osiędę.“ Ale żeby osiąść, potrzeba wybudować dom; skwater prócz siekiery, piły i świdra nie posiada zwykle innych narzędzi. Drzewa wprawdzie nie brak na chatę, ale jak tu się wziąć do niego, gdy canion szumi jedną puszczą stuletnich drzew, o pniach na kilka stóp średnicy i o szczytach zagubionych gdzieś w chmurach. Czarny, ogromny dąb wznosi się obok białokorego platanu, dalej dąb siwy, to znowu hicoro o słojach tak twardych, że siekiera odskakuje od nich, jak od kamienia; dalej laur, wszystko to zaś tak owinięte w wężowe sploty lianów, tak powiązane ze sobą, natłoczone, że puszcza zdaje się być jedną zbitą masą, w którą możesz niemal uderzać obuchem, jak w ścianę. Wyobraźmy sobie teraz, jakie trudy musi ponosić osadnik, ażeby oczyścić jakie takie miejsce na chatę i dziedziniec, pościnać ogromne drzewa, uprzątnąć ich zawały,

Dalej przy stawianiu chaty, co za olbrzymich sił potrzeba, aby, nie mając znikąd pomocy, zaciągać jednemu człowiekowi belkę na belkę, krokiew na krokiew, po cieńsze drzewa należy czasem chodzić milę lub dwie drogi i ciągnąć je następnie po niegodziwem łożysku strumienia, dźwigając przytem na plecach ciężki karabin, bez którego ruszyć się niepodobna, raz dla obrony, a powtóre dla upolowania czegoś na pożywienie. Widzimy z tego, że samo postawienie chaty przechodzi już prawie siły ludzkie; nikomu więc nie może się wydawać dziwnem, że skwaterów bardzo jest niewielu i że na życie takowe puszczają się albo tułacze cudzoziemcy, którzy, przybywszy bez znajomości języka i środków pieniężnych, a nie chcąc zgodzić się na jakąkolwiek zależność, nie mają nic innego do roboty; albo rozbitkowie z życia, ścigani prawem; albo nieszczęśliwi, szukający samotności; albo nakoniec natury wyjątkowo awanturnicze, które taką dziką niezawisłość cenią nad wszystkie skarby świata.

Ale jak pasterz brakuje owce i słabsze oddala ze stada, tak życie w podobnych warunkach brakuje skwaterów. Słabsze osobistości padają w nierównej walce: pospolicie też skwaterowie bywają ludźmi ogromnej siły i niepospolitego hartu ducha. Możnaby rzec, że cywilizacya wysyła swoich atletów, aby jej torowali drogę w puszczy. Powyższe jednak przymioty skwaterów, w terytoryach zamieszkałych przez dzikich Indyan, przeciwważone są

przez wady, które czynią z tych przodowników postępu ludzi arcy-niebezpiecznych. Krwawe zajścia z czerwonoskórymi i potrzeba używania co chwila noża lub rewolweru, rozwijają w nich dzikie namiętności i okrucieństwo, a przytem szorstkość posuniętą do grubiaństwa, z niepewności zaś jutra wyradza się lekkomyślność. Właściwie nawet mówiąc: skwater w New-Meksyku, Aryzony, Indian-Terytoryum nie jest osadnikiem, ale trzebicielem lasów. Zebrani w oddziały po kilkudziesięciu ludzi wynoszące, skwatorowie tamtejsi wyszukują nietkniętych siekierą puszcz i nie dbając zresztą czy takowe należą do Indyan, czy do rządu, czy nakoniec do prywatnych kompanii, wyrąbują je, ładują w postaci tratew i galarów na fale Red-River, Rio-Colorado, Rio-Grande i spławiają do miast najbliższych. Po sprzedaniu drzewa, skwater, czując kieszenie wyładowane złotemi dwudziestodolarówkami, oddaje się pijaństwu i absolutnemu próżniactwu w mieście lub najbliższej wencie dopóty, dopóki nie straci ostatniego centa, a potem dopiero gdy już goły jak mysz kościelna, udaje się znów na pustynię.

Nie potrzebuję dodawać, że życie takie pełne jest często bardzo krwawych wypadków.

Pustynia nie jest tak bezludna, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Prócz skwaterów, włóczą się po niej traperowie, to jest ludzie robiący sobie rzemiosło z polowania i awantur; wakerosi, to jest

strażnicy stad lub karawan kupieckich; prości drapichrustowie, czasem górnicy, a nakoniec w peryodzie wędrówek bawołów większe i mniejsze oddziały Indyan, polujących na te zwierzęta, a gdzie się da i na skalpy.

Skwaterowie stykają się ustawicznie z tymi ludźmi. Czasem przyjaźnią się z nimi i piją w wentach leżących na szlakach; czasem zasię, przy sangwinicznym temperamencie i pochopności do bójki stron obu, przychodzi do formalnych bitew, staczanych z indyjską przebiegłością, a z zawziętością średniowieczną. Przytem wogóle skwater, czując się silnym, wolnym jak ptak, słowem królem pustyni, pogardza wszystkimi innymi ludźmi i w zetknięciu się z nimi jest zawadyaką i brutalem, z którym niepodobna się nie pobić. Wyzywa wszystkich, nie boi się nikogo i niczego, drży tylko przed jedną na świecie istotą, przed tak zwanym: *uncle lynch*, wujaszkiem lynch, jak powszechnie nazywają na pustyni straszne to prawo.

Sama nazwa: *uncle*, wujaszek, dowodzi, że skwaterowie uosobili owo pojęcie z humorem, ale w niemal tenże sam sposób, jak Hindusowie siłę niszczącą w postaci Szywy. Skwater, choćby najzuchwalszy, czuje, że *lynch*, jakby bóg jaki, jest od niego bezwzględnie silniejszy. Jakoż najstraszliwszy ten ze wszystkich wujaszków wujaszek jest zarazem i pobłażliwym i nieubłaganym. Pozwala on zabić skwaterowi każdego Indyanina na „polu wojennem“; po-

zwala zabić bezkarnie każdego w kłótni, przechodzącej w bitwę; pozwala zabić przez zemstę za brata, swata lub pobratymca czyli brata ślubnego; pozwala uważać wszelki bezwzględnie las za dar Boży, z którego każdy równe ma prawo korzystać; pozwala wreszcie na osobistą swawolę: ale za wszelkie zdradliwe targnięcie się tak na osobę, jak i na własność, w widokach osobistej korzyści, karze bezwzględnie śmiercią, często zbyt nawet okrutną.

Ale jakiekolwiek ono jest, to dzikie prawo, w każdym razie wypłynęło ono z poczucia solidarności między białymi ludźmi i z poczucia potrzeby sprawiedliwości, dwóch podstawowych warunków, na mocy których wszelkie społeczeństwo przechodzi ze stanu dzikiego do cywilizacyi. Wspominałem już, że gdy ziemia pusta się zaludnia, a bardziej złożone stosunki wymagają bardziej złożonych praw, tak karnych jak i cywilnych, lynch wnet ustępuje ogólnym kodeksom Stanów Zjednoczonych. Jednakże zdolność do samopomocy tak jest niejako amerykańskiemu ludowi wrodzona i tak wielka, że nawet w zupełnie już urządzonych państwach, rząd i policya z trudnością wstrzymuje ludność od wymierzania w ważniejszych wypadkach samej sobie sprawiedliwości. Każdy obywatel jest tu przejęty zamiłowaniem dobra publicznego, że każdy osobiście za jego stróża, a zatem za sędziego, policyanta i wykonawcę sprawiedliwości się uważa. Przykładów na

to mógłbym przytoczyć mnóstwo. Gdy przed kilkunastu laty rozbójnik Joachim, Meksykanin, na czele kilkunastu ludzi grasował na całej długości Kalifornii, to nie policya, która wówczas nie była ani dość liczną, ani dość sprawną, ale ludność cała, siadłszy na koń, ścigała go z taką zaciętością po stepach, w niedostępnych puszczach, w dzikich wąwozach górskich, że mimo tych naturalnych kryjówek, któreby tysiącom ludzi mogły dać schronienie, Joachim został schwytany i powieszony, opryszkowie zaś wybici po lasach, jak wilki. Częstokroć wprawdzie czytamy o wojnach z małemi pokoleniami indyjskiemi, prowadzonych tak niedołężnie, że trwają całe lata, ale wojny te prowadzą i umyślnie przewłóczą generałowie w widokach osobistych korzyści, gdy jednak zniecierpliwiona ludność chwyci za broń, wówczas biada czerwonym hajdamakom: kryjówki ich są odkryte, wigwamy zburzone, ludność wycięta, i wojna w parę dni skończona.

Słyszałem o bardzo niedawnych wypadkach, w których ludność tutejsza, bez żadnej pomocy ze strony rządu, dawała sobie rady. Przed dwoma laty zdarzyło się, że w samem Anaheim dwóch Indyan zaciągnęło do winnicy i zamordowało młodą żonę jednego z obywateli. Nazajutrz, całe miasto było już na koniu w polu. Tradycya lynchu zbudziła się jak drzemiący lew i zaszumiała nad indyjskiemi głowami, jak burza. Prawda, że kilkunastu ich zostało niewinnie zabitych, ale na resztę padł taki

postrach, że sami wyszukali winowajców i oddali ich pospólitemu ruszeniu. Ale pocóż szukać takich przykładów, kiedy lada kradzież, lada krowa, owca lub koń porwany pojedynczemu farmerowi przez Meksykanów, wystarcza, aby wszyscy jego sąsiedzi porzucili najpilniejsze roboty, najpilniejsze sprawy, narazili się na stratę czasu, pieniędzy i nie wypuścili z rąk rewolwerów, póki strata nie zostanie odbitą i zwróconą.

Wobec podobnej energii Amerykanów, przy zajmowaniu naprzykład nowych terytoryów, zamieszkałych poprzednio przez warcholską ludność meksykańsko-indyjską, zawieruchа trwa zwykle parę lat, to jest póty, póki się owa ludność raz i drugi dobrze nie sparzy na swych złodziejsko-rozbójniczych przedsięwzięciach. Później następuje spokój taki, jakiego próżnoby szukać gdziekolwiek w Europie, i w czasie którego możesz podróżować wszędzie, nietylko bez rewolweru, ale z workiem pieniędzy na plecach. Nie wyłącza to jednak burd, które owa przyrodzona krewkość i energia czyni częstszymi jeszcze, niż gdzieindziej. Ale to inna rzecz. Gdy dwóch obywateli uzna za stosowne popodbijać sobie wzajemnie oczy kułakami, lub wyzwawszy się na pojedynek, zapolować na siebie z karabinami, ogół obywateli nie wdaje się w to wcale, mówiąc, że to ich tylko business. Dalej w niektórych Stanach dzikość sekt religijnych wywołuje nadużycia; w innych znowu, które przez długi czas

były przez białych i czerwonych wydzierane sobie wzajemnie, zaprawiona na krwi ludność niełatwo wyrzeka się lynchu i nie łatwo poddaje się prawu; nakoniec namiętności polityczne występują tu ostrzej niż gdzieindziej, ale są to rzeczy przechodnie: taż sama energia, która je wywołuje, później uśmierza je i wezbrany potok do naturalnego koryta sprowadza.

W każdym jednak razie, gdy sobie pomyślę, jak naprzykład prowadzone przez merów na pasku, prowincye francuskie straciły głowę, gdy w czasie wojny od Paryża je odcięto; gdy wchodząc do naszych stosunków, przypomnę sobie, ileż-to razy tworzą się u nas całkiem uorganizowane szajki złodziei, kradnących konie, a ślamazarna i niezdolna do żadnej inicyatywy ludność nie przedsiębierze nic i czeka zmiłowania się Bożego, ogarnia mnie smutek prawdziwy i wolę tę yankesowską republikańską energię, razem z wszelkiemi jej nadużyciami. Nie chodzi mi w tem rozważaniu naszej niezaradności o pojedyncze uczynki i szkody, ale o wnioski, które stąd można wyciągnąć, że bujność wewnętrznego życia i samodzielność bardzo już w starej Europie zamarły, i że trudno tam stawiać kroki, bez jakiegokolwiek paska. W Ameryce przeciwnie: samodzielność i energia rozkwitają i potężnieją coraz bardziej. Nie można przytem powiedzieć, aby przyczyną tego rozkwitu była wolność i decentralizacya, na których urządzenie Stanów Zjednoczonych jest

oparte, bo tak wolność, jak i decentralizacya, jeżeli niezawodnie do rozwoju powyższych przymiotów dzielnie się przykładają, to znowu i same tylko wobec nich są możliwe. Też same urządzenia gdzieindziej może zgoła inne wydałyby owoce, ostateczna przyczyna jest więc inna, a jest nią zajmowanie ustawiczne krain dzikich, lub przez dzikie ludy tylko zamieszkałych. Oczywiście, do krain tych ludność nie przychodzi z urządzeniami społecznemi; ale musi być sama dla siebie rządem, sądem, policyą; musi być sama dla siebie wszystkiem, a przytem walczyć jeszcze z siłami natury, z krwiożerczemi plemionami, w których to herkulesowych walkach zdolność do samorządu, wolności i decentralizacyi jak najsilniej się wyrabia.

Ów więc straszny *oncle lynch* nietylko jest fantastyczno-rozbójniczym wytworem i nietylko dlatego o nim wspominam, aby moje mniej więcej wiekowe czytelniczki mogły wykrzykiwać: ach! na kanapie, okazując przytem delikatność swych nerwów i czułość serca: przedmiot to nietylko dobry, jako motyw do powieści, ale fakt godny bliższej uwagi filozofa i historyka. Jest-to Drakon, który idzie przed Solonem; jest-to dyktator, który po kilku leciech rządu musi złożyć władzę, z nią pęki rózg i siekiery i zdać nieraz ciężki rachunek ze swych rządów: nakoniec, jest-to twarda szkoła, z której młody naród wychodzi dziwnie zahartowany, czujący swą siłę jak lew, kipiący jak puhar wina i zdolny do

tych czynów męskich a ogromnych, przed którymi... skłonić nam głowy.

Co rzekłszy, ściągam cugle własnym myślom i wracam do skwaterów. Owóż skwaterowie New-Meksyku, Arizony, Indyan-Terrytory, są tacy, jak *lynch* — ludzie twardzi, bartowni, burzliwi, ale dotrzymujący zawsze słowa, solidarni i brzydzący się wszelką zdradą. Skwater kalifornijski ma ich przymioty, nie mając ich wad. Tamci są trzebicielami lasów i koczownikami: on jest osadnikiem; tamci żyć muszą ustawicznie jak gdyby na stopie wojny; w Kalifornii panuje spokój. Wszystko to daje mu pewne cechy, po których łatwo go odróżnić nietylko od skwatera żyjącego z tamtej strony Sierra-Nevada, ale wogóle od każdego amerykańskiego obywatela. Jest to dżentlemen zwykle potężnego wzrostu i potężnych ramion, posępny, groźny, małomówny, ale spokojny, skłonny do rozmyślań, i po największej części religijny. Samotność, olbrzymie spiętrzone skały, potężna a dzika natura mimowiednie wpajają mu pojęcie o majestacie i wielkości Bożej. A przytem serce ludzkie musi coś kochać, skwater więc, nie widując często po całych miesiącach twarzy ludzkiej, kocha kornie a głęboko tę niewidomą a dobrą rękę, która rankiem rozciąga zorzę różaną na niebie, każe wschodzić i zachodzić słońcu, wiosną rzuca potop kwiatów na stoki górskie, a dębom i całej puszczy każe śpiewać jakoby nasze: Święty Boże, Święty mocny.

W stosunkach z ludźmi skwater bywa zimny, ale do wysokiego stopnia prawy, jak zwykle bywa człowiek, który nic od nikogo nie potrzebuje i który zwykł sam sobie wystarczać. Ludzie bywają złymi z potrzeby, skwater nie ma potrzeby kłamać, oszukiwać, podchodzić, jeżeli bowiem nie umie się zadowolnić swojem życiem leśnem, porzuca je, wraca do miasta i zakłada business; jeżeli zaś umie, to rozmaite dobra światowe, w pogoni za któremi ludzie porzucają drogę uczciwą, nie mają dla niego wartości. Nakoniec praca, ciężka nad wszelki wyraz, z toporem w puszczy, usypia w nim lub zabija te wszelkie namiętności i popędy, które w życiu miejskiem nieraz prowadzą ludzi na rozdroża.

Oczywiście są to cechy dodatnie, zebrane ogólnie. W pojedynczych indywiduach dochodzą one do mniejszej lub większej potęgi, bywają często równoważone przez rozmaite nałogi i wady, albo i zgoła przez nie zabite. Skwaterowie n. p. meksykańscy, trudniący się, w zapadłych kątach górskich, hodowlą świń, która-to hodowla nie wymaga żadnej pracy, przejmują wiele z natury tych zwierząt; skwaterowie irlandzcy bywają zawadyakami, opojami i pieniaczami, wyszukującymi umyślnie po pustkowiach sąsiadów, aby było się z kim procesować; jednakże między Amerykanami czystymi znalazłem ludzi tak pod każdym względem wzorowych, że wyglądali mi prawie na postacie wyjęte z powieści.

Wszystkich ich razem wziętych jest jednak bardzo mało. We dwa miesiące po przybyciu w góry, poznałem ich wraz z Indyanami i Meksykanami kilkudziesięciu, ale osiadłych na takiej przestrzeni, na której połowa ludności gubernii warszawskiej wygodnie pomieścićby się mogła. Nie mając nic lepszego do roboty, a posiadając mustanga, który wychowany w górach, umiał po nich chodzić jak koza, włóczyłem się od osady do osady; często jednak zdarzało mi się nocować przy ognisku pod gołem niebem, w jeden dzień bowiem niepodobna mi było odbyć drogi. Indyanie, którzy zresztą trzymają się po kilku, i Meksykanie zajmują się głównie hodowlą, Amerykanie pszczołami. Pszczół nie trzymają w barciach, jak to u nas na Litwie, ale w ulach ramkowych, zbudowanych i urządzonych według najnowszych systemów. Gospodarstwo to pszczelne, gdyby nie trudność przewozu, przynosiłoby znaczne korzyści; jakoż i przynosi je, ale tylko w osadach, naokół których ludność jest gęstsza, drogi lepsze, i które, właściwie mówiąc, niegdyś były osadami skwaterskiemi, obecnie zaś są farmami urządzonemi na podobieństwo wszystkich innych w Ameryce.

Odleglejsi skwaterowie, lubo częstokroć w miód bogaci, z trudnością go sprzedają. Z niektórych miejsc można go przewozić we wjukach na koniach lub mułach, z innych jednak potrzeba nosić na rękach. Swoją drogą, same tylko wschodnie stoki

gór Santa-Ana, a raczej caniony: Sant-Jago, San-Joachim, Alissa, Trabuca, Madera, lubo w przeogromnych częściach jeszcze puste, wydają setki tysięcy funtów miodu i wosku rocznie. Niema bo też może nigdzie na świecie stron, w którychby pszczelnictwo mogło się tak rozwijać i kwitnąć, jak owe góry. Same caniony, obszerne a zamknięte ze wszystkich stron szczytami, stanowią jakby naturalne pastwiska pszczelne, z których pracownice nie mogą rozlatywać się po świecie, rozpraszać i ginąć. Środkiem doliny płynie zwykle potok, albo jak tu nazywają *creek*, zacieniony, chłodny, kryształowy a nie grożący topielą. Przez głównego potoku, w pomniejszych wchodzących do canionu wąwozach i gardzielach, wije się mnóstwo strumyków, których srebrne wstążeczki brzęczą po kamieniach i skałach, tworząc to jakby maluchne w miejscach szerszych jeziorka, to znowu kaskady, tak wdzięczne, jak owe gry wodne, ręką artystów pourządzane w Wersalu. Lekki powiew wiatru, wiejący zawsze w południe, rozwiewa w mgłę te wodne warkocze, chłodząc niby deszczem upał i znój dzienny. W miesiącu lipcu, gdy żar niebieski dochodzi do stu dwudziestu i więcej stopni Farenheita, woda w strumieniach jest tak zimna, jak gdyby płynęła z jaskiń lodowych, a dzieje się to tem, że zwykle łożysko nakryte jest zieloną kopułą, utkaną z dzikiego chmielu, hanów, powojów tak gęsto, że promień

słoneczny prawie wcale przez oną zasłonę nie przenika.

Są też tam całe zielone jaskinie, tak wielkiego uroku, iż nieraz, gdym się w nie chronił przed upałem, zdawało mi się, że lada chwila zobaczę chorowód nagich nimf lub dryad, bo w głowie nie mogło mi się pomieścić, ażeby te miejsca, tak cudne, miały być puste i milczące.

Chociaż nie były jednak zupełnie milczące, bo kapela pszczelna grała mi nad uszami bez przestanku. Widziałem małe żółtawe pszczółki i większe, tak zwane włoskie, czarno-prążkowane, jak siadając na kwiatach do powojów, to wreszcie na żółtych kwiatkach bluszczów, zamiatały nogami słodki pył i obładowane odlatywały do ulów. Czasem zalatywał kolibr, mający kształt i ruchy owadu, i zwisnąwszy na skrzydłach nad pochylonym kielichem, zanurzał weń swój długi nakształt igły dziobek. Za pszczołami ciągnęły pszczołojady, spore i złe ptaki, z szarym grzbietem i zielonawą piersią; przedrzeźniacze kołysały się na prętach lianów, naśladując głosy ptaków i zwierząt; wreszcie cudne błękitne płaszcze i całe tysiące górskich kuropatw przychodziły pić wodę w strumieniu i zadzierać przytem głowy do góry, na wzór pijaków, którym napój bardzo smakuje.

Owóż więc pszczoły znajdują tu i wodę i dosyć pokarmu wszędzie, a to tembardziej, że przytem stoki gór pokryte są w ciągu całego roku mnóstwem

najpyszniejszych kwiatów. Od upału zabezpieczają skwaterowie dobytek swój, stawiając ule pod cieniem czarnych dębów. W tych wszystkich doskonałych warunkach mnoży się też i rozrasta miododajna trzoda z niesłychaną szybkością. Zakupiwszy pięć lub sześć ulów, można dojść w ciągu kilku lat do ogromnej pasieki. Jakoż nietylko sprzedaż miodu i wosku, ale głównie sprzedaż ulów stanowi źródło dochodów skwaterskich. Kupują je farmerowie, zamieszkali na całej długości między górami i oceanem. Prawda, że trzeba te ule nieraz przenosić po jednemu na plecach, ale skwater nie lęka się żadnej pracy.

Wogóle jednak odleglejsi skwaterowie, zamieszkali po niedostępnych canionach, mają daleko więcej miodu niż pieniędzy, to jest mają go czasem dziesięć razy tyle, ile mogą sprzedać; ale też z drugiej strony, potrzeby skwatera tak są ograniczone i tak mało odległe od potrzeb człowieka żyjącego dziko, że pieniądze wyłącznie prawie tylko na zakupno prochu i ołowiu przydać mu się mogą.

II.

Wracam do opowiadania osobistych moich wypadków.

Siedziałem tedy przed namiotem owej pierwszej nocy przyjazdu, podziwiając w milczeniu ogromną

przyrodę, gdy nagle z zadumy wyrwał mnie głos gospodarza, dochodzący z głębi parowu. Oba z Neblungiem podnieśliśmy się i zeszli na dół. W parowie połyskiwało ognisko z drzew laurowych. Robinson zaś zajęty był pieczeniem, a raczej wygrzebywaniem z popiołu udźca jeleniowego, który upiekł na nasze przyjęcie i którego pyszna woń napełniała powietrze. Reszta jelenia, a raczej cały jeleń, pozbawiony tylko uda, wisiał opodal na drzewie, a płomień ogniska odbijał się w jego szklanych otwartych oczach. Prócz tego, na węglach gotowała się w blaszanem naczyniu woda na *japan thee* (dżapan thi), czyli japońską herbatę, jakiej powszechnie używają ubożsi ludzie w Kalifornii. Gdy pieczeń była wyjęta z popiołu i z pod odkrojonej nożem spalonej powierzchni wyjrzało różowe dymiące wnętrze, zasiedliśmy do uczty. Była to prawdziwie homeryczna uczta; okrwawione bowiem płaty mięsa braliśmy rękoma, rozkrawając je tylko z pomocą myśliwskich noży, czyli tak zwanych: *bowie-knifes* (boi naif), od których Indyanie przezwali białych „długie noże“. Przytem i otoczenie mogło przypominać przedhomerowe wąwozy Pindu lub Aety. Niedaleko nóg naszych płynął z szelestem po kamieniach potok; naokół ogromne złamy kamieni, o które poopieraliśmy się plecami; w środku ognisko rzucające krwawy blask na poblizkie dęby rosnące w rozpadlinach skalnych, a dalej złowroga mroczna głąb puszczy.

Skwater od czasu do czasu dorzucał suchych gałęzi laurowych, a wtedy w ognisku powstawał trzask, iskry sypały się złotym deszczem i biegły gasnąć w ciemnościach, a podsycony płomień buchał do góry i oświecał nasze twarze, nasze karabiny i nasze psy, siedzące opodal i odprowadzające łakomemi oczyma każdy kawałek mięsa, które nieśliśmy do ust.

Chwilami zdawało mi się, że jestem na jakiej romantycznej operze, w której sam śpiewam barytonową rolę alpejskiego rozbójnika. Zaczynało się też istotnie dla mnie życie nowe, w którem z czasem rozmiłowałem się do tego stopnia, że jeśli przyjdzie mi później zamienić je na inne, uczynię to ze smutkiem i z niechęcią.

Księżyc świecił nad naszemi głowami tak, jakby chciał z własnej powieki wyskoczyć; promienie jego łamały się na szczytach drzew z odblaskiem ogniska; opodal szumiała puszcza; strumienie jęczały po kamieniach; z ciemności dochodziły głosy zwierząt; wszystko to było tak piękne, romantyczne i malownicze, że mimowoli czuło się skrzydła przy ramionach i żal robiło się młodych lat marnowanych na bruku miejskim, w małem kółku zajęć, spraw, a często wśród małych ludzi.

Z początku siedzieliśmy w milczeniu. Skwater z natury był małomówny; ja nie umiałem sobie dać rady z własnemi wrażeniami, gadatliwe zaś usta

Neblunga tak były zapchane jeleniną, że niecierpliwe słowa nie miały się którędy przedostać.

Uważałem jednak, że skwater spoglądał na nas z nietajoną radością. Jakoż zrozumiałem to, gdy skończywszy jeść, rzekł:

— Dwa miesiące nie widziałem już twarzy ludzkiej.

— Mówiłem ci, Dżak — odparł, wskazując na mnie, Neblung — że dżentlemen pragnie zabawić tu parę tygodni. Dżentlemen jest podróżnikiem: jeździ po świecie, a co widzi, zaraz opisuje w *Polish News-Papers* (Gazecie polskiej). Dżak! słyszysz? ja już jestem opisany w *News-Papers*. Dżak! raduje mnie to! Pilnuj dżentlemena, ażeby nie zaginął w tych górach, a i ty będziesz opisany. Dżak! będą o was wiedzieć na drugiej półkuli.

Skwater mniej zdawał się być czułym na tak rozgłośną sławę, ale wyciągnął do mnie rękę, w której, nawiasem mówiąc, dłoń moja skryła się jak mysz w pułapce, i począł dziękować mi, że wybrałem jego sadybę, jako środkowy punkt wycieczek. Odpowiedziałem na to, aż zbyt po europejsku, że i ja również się cieszę z poznania tak dzielnego dżentlemena, ale obawiam się, abym bytnością moją nie przyczynił mu kłopotów i ciężarów.

— Kłopotów i ciężarów! — zawołał, śmiejąc się, Neblung. — Dżak! słyszałeś o kłopotach i ciężarach?

Mówiliśmy z dżentlemenem o tem jeszcze w Lan-

ding. Mówiłem dżentlemenowi wyraźnie: ja znam Dżaka; Dżakowi zapłaty nawet proponować nie można, bo on raczej będzie to uważał za dobrodziejstwo.

— Zapłaty nie wziąłbym od nikogo — odparł na to skwater — a co do przybycia twego, sir, nie mogę inaczej patrzeć na nie, jak na szczęśliwy dla mnie traf. Zaraz powiem dlaczego. Oto sprzykrzyło mi się już w namiocie. Zimą, w czasie deszczów, niezbyt to wygodnie, więc postanowiłem sobie wybudować dom. Wzniosłem już ściany prawie pod dach, ale robota to niemała. Nad każdą deską przychodzi mi po parę dni pracować. A przytem tu blizko niema innych drzew, jak po parę stóp średnicy, muszę więc dość daleko wyszukiwać pni cienkich. Pracuję po kilkanaście godzin dziennie, obok tego muszę jeszcze palić ogień, gotować dla siebie i dla psa, obrządzić moje kozy i konia, a co najgorsza, chodzić na polowanie. Poprostu czasu mi brak, a jak nie idę na polowanie, nie mam co jeść. Mogę, nie ruszając się z namiotu, strzelać kwels (kuropatwy), ale kwels wkrótce się przykrzą. Mam także zapasy suszonej jeleniny, ale i to nie lepsze. Jeśli więc, sir, zechcesz, jak to czynią wszyscy podróżnicy, polować, to nietylko czasu mi oszczędzisz, ale będziesz mnie jeszcze karmił świeżem mięsem.

— Zresztą inna rzecz gościnność w mieście — przerwał Neblung — a inna w canionach. W mieście daję gościowi stancyę, za którą mógłbym wziąć

pieniądze, daję mu brekfest, lunch i obiad; to wszystko kosztuje, a tu? gość to dwie ręce i jeden karabin więcej, a przytem towarzystwo ludzkie coś warte. Dżak, jabym się tu wściekł, żyjąc tak samotnie. Jakim się to sposobem dzieje, Dżak, że ty się nie wściekniesz także?

— Przyzwyczaiłem się — odparł skwater — ale przecież czasem bywa ciężko, zwłaszcza gdy przyjdzie pora dżdżysta i niema co robić. Wszakże, sir, zabawisz w górach aż do deszczów? — spytał, zwracając się do mnie.

Odpowiedziałem, że nie wiem, istotnie bowiem i wówczas nie wiedziałem, i teraz nie wiem, gdzie się będę za parę miesięcy obracał. Za rok będę może w Warszawie, a może w San-Pablo. Podróżomania jest jak wszystkie inne nałogi. Pierwszy krok najtrudniejszy, a potem popycha już jakaś dziwna siła, jakby Żyda Tułacza, coraz dalej i dalej.

Ale tymczasem ugoda ze skwaterem stanęła. Potwierdziliśmy ją jeszcze kilkakrotnem uściśnieniem sobie ręki, przyczem za każdym uściskiem syknąłem, a następnie wzięliśmy się do picia owej *japan thee*, naturalnie z miodem, nie z cukrem. Przypomniałem sobie, że we wjukach mego konia, obok rozmaitych innych gratów, znajdują się dwie małe baryłki, jedna z brandy, druga z winem. Przyniósłszy je do ogniska, zaprosiłem obu towarzyszów. Poobwijaliśmy się w koce, zapalili fajki i, to py-

kając z cybuszków, to popijając herbatę z brandy, leżeliśmy przy ognisku i gawędzili coraz weselej. Skwater wreszcie rzekł:

— Jutro świtaniem zaprowadzę was na jelenie.

— *All right* — odpowiedzieliśmy oba.

Wówczas zaczął nas uczyć, jak należy się zachowywać. Lubo ludzi w canionach jest nadzwyczaj mało, zwierz zatem nie często bywa płoszony, przecież jelenie, antylopy i t. p. rogata czereda niezmiernie jest ostrożna. Tłómaczy się to tem, że prócz ludzi, polują na nią kuguary, rysie i żbiki. Napady takie zwykle odbywają się nad wodą; trzeba bowiem wiedzieć, że jeleń, wybrawszy raz sobie drogę wiodącą do źródła, chodzi nią już zawsze. Ścieżynkę taką łatwo poznać, ponieważ nietylko zarośla, mianowicie „czaporal“ i „czamizal“, bywają na całej jej długości porozrywane, ale nawet i w miejscach, gdzie te krzaki nie rosną, poobsuwany żwir i poobsuwane większe kamienie odznaczają się doskonale. Otóż, polując, trzeba upatrzyć ścieżkę, potem siąść świtaniem w zaroślach po drugiej stronie strumienia i czekać, póki zwierz nie zbliży się na strzał. Polowania takie bywają nawet niebezpieczne, często bowiem dwunożny myśliwiec spotyka czworonożnego myśliwca, nader o swoje prawa zazdrosnego.

Skwater opowiadał kilka takich niebezpiecznych spotkań, w których nie wiedział czy sam polował, czy też na niego polowano. I trudno było nie da-

wać tym opowiadaniom wiary, gdy rozmaite głosy dochodzące z lasu stanowiły niezaprzeczone ich prawdziwości dowody; raz zaś taki złowrogi ryk rozległ się w ciemnościach, że umilkł cały las, a i my z nim razem.

Skwater dorzucił wiązkę suchych laurów na ognisko.

— Przekleństwo na twój grzbiet i niech Bóg potępi twoją głowę! — rzekł po chwili.

— Blizko? — spytałem go, ukrywając z trudnością wrażenie i mimowoli sięgając ręką po karabin.

— Nie! Ze dwa lub trzy tysiące yardów — odparł — ale głos rozchodzi się nocą po skałach, jak gdyby to było blizko. Znam cię, piekielna!

— Cóż-to bydlę ryczy?

— *Silver lion* (puma). Biedny mój Ren!

Nalałem poraz trzeci „brandy“ do herbaty Dżakowi, sobie i Neblungowi. Potem wypytywałem o dzieje pumy i Rena.

— *Do you see, Jack?* (Czy widzisz, Dżak?) — przerwał Neblung — jacy ci podróżni ciekawi. Wszystko to będzie opisane, Dżak! i twój Ren będzie opisany w *News Papers!*

— *You are a mocking bird* (ty jesteś przedrzeźniacz) Maks — odrzekł skwater — czyniąc tem przezwiskiem przytyk do gadatliwości Neblunga. Mówię: biedny mój Ren, i nie pocieszyłbym się, chociażby „Herald“ umieścił o nim artykuł. Pies

ten, sir — rzekł, zwracając się do mnie — przyszedł ze mną tu aż z Luizyany, skąd jestem rodem. Był to zacny pies: odważny i silny! Dwa tygodnie temu, ta piekielna, która dopiero-co ryczała, sprzykrzywszy sobie jelenie mięso, podeszła nocą do koralla, w którym trzymam moje kozy. Ten hudlum (łobuz, niepoń) — mówił, ukazując na wielkiego brytana, siedzącego przy ogniu — zwietrzywszy ją, schował się w mech pod namiot, Ren zaś, choć mniejszy, rzucił się ku niej jak szalony. Porwałem zaraz za karabin, ale nim wybiegłem z namiotu, usłyszałem jej ryk i krótkie skowyczenie Rena. Strzeliłem w powietrze na strach, potem biegłem mu na ratunek z rewolwerem i z „bowie-knife", ale już było zapóźno. Puma zemknęła, Ren zaś miał wydarte wnętrzności i zgruchotany grzbiet: nogi mu tylko jeszcze drgały...

I nie wiem, czy herbata z wódką zaostrzyła żal skwatera za Renem, czy też kochał nieboszczyka tak głęboko, ale nagle urwał opowiadanie, zacisnął pięście i jął powtarzać szybko, jakoby w napadzie szalonego gniewu:

— *Goddam you! goddam you! goddam!...*

— Uspokój się, Dżak! — rzekł Neblung.

Jakoż Dżak uspokoił się wkrótce; ale ten milczący i poważny zwykle człowiek, rozgadawszy się raz, rozpłynął się w oceanie różnorodnych opowiadań. Bądź, że trochę wypił, bądź, że tak dawno nie widząc ludzi, milczał poprzednio przez całe mie-

siące, dziwił teraz nawet Maksa ową powodzią słów, tak rzadko trafiającą się u skwatera. Opowiadał, że rozmiłował się w tem swojem życiu skwaterskiem i że nie porzuciłby go za nic na świecie, pomimo wszystkich jego kłopotów. Do największych kłopotów zaliczał szkody, jakie dzikie zwierzęta czyniły mu w jego dobytku. Niedźwiadki czerwone zachodziły nieraz nocą do jego ulów, ale prawdziwe spustoszenie czyniły mu małe zwierzątka, które nazywał *ra oons*, co, zdaje mi się, że po polsku znaczy szopy; dalej, chciał trzymać kury, ale te pierwszej zaraz nocy padły ofiarą skunksów, gatunku kun tchórzów, których futra znane są zresztą dobrze u nas; miał parę świń, podusiły mu je rysie ostrowidze; nakoniec kuguary i kujoty zachodziły nocami do korallu, w którym trzymał kozy angorskie. W dzień, mówił, wszystko to tak się pochowa, że ani śladu tego w górach, ale nocą dopiero każde zaczyna swój *business*. Czasem dwa i trzy razy na noc przychodzi mi brać za karabin, dlatego też sypiam w dzień po parę godzin.

Pytałem się, czy też osobiste jego bezpieczeństwo często bywało zagrożone.

— Puma i szary niedźwiedz — odpowiadał — nigdy prawie nie rzucają się na człowieka, chyba postrzelone lub zaskoczone znienacka; kuguar rzuca się w takim razie ze strachu. Ale na polowaniach z zasadzki, przy których trzeba sprawiać się cicho, często się zdarzy spotkać nagle a niespodzianie

jedną z tych bestyi; wówczas przytomność, silna ręka i dobry „bowie-knife“ bywają jedynym ratunkiem.

— A karabin? — spytałem.

— Często niema czasu strzelać.

— Jednakże z „bowie knife“ tylko trudno wyjść bez szwanku.

— Trudno! — odrzekł krótko, i odwinąwszy rękaw od koszuli, pokazał mi niżej łokcia mnóstwo chropowatych białawych piętn i szwów. Znać było, że w swoim czasie muskuły w tem miejscu były potargane w straszny sposób.

— To już tu, w Kalifornii? — spytałem.

— Nie — odpowiedział — to jeszcze w Texas; to jaguar, który jest niebezpieczniejszy i od pumy i od czerwonego niedźwiedzia.

Wzmianka ta o Texasie naprowadziła go na wspomnienia odległej przeszłości.

Był on rodem z Luizyany, w swoim czasie był farmerem dość zamożnym; ale gdy wybuchła wojna, porzucił gospodarkę i wraz z szesnastoletnim synem zaciągnął się do armii południowej. Następnie zaczęły go trapić nieszczęścia: syn poległ, on zaś sam dostał się w ręce północnym. Po czasie niewoli wrócił do domu, ale żona tymczasem, zbankrutowawszy na farmie, musiała ją opuścić i osiadła w małem miasteczku Berwick, nad jeziorem Chestr-Machee, w południowej Luizyanie. Berwick, położone w okolicy błotnistej i wilgotnej, klimat

ma prawie jeszcze niezdrowszy, niż New-Orleans; wkrótce zatem tak on, jak i żona zapadli na żółtą febrę. Wówczas-to, skupiwszy za resztki fortuny trochę wozów i bydła, udał się do suchego Texas, ale po drodze żona mu zmarła, karawanę napadli Meksykanie i zabrali wszystko, on zaś został na stepie, prawie bez ratunku.

Nie mając nic lepszego do roboty, przyłączył się do skwaterów, którzy trzebią lasy na Brazos, Colorado i Red-River. Kilka lat żył tem życiem; zebrawszy jednak trochę pieniędzy, postanowił je porzucić i udał się do Kalifornii. Przybył tam znowu prawie bez grosza, bo po drodze wydał wszystkie pieniądze; ale na szczęście w Landing, a raczej w Anaheim, spotkał takiego *good boy*, jak Neblung, który pożyczył mu trochę pieniędzy i pomógł do założenia skwaterskiego gospodarstwa w górach.

— Odtąd żyję tu — kończył — i muszę przyznać, że ani Texas, ani Luizyana nie mogą się porównać z Kalifornią.

Przechodził więc i ten człowiek burze w życiu. Wiatr pomiatał nim, jak liściem, aż nakoniec rzucił go w to leśne zacisze, w którem nie wiem już, czy praca była większa, czy spokój. Czasem samotnik ten po parę miesięcy nie widywał twarzy ludzkiej, tak zresztą jak inni skwaterowie. W czytaniu nie szukał rozrywki, bo jakkolwiek wykształcony na wzór innych Amerykanów, nie był jednakże z książkami obyty. Było to może dla niego i lepiej, ro-

zwinięte bowiem życie wewnętrzne, a z niem rozpamiętywanie i myśl, skłonna do zagłębiania się w zagadki wszechbytu, doprowadziłyby go zapewne do drugiego bankructwa, stokroć dotkliwszego niż poprzednie. Filozof na jego miejscu byłby sobie powtarzał: oto zamknąłem rachunki z życiem: zawinąłem po burzy do portu: jestem spokojny. I byłby sobie powtarzał to dopóty, dopókiby nie zmierził sobie tej myśli, nie doszedł do nudy, zniechęcenia i przekonania, że wszystko jest czczem i marnem i niewartem zachodu. A już wtedy o pracy nie byłoby co i mówić. Ale ten prosty człowiek nie zapładniał sam siebie filozoficzną czczością: nie rozumował! Rankiem brał siekierę i szedł w puszczę, potem gotował strawę, opatrywał dobytek: nie miał może samowiedzy swego spokoju, ale owe codzienne sprawy jego żywota wydawały mu się dość ważnemi, aby warto było dla nich żyć. W ten sposób płynął mu dzień za dniem.

Był-to człowiek trzeźwy, jak wszyscy Amerykanie, jak wreszcie wszyscy ludzie, należący do ras nieprzeżytych. Samo życie mu wystarczało, refleksye życiowe w głowie mu nie postały. On nawet tego życia samotniczego sam nie wybrał, ale rzucił się w nie z musu, a pokochał je dopiero później. Pod jednym tylko względem samotność wycisnęła nań filozoficzną pieczątkę: oto niewiele sobie cenił pieniądze.

Ale cecha to wspólna wszystkim skwaterom.

Istotnie w górach, na stepach i wogóle w pustyni, gdy sięgniesz ręką do kieszeni i wyciągniesz z niej parę białych lub żółtych krążków, nie możesz powstrzymać uśmiechu i pewnego uczucia pogardy dla tej rzeczy, którą mimowoli nauczyłeś się prawie czcić w miastach, a która tam na razie nie warta naboju prochu, lub kawałka suszonego mięsa.

Drugą cechą skwatera, wspólną samotnikom, była jego pobożność. Gdy wreszcie ognisko poczęło dogasać, a sen ołowiem spadał nam na powieki, on poszedł mówić pacierz, a następnie postanowiliśmy udać się na spoczynek. Skwater chciał koniecznie ustąpić mi swój namiot, który poprostu był kawałkiem płótna rozwieszonego na gałęziach i pod którym było jedno tylko miejsce; ale ja wolałem nocować razem z Neblungiem w zaczętym domku. Gospodarz przyniósł nam kilka wiązek mchu, ja zapaliłem latarkę, znajdującą się między memi rzeczami, i poszliśmy słać sobie łóżka. Na podłodze domku było pełno heblowin, trocin i rozmaitych kawałków drzewa. Powiedziałem Maksowi, żeby odgarnął to wszystko na jedną stronę i zostawiwszy mu latarkę, poszedłem do juków po drugi koc, noce bowiem nad rankiem bywają chłodne. Z juków zabrałem wszystkie zapasy, które w nocy mogły być zjedzone przez kujoty lub szopy; następnie spojrzałem jeszcze na konie, czy się nie uplątały w lasso, gwizdnąłem na psa i wróciłem do domku.

Przyszedłszy, zastałem Maksa powtarzającego: *goddam! goddam!* i tłukącego kolbą od karabina skorpiona. W heblowinach znalazł ich kilka i wyrzucił przezedrzwi, ale ostatni zgniewał go swoją wielkością. Wkrótce nadszedł i skwater. a ujrzawszy co się dzieje, rzekł spokojnie:

— O, u mnie pod namiotem są także!

A mnie aż mrowie przeszło: — A może i w tym mchu są? — pytam. pokazując na wiązki.

— A może! — odpowiada skwater.

— A jak który ugryzie?

— E, nie, nie ugryzie!

Jakoż istotnie nie wiem, czy to robactwo mniej tu jest złośliwe niż gdzieindziej, czy też mniej jadowite, ale wiem, że tu nie robią sobie z niem zachodów.

Ja jednak wyrzuciłem resztę heblowin i przetrząsnąłem starannie mech.

— Zachodzą tu i grzechotniki — rzekł nam na dobranoc skwater — i dlatego położyłbym na okół domu lasso, ale ponieważ macie ze sobą borsuka, więc niema niebezpieczeństwa.

Jakoż tak i było. Skwaterowie, gdy przyjdzie nocować im pod gołem niebem, w miejscach gdzie jest dużo wężów, rozciągają na ziemi w krąg włosiane lasso, przez które grzechotnik nie może się przeczołgnąć. Ale obecność naszego borsuka czyniła zbyteczną tę ostrożność: zwierzętom tym bowiem ukąszenie wężów, choćby najjadowitszych nic nie szko-

dzi. Zresztą nieszczęśliwe te płazy prześladowane są przez wszystko co żyje z niesłychaną zaciętością.

Nakoniec skwater odszedł, a my położyliśmy się spać. Maks usnął odrazu, ja zaś nie mogłem. Leżąc na wznak, patrzyłem w gwiazdy, dachu bowiem na domu jeszcze nie było i wsłuchiwałem się z niejaką obawą w głosy w puszczy. Nie jestem większym tchórzem od każdego przeciętnego mieszkańca brzegów Wisły lub Niemna, ale ta noc, dzika okolica i beczenie dochodzące z lasu rozstroiły mi nerwy. Ktoby się chciał ironicznie uśmiechać na to szczere wyznanie, niech tu przyjedzie. Nie bałem się wreszcie wielkich zwierząt, ale co chwila zdawało mi się n. p. że to mech porusza się podemną: zapewne skorpion; to znów, że resztki heblowin jakoś podejrzanie wyglądają po kątach: zapewne grzechotnik. Ciągle coś podobnego! A przytem co do samych głosów nocnych: noc i cisza zbliżają je. Zdaje ci się, że te beki, miauczenia i t. p., brzmią nie dalej, jak o jakie dwadzieścia kroków; czasem słyszysz je zaraz za ścianą, czasem tuż nad uszami, a wtedy mimowoli sięgasz po karabin. Wreszcie przychodzą nerwowe rozumowania. „Dlaczegóż (zadawałem sobie pytanie, wpatrując się w czarny skraj ściany), dlaczegóż nie miałbym za chwilę ujrzeć na tym zrębie dwojga świecących w ciemności oczu, należących n. p. do puny? Może się to przez tysiąc nocy nie zdarzyć,

a jednej może się zdarzyć. Kto mi zaręczy, czy to nie ta jedna?“

Ale potem przypomniałem sobie, że puma pierwsza nigdy nie zaczepia. „A więc i ja jej nie będę zaczepiał, niech sobie żyje!“ Rozmyślając w ten sposób, czułem się tak pokojowo usposobiony do całego rodzaju pum, że chwilami zdało mi się, iż jestem ich serdecznym sprzymierzeńcem.

Przytem pocieszało mnie to, że Maks śpi zaraz przy mnie, i że niema powodów, dla których pierwsze lepsze drapieżne stworzenie miałoby zjeść mnie nie jego. Ten brak egoizmu unosił mnie tak daleko, że wystawiałem sobie najprzód, jakbym go żałował w podobnym wypadku.

Ale pominąwszy żarty, sam nie wiem dlaczego najwięcej rozstrajały mnie te głosy, co do których nie byłem pewny, jakie zwierzęta je wydają. Jeden z tych głosów wołał ustawicznie na poblizkich skałach: „a ha ha!“ byłem prawie pewny, że to jakiś ptak, zatem nic niebezpiecznego, a jednak to „a ha ha!“ dokuczało mi najbardziej. Nazajutrz dowiedziałem się istotnie, że krzyczą w ten sposób we dnie i w nocy wielkie kuropatwy górskie, zwane przez skwaterów *mountain quels*.

Nakoniec kto nie słyszał nigdy skomlenia kujotów, ten nie zdoła nawet pojąć, ile grobowych oddźwięków, ile jakiegoś niesłychanie ponurego smutku i żałoby brzmi w tych głosach. Nawet skwaterowie, przyzwyczajeni do wszelkich wrażeń pu-

styni, nie mogą się powstrzymać od klątew, słysząc te jak gdyby zagrobowe wołania i jęki. Ja również byłem już z niemi obznajmiony, bo słyszałem je wielokrotnie w Landing, a jednak przechodził mnie dreszcz od stóp do głowy.

Chwilami cały ten koncert, jakby pod uderzeniem dyrektorskiej pałeczki, milknął nagle, psy nawet przestawały ujadać, a ciszę nocną mąciło tylko chrapanie Maksa. W takich przestankach próbowałem usnąć. Jakoż zmęczenie zaczynało brać powoli górę. Gwiazdy nad głową poczynały mi się mieszać, drgać i jak gdyby podskakiwać, słuch tępiał, pojęcia, myśli i obrazy zlewały się ze sobą w sennym bezładzie: wreszcie usnąłem.

Była może północ gdym usnął, a o piątej zbudziło mnie gwałtowne szczekanie psa. Na świecie już szarzało, gwiazdy bladły. W obawie, czy jaki niebezpieczny zwierz nie zbliżył się do koni, wziąłem karabin i wyszedłem zobaczyć, co się dzieje. Rankiem nerwy bywają spokojne, przytem spałem wprawdzie krótko, ale jak kamień, zatem i wypocząłem wybornie; pełen więc ducha szedłem ku koniom. Psy czyniły ciągle straszny harmider, ale konie leżały spokojnie pod drzewami; zawróciłem tedy do domu, gdy nagle głos jakiś zawołał z pod drzewa:

— *Good day, sir!*

Był to mój skwater, który również wyszedł spojrzeć na konie i pasiekę.

Dzień dobry! — odpowiedziałem, zmierzając ku drzwiom.

— Sir, jeśli chcemy iść na jelenie, to czas.

— *All right!* Czy obudzimy Maksa?

— Niech śpi. Jemu trudno dosiedzieć spokojnie na zasadzce.

Chciało mi się jeszcze spać kannibalsko, ale wstyd mi było opuścić dla snu polowanie; opatrzyłem więc karabin, wziąłem torbę z ładunkami, następnie napiliśmy się wódki, zjedli po kawałku wczorajszej pieczeni i ruszyli w drogę.

W tych krajach, brzask ranny, a następnie świt, trwa krócej niż u nas; trzeba się więc było śpieszyć, aby stanąć na miejscu, nim zupełnie rozednieje. Szliśmy w górę strumienia po niegodziwej drodze, bo zawalonej wielkimi kamieniami, i prawie pociemku, gdyż liany rosnące na wierzchu ścian nie dopuszczały światła. Musiałem się trzymać ze wszystkich sił, aby nie upaść. Nieraz woda strumienia zajmowała całą przestrzeń między ścianami, a wówczas brnęliśmy środkiem. W pierwszej przerwie skalnej, przez którą do naszego strumienia wpadał inny mniejszy, mignął nam szarawy wydłużony cień, zapewne dzikiego kota. Chcąc okazać moją sprawność, zmierzyłem się natychmiast, ale skwater, uderzywszy dłonią w lufę, podbił mi karabin w chwili prawie, gdy miałem strzelić. Później wytłómaczył mi, że wystrzał dany niedaleko już stanowiska mógłby zepsuć całe łowy.

Przez drogę nauczył mnie jeszcze, jak się mam zachowywać, polecając szczególniej największą ostrożność, największą cierpliwość i nieśpieszenie się ze strzałem, choćby mi się zdawało, że zwierz dojrzał mnie już i pierzcha. Zapisywałem sobie to wszystko w pamięci, a tymczasem wyszliśmy na miejsce otwartsze. Zamiast ścian skalnych, z jednej strony strumienia wznosiła się dość stromo góra, której brzeg schodził w wodę, z drugiej zaś szła mała równinka, porosła zupełnie laurami. Usadowiliśmy się za dwoma najgęstszymi krzakami, z tej strony strumienia, a naprzeciwko góry. Teraz trzeba było prawie tamować oddech w piersiach. Robiło się coraz widniej. Wreszcie pierwsze promienie zorzy powlokły porośnięty *czaporalem* wierzch góry różowym szlaczkiem. Ujrzałem wtedy wyraźnie osyp żwiru i kamieni, ciągnący się przez całą długość góry od wierzchnich zarośli, aż do strumienia. Nie mogło mi się jednak w głowie pomieścić, aby zwierzę mogło zejść z tak stromej pochyłości, nie spadłszy na głowę w dół. Wkrótce jednak przekonałem się o możliwości, gdy nagle ujrzałem wysuwającą się z czaporalu głowę jelenia. Serce zabiło mi młotem i jak mogłem najwolniej, podniosłem kolbę karabinu do twarzy. Nie czas jednak jeszcze było strzelać, a przytem postanowiłem pokazać skwaterowi, że posiadam ten jeden z najcenniejszych przymiotów myśliwca: cierpliwość. Dzieliło mnie od owej

głowy wystającej z zarośli ze trzysta yardów, ale powietrze tak było przepełnione różowymi blaskami i tak przezroczyste, że widziałem ją jak na dłoni. I wtedy dopiero nabrałem pojęcia o tej niesłychanej czujności, jaką jelenie i antylopy zachowują przy zbliżaniu się do źródeł. Oczy zwierzęcia były otwarte szeroko, uszy nastawione, nozdrza poruszały się szybko, badając wonie poranne.

Myślałem, że już nigdy nie wyjdzie z czaparalu. I płynęło może dziesięć minut, a jeleń stał jeszcze, obracając głowę na wszystkie strony. Nareszcie za głową okazała się szyja, za szyją piersi, potem znów stanął nieruchomo. Nakoniec jednak ujrzałem to wspaniałe zwierzę w całej jego piękności.

Był-to samiec, mający około czterech stóp wysokości, z dużą głową, wypukłemi oczyma i rozgałęzionymi rogami, które, podnosząc głowę, zakładał na grzbiet. Skóra jego była jednostajnego płowego koloru, nie tak ciemna jak naszych saren, ale również porośnięta pod brzuchem białą szerścią; nogi cienkie i wysokie, a tylne prawie jeszcze wyższe od przednich. Wynurzywszy się całkowicie, przez chwilę jeszcze łowił uszyma odgłosy, a nozdrzami wonie; nakoniec żwir i małe kamienie poczęły z szelestem staczać się na dół. Zstępował.

Kto z doświadczonych myśliwych pamięta, jakich wzruszeń doznawał na widok wychodzącego na strzał grubego zwierza, ten rozumie, jakich mu-

siałem doznawać ja, który byłem wówczas nowicyuszem w myśliwskim zawodzie. Strzelałem przez parę miesięcy ptactwo wodne w Sebastopolu nad Kosumnes, kuropatwy i zające w Anaheim, borsuki około Orange, kujoty i ptactwo morskie w Landing, ale taką grubą sztukę, przenoszącą prawie dwukrotnie naszą sarnę, przyszło mi pierwszy raz mieć przed sobą. A tymczasem żwir i kamienie z dziwnie monotonną jednostajnością spadały i spadały na dół: zwierz zatrzymywał się co krok. Wietrzył, słuchał, patrzył. Upłynęło może z pół godziny, a jeszcze nie był i na połowie drogi: nagle zwrócił się i skoczył w tył, jakby niespodzianie spłoszony.

Wytrzymałem. Skwater nie naprożno ostrzegał mnie, że jelenie używają tego manewru, dla wywabienia z zasadzki drapieżników, mogących czyhać przy wodzie. Jakoż po chwili zwierz zaczął zstępować znowu, i znowu usłyszałem spadający żwir i kamienie; ale wszystko to odbywało się wcale nie prędzej, jak poprzednio. Dawno już cierpliwość moja nie była na tak wielką próbę wystawioną. Ręka mdlała mi od trzymania karabina, serce biło... Yardów pięćdziesiąt! czas już! szepce niecierpliwość. Yardów czterdzieści... trzydzieści, sam skwater musi się tam już dziwić, że nie strzelam! Yardów dwadzieścia pięć! nie mogę dłużej: pociągnąłem za cyngiel!

Huk wstrząsnął echem w skałach, niby wystrzał armatni. Trafiony stożkową kulą, zwierz stoczył się jak kamień na dno strumienia.

— *All right!* — rzekł skwater.

IX.

Szkice amerykańskie.

Z puszczy.

I.

Rozpoczęło się więc dla mnie w *canionie* górskim życie leśne, napozór jednostajne, a jednak nie pozbawione wrażeń. Wstawałem codziennie, gdy na niebie było jeszcze szaro, i schodziłem do wąwozu, w którym zwykle zastawałem już rozniecone ognisko i skwatera gotującego śniadanie. Przy śniadaniu wątku do rozmowy dostarczały nam wypadki nocy ubiegłej. Więc czasem zdarzały się szkody wyrządzone przez szopy w pasiece; czasem znajdowaliśmy ślady jakich większych zwierząt w pobliżu, a wtedy układaliśmy na nie polowanie i zasadzki; to znów rozmawialiśmy o zbliżającej się porze dżdżystej i potrzebie porobienia tych zapasów, które nie mogły być porobione gdzieindziej, jak w mieście, a które należało porobić wcześnie, albowiem w czasie wezbrania potoków i Santa-

Ana-River, drogi między miastem a canionami są poprzecinane.

Po śniadaniu, kończącem się zawsze przed wschodem słońca, skwater chwytał za topór i zabierał się do budowy chaty, ja zaś zarzucałem na plecy karabin i udawałem się ku jelenim ścieżkom. Bywały dnie, że wracałem z próżnemi rękoma, co zdarzało się zwłaszcza wówczas, gdy nie zachowałem należytej ostrożności; częściej jednak przynosiłem to antylopę, to koziorożca. Mięso tych zwierząt krajaliśmy na cienkie płatki i wędziliśmy w dymie, lub też porozwieszawszy na sznurze, suszyliśmy je na słońcu. O godzinie dziesiątej kładliśmy się obaj koło potoku na posłaniu z mchów i do godziny dwunastej odprawialiśmy siestę; o tej porze dnia bowiem jest tak gorąco, że nawet w zimie ani pracować, ani chodzić po górach niepodobna. Po południu, gdy wiatr, wiejący stale codzień od oceanu Spokojnego, ochłodził powietrze, brałem znów strzelbę, ale już nie karabin, jeno zwyczajną do szrutu dwururkę, i szedłem strzelać ptactwo.

Zabijałem bażanty, przesiadujące zwyczajnie w kaktusach i uciekające za zbliżeniem się strzelca piechotą, jakoteż i wielkie górskie kuropatwy, których miliony żyją na stokach i przy strumieniach. Podczas tych wycieczek spotykałem dość często grzechotniki. Płazy te lubią wyczołgiwać się na dobrze oświecone kamienie i wygrzewać się na słońcu. Zwykle uciekały, ujrzawszy mnie zdaleka,

niekiedy jednak przychodziło mi staczać walkę. Pewnego razu, wyszedłszy świtaniem, spostrzegłem na samej drodze węża. Myślałem, że płaz ustąpi mi z drogi, jak się to zwykle zdarza; ale on wyprostował się do wpół ciała i zagiąwszy głowę, począł syczeć. Mogłem mu się wtedy dobrze przypatrzeć. Sam koniec ogona jego, podniesiony w górę, poruszał się na prawo i na lewo tak szybko, że pojedyncze drgania grzechotek zlewały się w jeden dosyć wysoki ton. Wąż widocznie musiał być albo czemś rozdrażniony, albo najedzony do tego stopnia, że mu się nie chciało uciekać. Gdy jednak zachodziłem mu z boków, prostował się coraz bardziej i w miarę moich ruchów obracał głowę. Trwało to wszystko dość długo, albowiem nie widziałem w tem dla siebie żadnego niebezpieczeństwa, gdyż w ostatecznym razie łatwo mogłem uciec. Nakoniec uciąłem zapomocą *bowie knife* długi pręt laurowy i ogołociwszy go z liści, przystąpiłem bliżej. Wąż stanął wówczas jak świeca i już chciał rzucić się na mnie, gdy uderzenie pręta zabiło go na miejscu.

Odciąwszy mu ogon, naliczyłem siedmnaście dzwonków, co znaczyło, że płaz miał siedmnaście lat; zatem stary był i niebezpieczny. Od owej pory zebrałem już bardzo piękną kolekcyę ogonów, nie licząc bowiem zdobytych osobiście, dostałem ich przeszło dwadzieścia od skwaterów i Indyan. Największe z nich dochodzą do jedenastu grzechotek, chociaż często zdarzają się węże daleko starsze.

W San-Francisco np. w Wood-wards-garden widziałem węża o czterdziestu dzwonkach w ogonie.

Wracając do popołudniowych polowań na ptactwo — łupy z nich bywały prawie zawsze dziwnie obfite. Strzelając po całych dniach od rana do wieczora, a czasem nawet i po księżycu, nabierałem coraz większej wprawy. Pomagało mi przytem w czynieniu owych postępów w sztuce myśliwskiej dziwnie szybkie doskonalenie się zmysłów wzroku i słuchu. Były wprawdzie wyborne po temu warunki hygieniczne. W Warszawie pisywałem czasem po nocach do godziny trzeciej i czwartej rano; tu chodziłem spać o zachodzie słońca — wstawałem o świcie. Ale główna przyczyna owego doskonalenia się zmysłów leżała w samem tem życiu dzikiem i leśnem. Konieczność ciągłego badania wzrokiem okolicy, wpatrywanie się w gęstwiny leśne, w mroczne rozpadliny skał, natężona uwaga i dokładność, z jaką to czynić należy: oto prawdziwa gimnastyka, z pomocą której zmysł po kilku miesiącach wzmacnia się i wyostrza, jak brzytwa.

Jest-to rzecz wprawy. Toż samo należy rozumieć i o słuchu. W górach, o ile noce bywają hałaśliwe, o tyle w dzień, zwłaszcza w godziny upału, w których milknie nawet i ptactwo, puszcza jest tak cicha, jak grób. Słuch przyzwyczajony do tej ciszy niezmąconej ani hałasem i gwarem ludzkim, ani głosami stworzeń, staje się w końcu tak delikatny i wrażliwy, jak słuch więźnia pędzącego

życie w milczącej celi. Nasłuchiwanie rozważne na polowaniach i samotność ćwiczą go jeszcze bardziej. Dochodzisz w końcu do tego, że według słów Mickiewicza, słyszysz: „jako się motyl kołysze na trawie, jako wąż ślizką piersią dotyka się zioła“. Nieraz, gdym siedział i pisał w zaczętej chacie, a Dżak pracował o kilkaset yardów dalej w parowie, słyszałem jak mówił do psa, a słyszałem z taką dokładnością, że mogłem powtórzyć każde słowo. Widziałem również, kiedy wracał do domu, a kiedy odchodził dalej w puszczę. Pomagała zapewne do tego i naturalna akustyka skał, która sprawia, że wystrzał karabinowy, odrzucany przez jedną skałę drugiej, huczy tu jak grzmot i powtarza się kilkakrotnem echem, nim wreszcie rozbity o złamy, wyrwie się z parowów i uleci na bory i lasy.

Owóż więc strzelanina zabierała mi większą część dnia, ale do zwykłych zajęć moich należało i pisanie. Jakaś nieprzezwyciężona siła zmuszała mnie ustawicznie, abym dzielił się z czytelnikami tą sielanką górską, tak oryginalną, że mnie samemu zdawała się urojeniem i jakby snem jakimś, a tak rzadko trafiającą się ludziom mego zawodu, i tak zdrową, że była mi uspokojeniem wielkiem po życiu w mieście i niby początkiem drugiej młodości, zanim minęła pierwsza.

Łatwiej jednak było chcieć pisać, niż przywieść ono życzenie do skutku. Pomijając, że zesztywniałe

i pokaleczone częstokroć o skały moje palce nie chciały utrzymać pióra — były i inne trudności. Przybory do pisania wożę zawsze ze sobą, miałem je tedy i wówczas w jukach; ale zato Dżak nie miał ani stołu, ani krzesła, ani żadnych podobnych rzeczy, które nam wydają się czemś niezbędnem, a na które skwaterowie patrzą, jako na zbytkowne i niepotrzebne zniewieściałego życia wymysły. Dżak siadał na kamieniu w parowie, jadał na kamieniu w parowie, a na noc kładł się na mchu pod namiotem. Prawdopodobnem jest, że gdyby nawet i miał krzesła, nie używałby ich nigdy. Mówił wprawdzie, że wykończywszy dom, pragnie się urządzić inaczej, ale nie zaręczam, czy w tych zamiarach stoły i stołki grały jakową rolę.

Musiałem więc pomyśleć o urządzeniu sobie wygodnej pracowni, ile że niewygoda nie pozwala zebrać myśli, skupić się i oddać wyłącznie pisaniu. Z próżnego szafkowego ula udało mi się, z pomocą tylko siekiery, urządzić pyszny stół, który miał nawet i szufladę, chroniącą papier od zamoknięcia w czasie rosy nocnej, z robotą zaś krzeseł poszedłem za wzorem Meksykanów. Jeszcze mieszkając w Anaheim, zwiedzałem tak zwane estanszye, czyli osady pasterskie. Osady takie stoją na gołym stepie, składają się zaś z szałasu, bylejak skleconego z desek, a często i bez dachu — i z ogromnego ogrodzenia, czyli korallu, mogącego w sobie pomieścić kilkaset sztuk bydła, które dniem pasie się

w stepie. Meksykanie i Metysowie, zamieszkali w osadach, żyją prawie dziko. W dzień hulają konno za bydłem po stepach, wieczorem siedzą w szałasach wokół ogniska z łodyg kukurydzowych i grają w karty, kłócą się przy tem, bijąc i pijąc. Stołów i stołków nie posiadają zarówno, jak i skwaterowie, całe zaś umeblowanie szałasu składa się z czerepów wołowych, poustawianych pod ścianami. Wieczorem wakerosi stawiają je koło ogniska i siadają między rogami. Tak uczyniłem i ja. Wynalazłszy w parowie kilka skieletów wołowych, wybrałem największy czerep i przyniosłem go do domu, poczem, przywiązawszy wiązkę mchu między rogami, miałem krzesło co się nazywa, na którem mogłem rozpierać się, jak Voltaire w swoim fotelu.

Od tego czasu zacząłem pisywać prawie codziennie, i nim pewien wypadek, o którym wspomnę później, oderwał mnie od pracy, wykończyłem te wszystkie rzeczy, które wam posłałem. Tymczasem jednak spadło na mnie nowe zajęcie. Dżak Harryson, czyli mój Robinson budował dom już parę miesięcy, a było rzeczą arcy prawdopodobną, że nim wykończy dach i zaciągnie go na ściany, upłynie jeszcze czas niemały.

Byłoby to dla mnie wszystko jedno, gdyby nie to, że noce, w miarę zbliżania się jesieni, stawały się coraz chłodniejsze, nad ranem zaś padała tak obfita rosa, że wierzchni gruby koc, którym się okrywałem, bywał przemoczony, jakby po dość

ulewnym deszczu. Zaczęło mi to szkodzić, jako nieprzywykłemu do sypiania pod gołem niebem, a szkodziło tembardziej, że w dzień upały dochodziły do stu i więcej stopni Farenheita. Dżak ofiarował mi swój namiot, ale nie chciałem go przyjąć, raz że nie chciałem zabierać mu miejsca, a powtóre że namiot ten był tylko kawałkiem podziurawionego płótna, rozwieszonego na patykach i niedającego prawie żadnej ochrony. Pomyślałem zatem, że najlepiej będzie pomagać Dżakowi w budowie dachu; jakoż od tej pory echo powtarzało codziennie uderzenia dwóch toporów. Robota poczęła postępować bez porównania szybciej. Nie umiałem wprawdzie nigdy ciesiełki, i do tej pory nie mam o niej dobrego wyobrażenia, ale pomoc dwóch choćby nieumiejętnych, choćby tylko siłę przedstawiających rąk, ma w tego rodzaju pracach nieoszacowaną wartość. Poprzednio np. Dżak musiał nosić o kilka mil angielskich po jednej cienkiej belce, obecnie nosiliśmy po dwie, a nawet i po trzy, związawszy je sznurami. Wpadłem na myśl zaprzęgania do cięższych belek mego mustanga, ale okazało się to nie praktyczne, albowiem jedyną drogą prowadzącą w głąb puszczy było łożysko potoku, miejscami tak zawalone kamieniami, a gdzieindziej znów tak głębokie, że nietylko koniowi, ale i człowiekowi groziło co chwila niebezpieczeństwo upadku. Nabyłem tego konia od Neblunga za ośm dolarów, co stanowiło dość wysoką cenę, od Indyan bowiem i od

metysów można, z pomocą zwłaszcza szklanki wódki, kupić i za pięć. Ale Maks wziął go z sobą w góry wcale nie na sprzedaż, tylko z grzeczności dla mnie i dlatego, aby wracając z gór, mógł zabrać do Landing towary zakupione w Anaheim. Tymczasem, w chwili odjazdu Maksa, naparłem się kupić owego podjezdka. Maksowi nie bardzo to było na rękę, ale wreszcie wyrachował sobie, że pod towary może nająć innego mustanga, bądź w Anaheim, bądź w pierwszej lepszej farmie — i ugoda przyszła do skutku.

Pokazało się jednak później, że nie zrobiłem zbyt korzystnego nabytku. Był to wprawdzie młody, bo trzyletni koń, dereszowatej maści, dość rosły i silny, ale jak większa część mustangów, dziki i do wysokiego stopnia złośliwy. Przy kulbakach meksykańskich, wyłącznie używanych w Kalifornii, a bogdaj i w całej Ameryce, ogromne drewniane strzemiona całkiem pokryte bywają skórą, chroniącą nogi jeźdźca przed zębami konia. Jednakże, jak tylko jeździec, zapomniawszy się choć na chwilę, popuści cugle munsztuka, natychmiast stepowy biegun odwraca głowę i stara się go pochwycić gdzie może. Mój, prócz powyższych wad, miał jeszcze tę, że nie dawał do siebie dostąpić. Gdym się do niego zbliżał, chcąc go osiodłać, toczył krwawemi oczyma, stulał uszy, gryzł i kopał tak gwałtownie, że musiałem z całej siły zaciągać koło jego szyi lasso i dopiero z nawpół przyduszonym mogłem już ro-

bić, co mi się podobało. Jednakże powszechnie pierwsze tylko miesiące pożycia z koniem bywają tak przykre. Później zwierz przyzwyczaja się do jedynej istoty, która koło niego chodzi, daje mu jeść, czyści go i pilnuje. Zwolna stosunek, nie przestając być szorstkim, staje się przyjacielskim. Przez kilka pierwszych tygodni starałem się napróżno ułagodzić mego deresza; napróżno dawałem mu regulanie jęczmień, kukurydzę i koniczynę. Wyrósł, wypiękniał, ale nie przestał się płoszyć i strachać. Chwilami wpadałem już nawet w zupełne zwątpienie, czy będziemy ze sobą żyli kiedykolwiek inaczej, jak na stopie wojennej.

Tymczasem Dżak poradził mi, ażebym próbował jeszcze przyswoić go głodem. Jak powiedział tak uczyniłem. Przywiązałem umyślnie lasso krótko do drzewa, ażeby koń nie mógł się paść soczystą trawą, rosnącą zwykle pod dębami, i odszedłem. W południe napoiłem go, ale nie dałem mu jeść. Wieczorem przyniosłem w blaszance trochę kukurydzy, popuściłem lasso, i stanąwszy opodal, zawołałem: „pójdź!“ Mustang według zwyczaju stulił uszy, szarpnął kilka razy za sznur i nie myślał się zbliżyć. Zacisnąłem sznur i odszedłem. Nazajutrz rano podobna scena. Strzygł uszami, patrzył na kukurydzę, roztwierał ku niej chrapy, ale nie przyszedł. Tymczasem trawa na małej przestrzeni, na której mógł ją szczypać, była już wyjedzona. Głód zaczął mu dokuczać coraz bardziej. W południe przy-

szedł już do blaszanki i jadł łapczywie. Brałem go za uszy, w których szczególniej był łechciwy, głaskałem po łysinie: nie cofał się. Odtąd przynosząc mu obrok, rozpuszczałem lasso i stawałem coraz dalej. Przychodził zawsze, a w końcu przyszło do tego, że gdym się tylko pokazał, biegł z rżeniem ku mnie, o ile sznur na to pozwolił, wspinał się i skakał, ale już z radości, jak przywiązany na łańcuchu pies. Podczas gdy jadł, obsypywałem go pieszczotami, o które potem sam się dopominał.

Wówczas dopiero przekonałem się, co staranna i troskliwa hodowla może z konia zrobić. Jak wszystkie mustangi, tak i ten mój miał długą wichrowatą sierć, zarosłe pęciny i najeżoną grzywę. Po miesiącu starań, gdym na noc okrywał go kocem, karmił doskonale, czyścił codziennie, szyja jego zagięła się w piękny łuk, w oczach zaświecił rozum i fantazya, grzywa stała się cienką i delikatną, sierć błyszczącą, słowem zrobił się prawie rasowy koń, na którego potem Meksykanie i Indyanie spoglądali z nietajoną żądzą.

Ale tak Meksykanie jak i Indyanie wcale nie zajmują się swymi końmi. Gdy Meksykanin przyjeżdża z drogi, wówczas zdejmuje kulbakę, a konia wygania na step, jak u nas na Ukrainie czynią Kozacy — i nie chce więcej o nim wiedzieć. Nigdy nie widziałem, aby Meksykanin konia czyścił lub karmił obrokiem. Koń żyje tem, co sam znajdzie. Prawda, że na wiosnę i w zimie paszy wszędzie

jest obfitość; ale latem w lipcu i sierpniu, gdy słońce spali na proch trawy, a „prerya“ wygląda jak popękane klepisko, konie mrą z głodu i utrzymują się przy życiu tylko obgryzaniem liści wierzb i innych drzew, rosnących przy wyschłych łożyskach strumieni. Łatwo zrozumieć, że żyjąc w powyższych warunkach, mustangi muszą być złe i dzikie. Przez większą część roku, żyjąc w stadzie, nie widują twarzy ludzkiej, a gdy czasem pojawia się jeden i drugi człowiek, to tylko po to, żeby wywijać długiem lassem nad przerażonem stadem, chwytać konie, dusić je, potem dosiadać i bość takiemi ostrogami, jakie ongi w Europie nosili średniowieczni rycerze.

Gdyby nie ta dzika, stepowa, a w rzeczy żadna hodowla, mustangi, mające w sobie krew dawnych koni hiszpańskich, wnuków owych rumaków, które wraz z Arabami przybyły do Hiszpanii ze Wschodu, jeszcze w 711 roku, dałyby się wyrobić w rasę piękną i szczególniej pod siodło przednią. Dowodem tego mustangi z południowego Texasu, umyślnie tam hodowane w niektórych miejscowościach, które na wyścigach biją najsłynniejsze folbluty z Kanady i dochodzą do cen bajecznych. W ogóle jednak, mustangi nie odznaczają się pięknością. Głowę zwykle miewają dużą, czoło wypukłe, sierć kudłatą i obrośnięte nogi. Celują jednak wytrwałością. Meksykanie nigdy inaczej nie jeżdżą, jak galopem. Jak tylko koń poczuje na sobie jeźdźca, wyrzuca

przednie nogi i wpadłszy w galop, nie zmienia chodu, choćby mu przyszło biedz dwadzieścia i trzydzieści mil (angielskich) bez przestanku. Jeździec kołysze się wówczas na siodle, jak w hamaku, kręci w galopie *„cigarittas,“* śpiewa: *„o dolce amiga!“* i tylko od czasu do czasu poprawia na głowie swoje ogromne *„sobrero,“* gdy mu je powiew wiatru zbyt z czoła zesunie.

Gdy koń nie chodzi w stadzie, ale służy ciągle jednemu człowiekowi, z czasem staje się pojętny i sprawny, co szczególniej pokazuje się przy rzucaniu lassem. Gdy jeździec wypuści przed siebie sznury, wytrawny mustang zwija piorunem młynka na miejscu i poczyna z całych sił galopować w przeciwną stronę, ściągając w ten sposób pętlicę i dusząc schwytaną zdobycz. Widziałem także u niektórych wakerosów konie tak wytresowane, że na odgłos świstawki przybiegały natychmiast w największym pędzie ze stepu. Takowe jednak rzadkie są i wysoko cenione.

Mustangi sprzedawane do miast, przyzwyczajają się do zaprzęgu, ale że zwykle zaprzęgają je zbyt młodo, wyglądają więc biednie i podobnie do naszych chłopskich koni. Najlepiej jednak chodzą w jukach, który też sposób, powszechnie w stepach, do przenoszenia mniejszych ciężarów jest używany.

Mój mustang, jako juczny koń, pełnił doskonale swoją służbę. Każda kulbaka meksykańska, oprócz wysokiej kuli na przedzie, naokoło której nawija

się lasso, opatrzona jest w sześć lub nawet ośm par troków, wyrobionych z niezmiernie silnego rzemienia. Otóż do troków tych, nieraz podczas dłuższych wycieczek, przywiązywałem worek z kukurydzą, z mąką, jedną małą baryłkę z wódką, drugą z winem, prócz tego z tyłu koce i karabin, razem do stu i więcej funtów ładunku, nie licząc mnie. Z takim ciężarem koń galopował po kilka mil (angielskich), jak gdyby nic, a zsiadałem z niego tylko w takich miejscach, w których obawiałem się razem z nim kark skręcić. Gdyśmy jednak z Dżakiem, urządziwszy z postronków szleje, próbowali zaprządz go do belek, począł wierzgać i rzucać się tak zapamiętale, że odprzęgłem go natychmiast w obawie, aby się nie skaleczył. Odtąd przenosiliśmy belki, krokwie i deski własnoręcznie.

Robota desek zajmowała najwięcej czasu, albowiem w braku wielkiej piły, trzeba je było obrabiać toporem, co najprzód długo trwało, a powtóre z całego pnia wyrabialiśmy tylko jedną deskę, tak ciężką i niezgrabną, że zaprawdę podobniejszą była do cokolwiek ścienionej belki, niż do deski. Gdy nakoniec skielet dachu z krokwi stanął, przybijaliśmy te deski poprzecznie długimi gwoździmi. We dwa tygodnie wyrobiliśmy dziesięć szerokich łat, że zaś Dżak miał ich już przeszło dwa razy tyle przygotowanych, w tydzień więc skończyliśmy z dachem i chata była gotowa. Spoglądaliśmy z dumą i zadowoleniem na swoje dzieło, chociaż gdyby je

mierzyć mniej pobłażliwem okiem, przedstawiałoby wiele do życzenia. Dom składał się z jednej izby, mogącej pomieścić dwa posłania z mchu, kilka czerepów wołowych i moją pracownię. Drzwi zbudowaliśmy wprawdzie dość prawidłowo, z trzech krótkich desek, i przybiliśmy je na zawiasach, zakupionych wraz z innem starem żelaztwem przez Dżaka z Anaheim, ale okien szklanych nie było wcale. Dżak nie myślał nawet starać się o nie, albowiem klimat tutejszy usuwa ich potrzebę.

W dzień otwory w tylnej ścianie przepuszczały aż nadto światła, na noc zaś dla ciepła zasłanialiśmy je roletami z grubego płótna. Mocny, choć niezgrabny i dostatecznie pochyły dach, bronił od deszczów, zatem i wszystko było jak należy, czyli *„all right!“* Ukończywszy dom, otoczyliśmy go rowem, broniącym przystępu wężom; zaczem już nie pozostawało nic więcej, jak obsadzić go figami, pomarańczami, drzewami brzoskwiniowemi i krzakami migdałów.

Była to jednak robota na później, bo przedewszystkiem musieliśmy się zająć zgromadzeniem zapasów na porę dżdżystą. Ale tymczasem zdrowie moje poczęło cokolwiek szwankować. Ciężka i wysilona praca, na upaje dochodzącym do stu stopni Farenheita, nabawiła mnie ciężkich bólów głowy; siedzenie zaś co wieczorne przy ognisku, podczas chłodnych nocy, tak silnego kataru, że podobne chyba przed potopem istniały. Przy tem w nocy,

gdy psy szczekały zajadle, a większe jakie zwierzęta wyły wpobliżu, trzeba było wyłazić z ciepłego mchu, brać strzelbę i obchodzić z nią korall, pasiekę, czasem wystrzelić w powietrze, ale przedewszystkiem zaziębiać się niemiłosiernie. Pewnej nocy, koń mój widocznie przerażony przez kujoty, począł szarpać tak silnie lassem i tak je poplątał, chcąc zerwać, że musiałem przeszło przez pół godziny rozwikływać pozaciągane węzły. Była to godzina czwarta rano, a więc czas największego chłodu.

Zmarzłem jak sasanek i cały następny dzień musiałem przeleżeć w mchu.

Gdyby to było w innym, nie tak niesłychanie zdrowym klimacie, byłbym dostał febry lub zapalenia płuc. Ale o febrach nikt tu nigdy nie słyszał, moje płuca zaś, w przeciwieństwie do serca, zapalają się bardzo trudno. Swoją drogą poczciwy Dżak cały dzień następny gotował dla mnie „*Japan thee*," a wieczorem przyniósł mi szklankę odwaru z jakichś ziół, podobno nader skutecznych. Jakoż na drugi dzień było mi już lepiej, o tyle nawet lepiej, że o świcie mogłem pójść na polowanie.

Troskliwość i przyjaźń, jakie okazywał mi Dżak, zjednały mu moje serce. Dżak był to człowiek nie uczony, ale elementarnie wykształcony, jak każdy Amerykanin, a posiadający wiele przymiotów, rzadkich nawet w najwykształceńszych ludziach. Był jednak trochę posępny i małomówny. Wieczorem przy ognisku rozgadywał się wprawdzie; przy ro-

bocie zato w dzień nie mówiliśmy zwykle do siebie ani słowa. Taka małomówność w człowieku ze świata oznaczałaby zły i nieprzyjemny humor, ale u Harrysona było to tylko przyzwyczajenie, wynikłe z życia samotnego. Myślę nawet, że ludzi tak jednostajnego humoru, jak w ogóle skwaterowie, a w szczególności Dżak, niema na kuli ziemskiej. Zmienność usposobienia bywa zwyczajnie wpływem rozdrażnionych nerwów i niestałego zdrowia, a skwaterowie nie znają co to nerwy, zdrowi zaś są jak dęby. Przytem ogólna, wrodzona amerykańskiemu ludowi męskość charakteru i zupełny brak drobiazgowości, wyłącza w skwaterach dręczenie się błahostkami i poruszanie sobie żółci za lada powodem.

Powiedziałem, że brak drobiazgowości jest cechą ogólną Amerykanów, i powtarzam jeszcze raz, że drugiego ludu, któryby tak łączył w sobie wszelkie wady i przymioty prawdziwie męskiej natury, niema na świecie. Amerykanin nie posiada ruchliwości francuskiej, nie jest zapewne zdolny do uczuć tak delikatnych i poruszeń duszy tak subtelnych, jak np. Francuz lub Polak. Yankes bierze rzeczy z gruba: szczegóły, drobnostki i małostki nie istnieją dla niego. We wszystkiem jest to twardy mąż. Umie kochać, ale nie kwilić; umie nienawidzieć, ale nie kąsać milczkiem. Plotkami, babską gadatliwością, haftowaniem skandalicznych nowinek na kanwie czci ludzkiej brzydzi się. Gdy nienawidzi, burzy, ale nie podkopuje; gdy pracuje — wióry lecą;

gdy wydaje pieniądze, rzuca dwudziesto-dolarówki, jak liście. Nie rozumie co to oszczędzać centy. Gdy się wzbogaca, robi miliony — bankrutuje, także na miliony. Szanuje kobietę, jako najwyższy dar Boży. Często daje się jej za nos wodzić, właśnie dlatego, że nie jest drobiazgowy i że patrzy na nią, jak rozkochany lew. Nakoniec, kocha swoje *Unajted Stet* (United States), jest z nich pyszny, dumny, i gdy Rzeczpospolita w niebezpieczeństwie, nie namyśla się, nie ogląda, ale zdejmuje swój *Kentucky rifle* z kołka, ryczy jak buhaj, a staje jak jeden mąż.

Komu taka charakterystyka wyda się przesadzoną lub zbyt ogólną, temu powiem, że nie szukałem i nie znalazłem jej w wielkich miastach, gdzie wszystkie piersi przykrajają się na „jednaką miarę krawca“; ale tam, gdzie należy szukać prawdziwej Ameryki, tam, gdzie leży jej moc, jej zdrowie i jej przyszłość — to jest w małych osadach wiejskich, farmach licznych jak piasek w morzu, na pograniczach, na pobrzeżach, w górach, między ludnością miernie bogatą, a rojną, zabiegłą i bujną. O! trudno mi nawet wypowiedzieć, jaki to młody, orli i jak pełen kipiących sił wewnętrznych jest naród — i jakbym chętnie przysłał tu po zdrowie pewne znajome mi społeczeństwo, w którem dobro społeczne jest zdawkową monetą... bez kursu, w którem wszystko zmalało, energia i praca jest frazesem, mężczyźni chorują na nerwy i bezkrwistość,

a za to szermują językami, przędą i noszą swoim damom świeżo wyszłe z pieca plugawej opinii plotki.

Co do skwaterów, są to wybitne, może zbyt wybitne nawet, ale doskonałe typy, uosabiające charakter całego narodu. Osobiście jednak, mimo szorstkich pozorów, zwłaszcza skwaterowie osadnicy, są to ludzie po większej części prawi, a bardzo łagodni; albowiem żyjąc samotnie, nie doznają rozczarowań i zwątpień, zaostrzających charakter. Taką łagodność posiadał i Dżak. Temperament jego był dość chłodny, a wrodzoną mu energię, która sama z siebie mogła kipieć, pochłaniała praca. Przytem, lubo z natury mało był skłonny do rozmyślań, jednakże przez życie godne prawdziwie Robinsona wyrobiło się w nim to, co wyrabia się zwykle w samotnikach, to jest przyzwyczajenie ciągłego patrzenia na siebie i rozważania siebie. W naszych poufnych wieczornych gawędkach przy ognisku powiedział mi, iż mu się nieraz zdaje, jakoby było dwóch Dżaków: jeden, który buduje dom, rąbie drwa, gotuje jedzenie w parowie; a drugi, który nie robi nic, tylko przypatruje się pierwszemu. Powiedział to bardzo poprostu, przeplatając opowiadanie ustawicznymi wykrzykami: *by God! by God!* musiałem nawet pomagać do narodzenia się tej myśli, ale i tego było dosyć dla wyrobienia w tym charakterze pewnej, niby filozoficznej łagodności. Jeżeli, przypuszczam, Dżak zewnętrzny rozgniewał się na jakiego kujotę lub szopa i miał ochotę wy-

buchnąć — Dżak wewnętrzny spoglądał na niego spokojnem okiem, uśmiechał się z politowaniem, a może i mówił: „wstydź się!“ — i pod temi słowy wszelka myśl przekroczenia zwykłych granic postępowania gasła, jak płomień świecy pod podmuchem wiatru.

Bywa jednakże, że człowiek żyjący w samotności rozmyśla nietylko za siebie, ale i za otaczającą go przyrodę. Próbowałem dowiedzieć się: zadawał-li sobie Dżak pytanie, czy jest i jaka jest myśl w tych ogromnych skałach przerzynających skłon błękitu, w tych strumieniach narzuconych srebrną siatką na górskie rozłogi, w drzewach, w zaroślach, w świecie zwierzęcym, a wreszcie w słońcu i gwiazdach? Chciałem przekonać się: istniało-li w nim poczucie ducha natury, lub jaki pół-wid jedno-jedynej zasady wszechbytu? Nieraz zdarzało mi się czytać o takich prostakach filozofach. Takim np. był Giliat w „Pracownikach morza,“ który zaludniał w myślach powietrze niewidzialnym światem zwierzęcym, a z całą naturą tak się zjednoczył, że pokochała go i otworzyła mu swe tajniki. Ale z żalem wyznać muszę, że w Dżaku nic odkryłem nic podobnego. Jak każdy leśnik, tak i on znał swoje otoczenie, wiedział kiedy niektóre krzewy otrząsają dawne liście, aby się ubrać w nowe; znał własności leczniczе ziół i drzew; rozumiał mowę gór, gdy przysłaniając się wieczornym tumanem, zwiastowały deszcz nazajutrz rano — słowem: widział objawy

i czytał je jak drukowane słowa w książce, ale żadne: „dlaczego?“ nie przychodziło mu, jak głupcowi Heinego, do głowy. Skoro raz spróbowałem o tych rzeczach z nim rozmawiać, odpowiedział mi słowami biblii: że Pan Bóg stworzył świat, aby człowiek miał gdzie żyć i z czego korzystać.

Oczywiście, że taki pogląd, obierający jako punkt wyjścia człowieka, wyłączał wszelkie inne dociekania. Dżak był poprostu pobożny człowiek, tak zresztą, jak prawie wszyscy skwaterowie-osadnicy. Stanowiło to nawet poetyczną jego stronę. Wieczorem, gdy ognisko dogasało w parowie, odchodził zawsze trochę w górę pomiędzy kamienie, i odkrywszy głowę, wznosił oczy ku niebu i poczynał mówić pacierz. Wydawał mi się wówczas poetycznym bardzo, tą majestatyczną poezyą siły, korzącej się przed siłą jeszcze wyższą. Promienie księżyca padały srebrem na jego energiczną, brodatą twarz, o rysach jakoby wykutych z kamienia. Myślałem czasem, że żyję w pierwszych czasach chrześcijaństwa i że widzę przed sobą jakiego barbarzyńcę Cymbra, kładącego swą twardą duszę pod nogi Bogu. Obce dla ucha mego słowa modlitwy, utwierdzały mnie jeszcze bardziej w tem złudzeniu: *Our Father, who are in heaven, halloved be thy name* (Ojcze nasz etc.), mówił patrząc w gwiazdy Dżak... Potem ucinał głos, jak zakonnik czytający z brewiarza; a potem znów uszu moich dolatywał oderwany uroczysty frazes: *Give us this day our daily*

bread! Modlitwa nie trwała zwykle długo, ale jeśli w głębiach niebieskich słucha jakie ucho głosów z ziemi, to musiało słyszeć ten głos z pustyni.

Po niejakim czasie wspólnego pożycia, zaproponował mi Dżak, abym z nim został na zawsze.

— Ludzie po miastach mają daleko więcej kłopotów — mówił do mnie — a tu jest spokojnie. Dochowamy się pszczół ile sami będziemy chcieli; wytniemy dwa razy tyle puszczy, zasiejemy jęczmień i kukurydzę, zasiejemy tytuń, chatę obsadzimy pomarańczami, figami i krzewami białych migdałów. Przyjdzie czas, że ludzie tu osiędą, ziemia zacznie mieć cenę, a wówczas, gdy mnie już nie będzie, zostaniesz właścicielem mego klemu i swojego, co razem wziąwszy, utworzy taką farmę, jakiej, *by God! by God!* niema od oceanu aż do suchego jeziora. W lesie żyje się spokojnie — zostań.

Była jedna mała chwila, w której ta pokusa uśmiechnęła mi się i oczarowała mnie, jak leśna Dziwożona. Nie nęciło mnie przyszłe dziedziczenie ziemi Dżaka. Dżak nie darowywał mi nic. Kraj tam wokoło pusty, ziemia niczyja, mogłem więc tak jak każdy brać jej więcej, niżbym zdołał obrobić. Alem znajdował urok w tej sielance i w życiu z naturą, i w tym porcie tak cichym, że żadne burze nad nim nie wieją. Jednakże, po niejakim czasie, ponęta zbladła. Nieznane mi jeszcze morza, lądy i ludy, szlachetny zawód podróżnika, życie, jego walki, klęski, zwycięstwa i powaby, wreszcie przy-

szła chwila powrotu, w której strząsnę z obuwia obcy pył u progu ojczyzny: wszystko to przemówiło daleko silniej: — więc powiedziałem Dżakowi, że jak ptakiem przyleciałem w te góry, tak ptakiem z nich odlecę.

II.

Było to jakoś w drugiej połowie października. Około godziny dwunastej w południe, taka cisza osiadła na okolicy, że góry, skały i puszcze zdawały się zaklętym snem ujęte. Żaden liść nie poruszał się na drzewie. Pisząc w chacie, słyszałem jak dojrzałe żołędzie czarnych dębów urywały się z szypułek i, szeleszcząc po liściach, uderzały o ziemię. Upał był nieznośny, powietrze w domku stało się tak duszne, że po małej chwili, nie mogąc pisać, złożyłem pióro. Serce i tętna w skroniach biły mi przyśpieszonym ruchem. Nie rozumiałem, co się to dzieje: czy ja jestem chory, czy też w naturze ma zdarzyć się coś niezwykłego. Chciałem spytać o to Dżaka, ale przed godziną poszedł się był kąpać do potoku i nie wrócił jeszcze do chaty: więc położyłem się na mchu i począłem obcierać pot, który obficie występował mi na czoło.

Tymczasem stawało się coraz duszniej. Nie mogłem już wątpić, że to na mnie nachodzi jakaś choroba, gdy nagle usłyszałem zdala ciężki chód Har-

rysona. Po chwili wszedł do chaty: policzki jego były zarumienione, ale oczy jakoby przygasłe, a czoło niemniej zroszone potem od mojego.

— Co to się z nami dzieje, Dżak? — spytałem go.

— Santa-Ana-wind! — odrzekł.

Wiedziałem już, co to znaczy. Czytelnik, spojrzawszy na dokładną kartę Kalifornii, z łatwością dostrzeże dwa równoległe prawie łańcuchy gór: Santa-Ana i San-Bernardino. Mniejsze i niższe pasmo Santa-Ana ciągnie się bliżej oceanu, poważne zaś Bernardyny wznoszą się w głębi kraju, stanowiąc jakoby kość pacierzową jego południowej części.

Owóż za temi górami, państwo Kalifornia ciągnie się jeszcze daleko na wschód, aż do rzeki Colorado, stanowiącej granicę od Arizony. Cała ta część, jest to jedna, równa, piaszczysta pustynia, gdzieniegdzie tylko powzdymana w sypkie wzgórza, gdzieniegdzie poprzerywana bezimiennemi jeziorami, w których przez większą część roku wody brakuje. Największe z tych jezior nosi nawet nazwę: Dry-Lake, co znaczy Suche jezioro. Po deszczach zimowych pustynia na krótki czas zmienia się w preryę umajoną cudną zielonością, ale to jeden tylko krótki uśmiech natury na tem wielkiem cmentarzysku piaszczystych kurhanów. Rzeka Colorado, stanowiąca granicę od Arizony, nie jest wcale granicą pustyni. Wprawdzie brzegi rzeki żyzne, urodzajne

i zarośnięte, ciągną się jakby zielona wstęga, aż do zatoki Trzech-Króli, ale za rzeką pustynia znowu się rozpoczyna i obejmując większą część Arizony, rozlega się na wschód, aż do niezliczonych pasm gór, zawalających środek tego Stanu, na południe zaś aż do meksykańskiej Sonory.

Przy rzece Gila, wpadającej do Colorado, pustynia staje się najgłuchszą. Część ta nosi nawet nazwę Gila-Desert. Ruchome jej piaski nigdy nie pokrywają się zielonością; niema tam żadnych osad, ani ludzi białych, ani Indyan. W części pustyni kalifornijskiej (między St-Bernardino a Colorado) na wiosnę, gdy jeziora pełne są wody, a trawa pokrywa wklęsłości gruntu, głusza ustępuje gwarowi życia. Czasem stado bawołów, zabłąkanych aż do gór Arizońskich, rozbija piersiami trawę, a za niem pędzą skurczeni na koniach jeźdzcy indyjscy; czasem metysowie gnają stada mustangów, czasem kupcy-wolarze ciągną do wschodnich osad pasterskich; czasem zabłąka się traper z Prescot lub Tuscon; tak dzieje się w za-bernardyńskiej części pustyni, ale Gila zawsze jest cicha, głucha, martwa i złowroga.

A taką jak Gila, staje się po upływie wiosny cała pustynia. Nazwałem ją niepróżno złowrogą, wszystko bowiem co stamtąd przychodzi, jest jakby tchnieniem śmierci. W tychto gorących piaskach, szarańcza składa swoje jaja na zimę, a wiosną ciągnie w postaci chmur na cudne doliny Kalifornii,

zostawiając po sobie bezlistne drzewa i bezwstydnie gołą ziemię; stamtąd nareszcie, od Gila i suchych jezior wieje wiatr, zwany w Anahejmskiej dolinie: Santa-Ana-wind.

Powinniby go raczej nazywać: Desert-wind lub Gila-wind. Są to prądy rozpalonego powietrza, z którego pustynia wyssała wszelką świeżość i wilgoć, a przesyciła natomiast elektrycznością. Czasem wiatr ten wieje także z południa, od strony „Lower-California“ czyli od strony meksykańskiej, półwyspowej Kalifornii, będącej również pustynią. Częściej jednak ciągnie ze wschodu od Gila. Jest on tem samem dla Kalifornii, czem Sirocco dla Sycylii, Solano dla Hiszpanii, a Samum dla Arabii. Mniej zapewne od tamtych niebezpieczny i rzadszy, bo wieje tylko jesienią i w zimie, rozstraja jednakże nerwy ludzkie, wysusza muskuły, skręca liście na drzewach i przejmuje strachem zwierzęta. Gdy Dżak oznajmił mi jego blizkie przybycie, wyszedłem natychmiast z chaty. W całej naturze znać było, mimo ciszy, jakąś niespokojność, a i sama cisza wydała mi się martwotą, nie spoczynkiem. Powietrze straciło swoją przeźroczystość. Niby jakiś pył, niby dym unosił się w atmosferze. Światło słoneczne, przechodząc przez ów tuman, straciło swoją pyszną, jarzącą pozłocistość, a świeciło chorobliwie, rdzawo, smutno. Sam krąg słoneczny, pozbawiony promiennych włosów, przesłonięty a czerwonawy, pozwalał oku bezkarnie patrzeć na się, jakoby przez zakop-

cone szkło. Myślałem, że to może dym rozszedł się po powietrzu.

— Dżak! — spytałem — wszak-to Indyanie musieli gdzieś zapalić lasy?

— Nie! — odpowiedział Dżak — ja myślę, że to pył z pustyni.

Ale Dżak mylił się, bo przecież pył nie mógł przyjść przed wiatrem. Na pytanie jednak, czy tak zawsze bywa, odpowiedział mi, że zawsze. Tymczasem dęby zadrżały nagle, zaszeleściły liśćmi i posypały deszczem żołędzi. Następnie Dżak poradził mi, abym rozpuścił węzły lasso, na którem uwiązany był mustang, albowiem zwierzę, szarpiąc się w czasie wichru, mogłoby się zadusić. Gdym się do niego zbliżył, ujrzałem, iż sierć była na nim poszerszeniała, głowę miał spuszczoną, nozdrza przy ziemi. Rozluźniłem pętlicę aż zanadto. Wracając, ujrzałem tłumy rozmaitego ptactwa, dążącego do skłonów gór i z parowów ku puszczy: więc stada różowych synogarlic, kuropatw zwyczajnych, kuropatw górskich, błękitnych płaszczów, przedrzeźniaczów, czarnych dzięciołów z kanarkową piersią i szkarłatną głową. Szare bażanty smyrgały na piechotę tak niedaleko naszej chaty, że można je było z okien strzelać. Nad lasem krążyły orły i kurki, ale zapadały co chwila w gęstwinę, siadając zapewne na dobrze okrytych liściem gałęziach. Wreszcie ucichło wszystko: tuman zgęstniał, światło słoneczne stało

się jeszcze bardziej gorączkowe, a potem uderzył pierwszy powiew.

Zdawało mi się, że jakieś potworne płuca chuchnęły nagle na mnie gorącym oddechem. Obaj z Dżakiem schroniliśmy się natychmiast do chaty i pozasłaniawszy kocami okna, położyliśmy się na mchu. Ale w chacie zrobiło się gorąco nie do wytrzymania. Dostałem lekkiego zawrotu głowy; krew jakby ołowiem biła mi w żyłach. Próbowałem czytać i nie mogłem. Było mi duszno. Elektryczność przesycająca powietrze podziałała tak na moje nerwy, że miałem ochotę pokłócić się z Dżakiem. Próbowałem pić, ale woda stojąca w blaszance w kącie chaty wydała mi się obrzydliwą; chciałem nakoniec palić: tytuń po kwadransie wiatru wysechł do tego stopnia, że rozsypywał się w proch w moich palcach.

Dżak, przywykły już do tego wiatru, znosił go daleko lepiej, a mnie tymczasem coraz było trudniej. Pojedyncze uderzenia powiewów zmieniły się w trwały huragan. Puszcza gięła się, dęby łopotały gałęziami; w powietrzu zaś unosiło się takie mnóstwo liści i piasku, że niepodobna było nie dojrzeć. Przeklęty ów wiatr zmienił się w końcu po prostu w żar buchający jakby z rozpalonego pieca i przepełniony czadem. Dżak przyniósł mi świeżej wody ze strumienia, którą piłem łapczywie, ale gdy nadeszła pora posiłku, jeść nic nie mogłem. Zresztą ani w południe, ani na wieczór nie paliliśmy w parowie

ognia, albowiem wiatr rozwiałby był ognisko na cztery strony świata, a co gorzej, mógł ponieść skry na puszczę i spowodować pożar lasu.

W nocy nie mogłem zmrużyć oka. Na drugi dzień wiatr, zamiast uciszyć się, wiał jeszcze gwałtowniej. Drzewa trzeszczały, a połamane gałęzie waliły się w potok. Przez cały ten czas nie było ani chmurki na niebie. Wychodziłem z chałupy tylko po to, aby koniowi dać jeść. Cierpiałem nieznośne męki. Ale na trzeci dzień, świtaniem, a może jeszcze w nocy ucichło wszystko.

Wyszedłszy z chaty, odetchnąłem głęboko. Powietrze było chłodne, ożywcze, błękit niebieski czysty. Łagodny wietrzyk pociągał od oceanu. Na wschodzie płoniła się, jak dziewczyna, różana zorza poranna. Uśmiechało się wszystko naokół. Spojrzałem po okolicy i... zakląłem, jak pierwszy lepszy majtek z Landing.

Nie było mojego konia.

Przy drzewie zwieszało się smutne lasso. Koń widocznie wysunął w czasie wiatru głowę ze zbyt obszernej pętlicy i uciekł.

III.

Złożyliśmy z Harrysonem wielką radę wojenną.

Koń, wysunąwszy się z pętlicy, mógł zejść tylko do parowu, bo innej drogi nie było. Natomiast pa-

rowem mógł udać się albo na wschód ku Bernardynom, w którym-to razie nie trudnoby go było odnaleźć, albowiem potok w górze jest nie do przebycia, albo na zachód ku Anaheim.

W tym ostatnim wypadku sprawa byłaby trudniejszą z powodu, iż potok w miarę spadku rozszerza się, a canion staje się coraz obfitszy w obszerne, pokryte lasem doliny. Myślałem także przetrząsnąć puszczę, wśród której stała nasza chata, ale Dżak upewnił mnie, że tak wielkie zwierzę jak koń nigdy nie zdołałoby przeniknąć w gęstwinę równie zbitą i poplątaną lianami. Jakoż tak było w istocie.

Wogóle przychodziło wątpić, czy opłacało się szukać konia. W nocy mogły go zjeść drapieżne zwierzęta, bądź kuguary, bądź ostrowidze. Mogli go także skraść Meksykanie. Szukanina wymagała wielu trudów, a pod pewnym względem była nawet niebezpieczna. Ale przywiązałem się już do mego wierzchowca i postanowiłem, nie zważając na nic, pójść w jego ślady.

Zresztą, po skończeniu chaty, nie mieliśmy z Dżakiem wiele do roboty, zaraz więc po brekfeście zajęliśmy się przygotowaniem do wyprawy. Niewiadomo było jak ona długo potrwa, każdy z nas więc wziął mały zapasik sucharów i suszonego mięsa, a oprócz tego każdy uzbroił się, jak gdyby na wojnę, w karabin, rewolwer i „bowie-knife“, nie

licząc lassa, które miało służyć do odprowadzenia konia.

Tak uzbrojeni, poszliśmy przedewszystkiem pod drzewo, aby odnaleźć choć jakie takie ślady. Na trawie było ich bardzo wiele: wyrobiła się z nich jakby ścieżka, ale była to tylko ścieżka, którą prowadzałem konia do wody. Oko moje nie mogło nic z niej wyczytać, Dżak jednakże położył się na trawie i popatrzywszy na nią uważnie, wykrzyknął wkrótce obyczajem indyjskim:

— *Hugh!*

Znalazł, a przynajmniej utrzymywał, że znalazł świeży ślad, chociaż ja nie mogłem upatrzeć w nim różnicy od starych. Koń szedł, jakeśmy to przewidywali, do potoku. Dalsze ślady, zbaczające ze ścieżki, wskazywały to wyraźnie. Koń mógł pójść w górę potoku, albo na dół ku Anaheim. Trzeba nam było się z Dżakiem rozstać.

Wybrałem kierunek ku Anaheim, bo jakkolwiek drogę tę odbyłem z Neblungiem w nocy, przecie pamiętałem ją cokolwiek. Świsnąłem na psa i zapaliwszy fajkę, poszedłem. Ranek po wietrze był cudowny. Powiew od strony oceanu niósł ze sobą wilgoć i chłód. Ptaki śpiewały po obu stronach parowu, jak najęte. W miejscach szerszych, gdzie korytarz skalny roztwierał się, ustępując miejsca dolinom, przystępne brzegi strumienia wrzały życiem zwierzęcem. Ptaki piły wodę. Czarne wiewiórki ziemne siedziały na tylnych łapkach, chrupiąc

orzeszki laurowe i poruszając wąsikami. Pies mój szczekał z radości, a echo niosło daleko szczekanie, nadając mu dziwnie potężny rozgłos. Była-to chwila poranna, chwila tej radości i rozbudzenia się natury, w której drzewa, i kwiaty, i ptaki, i wszystko co żyje zdaje się wołać: „ewoe!“ radujmy się i kochajmy! W takiej chwili, starcowi nawet przechodzi ogień życia przez zziębłe kości, a u młodego aż kipi dusza i prawie skrzydła wyrastają mu u ramion.

Mniej więcej w takiem byłem usposobieniu. Coraz nowe doliny, nowe kształty skał, nowe drzewa migały mi przed oczyma. Cała droga, ponieważ poprzednio przebyłem ją w nocy, wydała mi się nową i nieznaną. Jedna szczególniej miejscowość została mi w pamięci. Dolina ta, obejmująca z jakie dwie mile kwadratowe (angielskie), nie była zarośnięta tak zbitą i poplątaną puszczą, jak inne. Był-to poprostu ogród wersalski na pustyni, strojny w tak cudowne bukiety drzew i krzewów, jakby je układała ręka ogrodnika-artysty. Ciemne, śliczne dąbrowy i małe rozrzucone wdzięczne gaiki platanów pokrywały większą część przestrzeni; laury układały się w regularne klomby: pojedyncze drzewa tworzyły jakby aleje, których końca nie mogłem dojrzeć. Niepodobna było prawie uwierzyć, aby to natura układała wszystko tak misternie i foremnie. Środek doliny, lekko zaklęsły, pokryty był trawą, o zieloności jasnej i świeżej, zdradzającej wilgoć

gruntu. Wysoko rosnące tam krzewy znikały zupełnie dla oka pod skrętami dzikiego winogradu, dochodzącego do olbrzymich rozmiarów. Złudzenie, że są to poprostu sztuczne altany, było tak silne, że pierzchło dopiero wówczas, gdym, zbliżywszy się do jednej z nich, dojrzał wyskakującego z pod liści szarego, czarno centkowanego żbika.

W żadnych górach europejskich niema nic podobnego. Natura wysiliła się tu, aby stworzyć przepyszny park z całym wymagalnym doborem barw i cieniów, z misternym układem szczegółów, z odpowiednią perspektywą i z mądrym namysłem, tak łudzącym, iż mimowoli patrzyłem i szukałem, czy z pośród ciemnej zieloności drzewnej nie błysną mi z oddali białe marmury jakiego pałacu, ze zwierciadłami w szybach, ze strojnemi damami na gankach, z jeziorem u stóp i z łabędziami na błękitnej toni [1]).

Ale okolica była bezludna, milcząca, a ciszę przerywało tylko brzęczenie wielkich złotych much,

[1]) Później dowiedziałem się, że śliczna ta miejscowość, jakkolwiek jeszcze bezludna, ma już swoją nazwę, nazywa się zaś „Pic-nic-Place“, albowiem mieszkańcy Anaheim, Orange, Santa-Ana, wraz z okolicznymi farmerami, zjeżdżają się tu raz do roku na wielką zabawę. Ziemia Pic-nic-Place również nie należy już do rządu, ale do jednej z licznych w Kalifornii Landcompany, posiadających ogromne, a zupełnie jeszcze dzikie i bezludne obszary. Od Pic-nic-Place zaczynają się terytorya niezajęte, rządowe.

za któremi uganiały się ptaki. Oczarowany, szedłem bardzo wolno i zatrzymywałem się co chwila. A tymczasem słońce podniosło się wysoko i poczęło dogrzewać. Wyszukawszy wzgórek pokryty mchem, położyłem się pod cieniem dębu, zjadłem kawałek suchara z suszonem mięsem, a następnie poleciwszy straż psu, usnąłem.

Spałem tak dobrze, że rozbudziłem się dopiero koło godziny czwartej. Słońce przebiegło już większą część zwykłego łuku i kłoniło się ku zachodowi. Poznałem, że przed nocą nie będę mógł już zajść ani do osad pasterskich, leżących u stóp gór na drodze ku Anaheim, ani też wrócić do chaty Dżaka. Wolałem jednak nocować bliżej osad i dlatego poszedłem naprzód. Park skończył się wkrótce, a amfiteatr czerwonych skał zacieśnił się znowu w wązką i ciemną gardziel. Przy samem wejściu do niej spotkałem jeźdźca, starego jakiegoś Meksykanina, o czarnych podobnych do końskiej grzywy włosach i złodziejskiej twarzy. Zaczęliśmy ze sobą rozmowę, wedle obyczaju meksykańskiego niezmiernie grzeczną, tytułując się jak można najczęściej *usted* i *caballero*. Wypytywałem się o konia, na co *caballero*, mający, mówiąc nawiasem, minę ostatniego rzezimieszka, odpowiedział, że konia nie widział, ale że widział ślady szarego niedźwiedzia, czemu zresztą ani na chwilę nie uwierzyłem. Poczem z prawdziwie meksykańską uprzejmością, przepraszając za śmiałość *de hacer cuestion*, począł wypytywać: co robię w gó-

rach, czy mam tu jakich znajomych i gdzie mieszkam. Może chciał się wywiedzieć, czy będzie mógł bezkarnie rzucić na mnie lasso, w chwili gdy się od niego odwrócę, aby zrabować moją broń. Ale ja także dosyć już znałem Meksykanów, i mimo wszelkich *usted*, trzymając palec na cynglu, gotów byłem roztłuc na kawałki czaszkę drapiebrustowi, skorobym tylko spostrzegł, że poczyna odwiązywać sznury. Nie bałem się go wcale i rozmawiałem z nim po prostu drwiąco, co go nawet mieszało, a byłem jednak zdecydowany niepierwej pójść w drogę, aż uprzejmy rycerz oddali się na kilka rzutów lasso. Ale jak tylko powiedziałem, że mieszkam u Harrysona, ostrożność stała się zbyteczną. Caballero wpadł w zachwycenie: powiedział, że zna Dżaka, że jest to znakomity *(considerable)*, a nawet wielki *(grande)* człowiek, a jego przyjaciele muszą być tacy sami, poczem pojechał przed siebie. Widocznie Dżak miał w górach opinię wzbudzającą poszanowanie. Ale wogóle skłonni do rabunku meksykańscy „caballerowie“ niezmiernie boją się skwaterów, z powodu ich solidarności. Za jednego zamordowanego skwatera, inni, chociażby zamieszkali bardzo daleko, ujmują się natychmiast i póty tłuką wszystkich napotkanych Indyan i Meksykanów, póki ci ostatni sami nie wydadzą winnego.

O tej dziwnej pod wieloma względami ludności rozpiszę się później obszernie; teraz zaś nadmienię, że winnemu nie tak łatwo tu ujść przed lynchem;

jeżeli bowiem łotrzykowie zabijają i rabują człowieka, to nie dlatego, aby uciekać następnie na pustynię, ale aby pić i hulać w najbliższych wentach [1], gdzie ich też zwykle straszliwy *mucle lynch* odnajduje.

Zabójstw z tych powodów bywa niewiele, jakkolwiek rozproszenie, w jakiem żyją skwaterowie, zapewnia pozorną przestępcom bezkarność. Że jednak ostrożność najlepszym jest przewodnikiem i stróżem podróżnych, nieprędzej tedy ruszyłem w dalszą drogę, aż uprzejmy caballero oddalił się na dobry wystrzał karabinowy. Potem dolatywała mnie tylko jego piosenka i wtór do niej, polegający na uderzaniu trzonkiem noża w kulę kulbaki. Uszedłem jeszcze ze cztery mile (angielskie), ale wreszcie słońce zaszło; że zaś w tym klimacie zmierzch bywa bardzo krótki, więc i noc następowała szybko. Żałosne zwiastuny ciemności, kujoty, ozwały się już raz i drugi w pokrytych lasem dolinach, pies zaczął się niepokoić, trzeba zatem było myśleć o noclegu. Korzystając z resztek światła, naciąłem cztery naręcza suchych jak pieprz krzewów, znanych pod nazwą czaparalu i czamizalu, nazbierałem suchych, połamanych przez Santa-Ana-wind gałęzi, których pełno było w łożysku potoku, i wybrawszy sto-

[1] Wenta znaczy karczma, tienda zaś to, co nasza restauracya.

sowne miejsce między kamieniami, rozniecilem ognisko.

Przez całą noc spałem mało, bo musiałem cochwila dorzucać gałęzi, aby podtrzymać ogień. Rozmaite głosy zwierzęce dochodziły mnie, jak zwykle nocą, ale niewiele sobie z nich robiłem, mając przed sobą jasny płomień, czujnego psa i dobry karabin. Przytem kuguar i niedźwiedź, jedyne groźne zwierzęta, nie są tu liczne i nie napadają nigdy pierwsze na ludzi, nie było więc żadnego niebezpieczeństwa. Swoją drogą, pies odlatywał co chwila od ogniska i niknąc w ciemnościach, ujadał głośno. Świtaniem puszcza ucichła. Wówczas usnąłem jak kamień i dopiero o godzinie dziewiątej puściłem się w dalszą drogę. Może o jakie kilkadziesiąt kroków od noclegu, spotkałem małego grzechotnika, pełznącego od jednego kamienia ku drugiemu. Grzechotka jego składała się z pięciu dzwonków. Idąc dalej, doszedłem do miejsca, w którem po obu brzegach strumienia ciągnął się pas niezmiernie delikatnego piasku, pomieszanego z żółtą miką. Raz już nad rzeką Bosumnes (Macosme), w okolicy Sacramento, oszukała mnie ta mika, albowiem spostrzegłszy całe jej zaspy, sądziłem, żem znalazł takie bogactwa, iż Rotszyldom nie pozostanie nic więcej, jak pójść do mnie na buchalterów. Patrzyłem, pamiętam, wówczas i nie wierzyłem oczom własnym: cały brzeg rzeki lśnił się i mienił, promienie słoneczne łamały się na większych blaszkach: wszędzie było złoto

i złoto. Można je było furami wywozić. Szczypałem się sam, aby się przekonać czy nie śpię, i nabrawszy pełne kieszenie moich dostatków, pobiegłem do kapitana W., naszego rodaka, u którego właśnie bawiłem, aby podzielić się z nim, jako z doświadczonym górnikiem, wiadomością, wejść w spółkę i zrobić kilkadziesiąt skromnych miliardów w ciągu kilku miesięcy. Więcej sobie wcale nie życzyłem. Czytelnik domyśli się łatwo, jaką musiałem mieć minę, gdy stary górnik roześmiał się i potrząsając na ręku moim skarbem, rzekł krótko a węzłowato: „mika“. Swoją drogą powiem, że choćby podróżnik, przebiegający góry i stepy Kalifornii, był nie wiem jakim filozofem, przecie myśl, że w pierwszej lepszej szparze ziemnej, w pierwszym lepszym stosie kamieni można tu znaleść skarby, nie opuszcza go ani na chwilę. Mimowoli poglądasz, czy czasem z łożyska jasnego strumienia lub ze szpary skalnej nie wyjrzy na ciebie potężna, przedpotopowa żyła żółtego kruszcu. Co więcej, niema w tem nic niepodobnego. Na pytanie, gdzie w Kalifornii znajduje się złoto, każdy bez wahania odpowiada: wszędzie! Prawda, miejscami jest go tak mało, że przemywanie dwakroć i trzykroć przeniosłoby wartość metalu, ale, swoją drogą, weź kilkanaście fur ziemi i puść je w płóczkarnię, a żywe srebro, chwytające złoto, niezawodnie uchwyci pewną ilość jego atomów.

Ciekawy przykład owej zmory złotej, duszącej

tu wszystkich, miałem niedawno przed oczyma. Pewnego razu, ja, jeden mój ziomek zegarmistrz, od niedawna osiadły w Orange, i jeden skwater, zwiedzaliśmy osadę położoną nad brzegiem niewielkiego strumienia. Po nocy spędzonej na wozie, ziomek mój poszedł się myć do strumienia. Po chwili wrócił nagle: twarz jego była wzburzona, a na głowie nie miał kapelusza.

— Co panu jest? — pytam, sądząc, że może ujrzał jakie niebezpieczne zwierzę.

— Cicho! — odpowiada, kładąc palec na usta i przerywanym ze zmęczenia głosem.

— Cóż tedy?

— Złoto!

— Gdzie?

— Pójdź pan zobaczyć.

Poszedłem, choć nie uwierzyłem w nie ani na chwilę, gdyby się bowiem tam znajdowało, mieszkańcy osady znaleźliby je oddawna. Przybywszy na brzeg, towarzysz mój ukazał mi niewielki okrągły kamień, na którego powierzchni połyskiwała żółta, metaliczna kresa. Wtedy uwierzyłem i ja i dalej w radę, czy przypuścić do tajemnicy trzeciego. Stanęło, żeby przypuścić, bo człowiek był porządny, a wytrawny. Jakoż przyszedł zaraz i objaśnił nas, że owa żółta metaliczna kresa była poprostu śladem podkutych mosiężnymi ćwiekami trzewików, jakich zwykle używają farmerowie.

Podobne rozczarowania, a szczególniej z miką,

zdarzają się tu codziennie, tembardziej, że jej tu wszędzie pełno. Widziałem jej mnóstwo na pobrzeżach oceanu w A-Landing, Wilmington i wielu innych miejscach. Strumienie górskie powszechnie niebardzo w nią obfitują; tam jednak, gdzie brzeg jest piaszczysty, osadza się zawsze trochę i miki.

Ta, którą znalazłem przy strumieniu, osadzała się szczególniej w dołkach, wytłoczonych przez nogi zwierząt. Szukałem między tymi śladami śladów kopyt mego konia, ale znalazłem tylko mniej więcej zatarte wyciski racic jelenich i płytkie, ale szerokie tropy okrągłych stóp, należących zapewne do ostrowidzów. Zaczynałem wątpić, czy koń mój przechodził tędy i przez chwilę przyszła mi myśl wrócić się, ale dla pewności chciałem jeszcze zapytać o niego w osadzie pasterskiej, leżącej u stóp gór, poszedłem więc dalej. Tymczasem zaszła niespodziana okoliczność. Oto strumień, którego biegu się trzymałem, trafiał nagle na prostopadłą skałę i rozdzielał się na dwa ramiona, tworzące z głównem korytem dokładną literę Y. Nie wiedziałem, które ramię zaprowadzi mnie teraz do podgórzy i na drogę do Anaheim. Zdawało mi się, że lewe, wybrałem więc lewe. Ale gdym uszedł ze trzy mile, to lewe znowu rozdzieliło się na dwa. Widocznie była-to sieć strumieni, które obejmowały dość znaczną przestrzeń gór, a następnie, wydostawszy się z nich, biegły przez dolinę anaheimską i dalszy step ku oceanowi. Poznałem, żem zbłądził. Wsze-

dłem w caniony tak dzikie, milczące i głuche, iż przychodziło mi na myśl, że może noga ludzka pierwszy raz w nich postała.

Brzegi strumienia, tam gdzie nie były zaciśnięte skałami, porastały gęstym lasem. Pnące się rośliny zwieszały się aż do wody, a przerzucając się z brzegu na brzeg, tamowały mi tak drogę, że musiałem ją sobie nożem torować. Wszystko to nosiło cechę natury arcypierwotnej. Zdawało mi się nawet, iż ptaki mniej się tu boją człowieka, niż w innych canionach. Był tam jakiś spokój, którego nie umiem ani opisać, ani wyrazić; jakaś powaga i majestat przyrodzenia nieczującego się jeszcze podbitem. Jakoż wszystkie pomniejsze caniony nie są zamieszkałe i w wielu z nich prawdopodobnie nikt jeszcze nie był.

Tymczasem szedłem ciągle naprzód, niewiele troszcząc się o to, żem się zbłąkał. Wiedziałem, że każdy strumień wyprowadzi mnie koniec końcem na podgórza, a następnie na dolinę, na której leżą Anaheim, Santa-Ana, Orange i t. d. Jakoż, zaraz po południu, począłem się wydostawać z labiryntu gór. Szczyty po obu stronach strumienia stawały się niższe i niższe; korytarz skalny zmieniał się w obszerną dolinę, krajobraz otwierał się coraz szerzej. Wreszcie zatrzymałem się i spojrzałem przed siebie.

Góry skończyły się. Stałem jakoby na olbrzymim, wysokim na jakie dwieście stóp tarasie. Stru-

mień spływał zeń po tak stromej pochyłości na dół, że tworzył prawie wodospad. U stóp tarasu widniał dom farmerski, bielejący wśród masy drzew gumowych [1]); tam zaczynała się dolina anaheimska, a raczej step szeroki, powietrzny, przestrony, biegnący aż do brzegów oceanu.

Oparłszy się o karabin, patrzyłem nieruchomo z pół godziny na ową cudną dolinę. Na krańcu widnokręgu szarzała niby mgła, niby chmura jakaś sina, ale rozświecona purpurą zachodu. Był to „Pacyfik“, ojciec oceanów i mórz wszystkich. We wzgórzach sterczących nad tumanem poznałem wyspy Santa-Catalina i Catalina Harbor, które zwiedzałem, bawiąc jeszcze w Landing. Był zachód słońca, a nad oceanem rozlewał się drugi ocean purpury i złota na niebie. Na dolinie, ubranej w królewskie kolory, ujrzałem naprzód suche, piaszczyste a szerokie łożysko równoległej do gór rzeki Santa-Ana [2]). Dalej ciemne grupy drzew oznaczały Anaheim i Orange, a mniejsze grupy farmy rozrzucone po całym stepie. Wszystko to leżało u moich nóg. Patrzyłem na wioski i miasta, jak ptak z chmur. Powietrze tak było przeźroczyste, że ten ogromny szmat kraju leżał widny dla mego oka, jak na dłoni. Cisza była prawie niepokalana. Śliczny pogodny zachód zdawał

[1]) Eukaliptów.

[2]) Nazwa ta Santa-Ana powtarza się w tej okolicy z dziwną obfitością. Prócz Anaheim jest tu Santa-Ana rzeka, miasto, góry i wiatr.

się nasycać wszystko nieporównaną słodyczą i różanym spokojem. Błogosławieństwo i upokojenie wielkie unosiło się nad krajem... Wówczas wezbrało mi serce, a na usta wybiegła mimowoli znana smutna piosnka:

„U nas inaczej! inaczej! inaczej!“

Słońce już zaszło, gdy zapukałem do drzwi domu położonego u stóp tarasu. Pokazało się, że mieszkał w nim Mitchel, właściciel stad krowich. a dobry mój znajomy jeszcze z Anaheim. Mitchel przyjął mnie gościnnie i dał wyborne łóżko, które, po nocy spędzonej na kamieniu w górach, wydało mi się niezrównanem.

Nazajutrz, skoro świt, puściłem się z powrotem w góry.

IV.

Dżak, posłyszawszy, że się zbliżam, wyszedł naprzeciw mnie bardzo uradowany. Koń był już z powrotem. Dżak znalazł go o dziesięć mil w bok od naszego strumienia. w bocznym canionie, gdzie była osada skwaterska niejakiego Plesenta, Luizyańczyka jak i Dżak. Dżak opowiadał mi o nim, że jest to prawdziwy król gór; trzęsie bowiem wszystkimi Meksykanami, zamieszkującymi okolicę. Do wpływu takiego doszedł przez swoje bogactwa w pszczołach, trzodach, ale głównie przez żonę. rodem Meksy-

kankę, kobietę tak rozumną, że słowa jej są wyrocznią, tak dla męża, jak i dla wszystkich czarnowłosych jej kuzynów. Dżak zaproponował mi, abym razem z nim wybrał się do nich, na co zgodziłem się chętnie i uważając rozmowę za skończoną, chciałem wyjść do konia. Ale Dżak widocznie miał mi jeszcze coś do powiedzenia, bo mnie zatrzymał, a potem począł gęsto pykać z fajki i mrugać figlarnie oczyma.

— Cóż tam jeszcze nowego, Dżak? — spytałem.

— Hm! hm! — mruknął.

— Chcecie mi jeszcze coś powiedzieć?

— Tak. Czy bardzo czujecie się zmęczeni?

— Trochę; a dlaczego?

— Bo do Plesenta trzebaby jeszcze dziś iść na noc.

— By God!

— Widzicie, sir, jest rzecz taka. U Plesenta bawi teraz przeszło piętnastu jego krewniaków, Meksykanów, a wszyscy z lassami, konno i zbrojno. Powiem wam, że wszystko to są wielkie szubrawcy (hoodlamy) i mniejszaby o nich, ale czy wiecie, dlaczego się pozjeżdżali? Oto Plesent znalazł na piasku, nad swoim strumieniem, ślad szarego niedźwiedzia, a potropiwszy go dwa dni, przekonał się, że: „uncle grizzly“ obrał sobie legowisko nie dalej, jak dwie mile w górę potoku.

— *All right* Dżak! — przerwałem pośpiesznie.

— Plesent więc wysłał zaraz do Meksykanów

starego Ramona, aby się pozjeżdżali na wyprawę, co też i uczynili. Przywieźli ze sobą wina, które piją bezustanku, prócz tego grają w karty i wychwalają wzajemnie swoją odwagę, choć, by God! jak przyjdzie co do czego, będą tchórzyć niezawodnie. Stary Ramon był i u mnie, ale ja właśnie tropiłem wtedy waszego konia. Oprócz nas, Płesent czeka jeszcze dwóch braci Shrewsburych. Jutro świtaniem mamy zacząć. Czy zgadzacie się iść ze mną?

Naturalnie nietylko zgodziłem się, alem mało nie uściskał Dżaka z radości; następnie wyczyściliśmy broń, opatrzyli wszystko jak się należy i w dwie godziny później wyruszyliśmy w drogę.

X.

Szkice amerykańskie.

Z puszczy.

I.

Późną już nocą przybyliśmy wraz z towarzyszem moim Dżakiem do skwatera Plesenta. Nazajutrz rano miało się rozpocząć polowanie na szarego niedźwiedzia.

Miejscowość zajmowana przez Plesenta stanowi dość obszerną dolinę, pokrytą odwiecznymi dębami; z jednej jej strony ciągnie się ogromnem półkolem wydłużone wzgórze, ucięte równo jak mur; drugi zaś i bardzo spadzisty brzeg przeciwległy tejże doliny utworzony jest przez potok. Za potokiem ciągnie się inna płaszczyzna, znacznie niższa, zamknięta wysokiemi górami.

Całość, na którą pierwszy raz rzuciłem okiem przy świetle księżyca, przedstawiła mi się bardzo romantycznie, jak zresztą większa część siedzib skwaterskich, położonych w canionach. Dolina wyż-

sza, niższa i następne amfiteatralne wzgórze zatoczone łukiem, tworzyły jakby olbrzymi cyrk rzymski, albo jakby rodzaj schodów. U stóp ich szumiał w korytarzu skalnym potok, stanowiący zarazem drogę do osady. Noc była już późna, ale pogodna. Księżyc zatapiał światłem cały ów amfiteatr wzgórz i arenę doliny. Wszystko to było teraz ciche i uśpione. Można było mniemać, że igrzysko skończyło się przed chwilą; Cezar opuścił miejsce, lud rozproszył się w ulicach miasta, a na arenie, na krwawym piasku leżą uśpione na wieki ciała gladyatorów. Zdala widoczne spiętrzone skały, o kształtach często dziwnie symetrycznych, wydawały się podobne przy świetle księżyca do posępnej massy domów wielkiego miasta. Złudzenie takie sprawia czasem pyszna dekoracya teatralna; to też chwilami znowu zdawało mi się, że widzę ją przed sobą, najpiękniejszą ze wszystkich, jakie kiedykolwiek widziałem.

Szczekanie psów oznajmiło mieszkańcom doliny o naszem przybyciu. Wkrótce przez konary dębów ujrzałem błyszczące ognisko i oświecone czerwono ściany białego domku. Przy ognisku migały postacie ludzkie, chodzące tu i owdzie, lub siedzące obyczajem indyjskim w kucki. Wdrapawszy się na wysoki brzeg strumienia, znaleźliśmy się w podwórzu domu. Jednocześnie gospodarz, który był wyszedł na nasze spotkanie, powitał zwykłem „halo!“ mego towarzysza, a następnie poznajomił się ze mną.

Gdy zbliżyliśmy się do ogniska, przedstawił mnie swej żonie Donnie Refugii, która, z prawdziwie hiszpańską uprzejmością, porzuciwszy natychmiast przygotowania do wieczerzy, poczęła ze mną rozmawiać. Była to kobieta mogąca liczyć około lat czterdziestu, o rysach twarzy regularnych, ale zwiędłych i jakoby martwych. Jak żyję nie widziałem twarzy tak smutnej. Gdym potem pytał o przyczynę tego smutku, powiedziano mi, że Donnie Refugii umarła młoda i ukochana siostra, ukąszona przez grzechotnika. Donna Refugio, bezdzietna, kochała ją nad wszystko w świecie, to też od śmierci dzieciny nie widziano już uśmiechu na ustach osieroconej.

Tak goście, jak i mąż Donny Refugio umieli widocznie uszanować jej smutek, wszyscy bowiem obchodzili się z nią ze szczególną troskliwością, starając się spełniać w lot jej życzenia i prawie odgadywać jej myśli. To uszanowanie dziwiło mnie tembardziej, że w Donnie tej płynęła widocznie domieszka krwi indyjskiej, co łatwo było poznać po kruczych a grubych jej włosach i smagłej cerze. Ale istoty wyższe, bez względu na swe pochodzenie, umieją zjednać sobie cześć należytą; Donna Refugio zaś, jak później przekonałem się, była to kobieta niepospolicie rozumna, a nawet niepospolicie wykształcona; stanowiła też rodzaj wyroczni w swem nawpół dzikiem otoczeniu. Przyjeżdżano do niej po radę i pomoc z całej okolicy: z Ana-

heim, Orange, a nawet aż z Los Nietos, skąd była rodem, gdzie rodzice jej posiadali znakomite obszary stepu. Wysokiego z linii męskiej urodzenia, co dla Meksykanów stanowi niemałą wagę, była przez ojca spokrewniona ze wszystkimi Meksykanami, przez matkę zaś ze wszystkimi Metysami. Stosunkowo znaczne bogactwa przydawały jeszcze blasku i powagi jej rozumowi i cnocie.

Mąż jej, również jak i towarzysz mój Dżak, pochodził z Luizyany; przeniósł się zaś do Kalifornii po wojnie domowej. Był-to dżentlemen rosły, młodszy o parę lat od żony, o poczciwych niebieskich oczach i łagodnej, choć energicznej twarzy. Prócz tego poznałem dwóch jeszcze skwaterów z canionu Madeira, braci Shrewsburych (Szürsbery), starszego Sama i młodszego Lucyusza. Sam czyli Samuel był to doskonały typ Amerykanina-pioniera. Wzrostu miał ze sześć stóp, twarz podobną do głowy starego wilka, wejrzenie rozumne, ale przebiegłe; ogromne kościste ręce, takież nogi, budowę suchą ale rozwiniętą, znamionującą potężną siłę. Chwilami twarzą i postacią przypominał mi Lincolna, który również był doskonałym typem *yankee* w swoim rodzaju. Mówiąc cokolwiek, Sam wyciągał przed siebie swoje olbrzymie nogi i głowę, i głaszcząc ręką obrosłe podgarle, poczynał zawsze od rozwlekłego *wel*. Prócz tego gryzł wiecznie tytuń i spluwał co chwila obrzydliwym czerwonym sosem. Była to także powaga swego rodzaju. Bie-

gły bartnik, był zarazem niezrównanym myśliwym, budowniczym, stolarzem, cieślą, kowalem, mularzem: słowem wszystkiem. Takimi wszystkowiedzami są po największej części skwaterowie. Uczy owych rzemiosł osamotnienie, potrzeba i konieczność rachowania zawsze i wszędzie wyłącznie na własne siły. Z tych warunków wypływają również różne przymioty moralne, jako to: pewność siebie, wysoka niezależność charakteru, republikański sposób myślenia i niepożyta energia, połączona dziwnym sposobem z niejaką powolnością i flegmą. Dwie te ostatnie cechy niezmiernie łatwo mogą omylić tego, ktoby chciał upatrywać w nich znamiona niedołęstwa i niezaradności. Przeciwnie, płyną one tak z zimnej krwi, wrodzonej anglosaksońskiej rasie, jak i ze zwyczaju zastanawiania się głębokiego nad każdym zamierzonym celem.

Skwater myśli powoli, bada, rozważa, ale przedsięwziąwszy raz cokolwiekbądź, doprowadza, choćby niepodobne rzeczy, do skutku.

Sam uosabiał w wysokim stopniu wszystkie wspomniane cechy pionierskiego typu, dlatego też opisałem go szerzej. Lucyusz, młodszy o kilkanaście lat, całe życie spędzał na włóczeniu się po lasach. Miał i on swoje pszczoły, ale pilnował mu ich starszy brat, który kochał go jak syna. Mieszkali razem, Lucyuszowi bowiem nie chciało się budować domu. Czasem po kilka tygodni i miesięcy nie było go w domu. Za to, wróciwszy, przynosił zapasy

skór pum, niedźwiedzi, rysiów i jeleni. Uchodził za niechybnego strzelca. W wyprawach swoich zapuszczał się przez pustynie, leżące z tamtej strony San-Bernardino, aż do Arizony. Wogóle znać w nim było wesołego chłopaka, zaufanego w swój karabin i potężne muskuły, a niedbającego o jutro i rozmiłowanego w awanturach.

Goście ci, wraz z kilkunastu Meksykanami, siedzieli nie w domu, dom bowiem składał się tylko z jednej izby, którą do połowy zajmowało małżeńskie łoże Plesentów, ale obok domu, naokoło ogniska. Z powodu ciepłego klimatu, powszechnie przyjętym zwyczajem w górach jest, że mieszkańcy sypiają tylko pod dachem, siedzą zaś, gotują i jedzą na świeżem powietrzu. Moskitów, które stanowią plagę ciepłych krajów i które wypiły tyle krwi mojej nad oceanem Spokojnym w Anaheim Landing, niema tu wcale, nic więc nie staje na zawadzie temu życiu pod gwiazdami. Wreszcie, jak wszędzie, tak i u Plesentów, niedaleko domu i ogniska wznosiła się werenda, składająca się z czterech cienkich nieobciosanych pni platanowych, na których oparty był dach upleciony z liści i suchych prętów laurów. Pod tą arcy prostą budową, gospodarstwo spędzali większą część życia, pod nią także stał teraz stół, a raczej deski, na których pani Refugio przygotowywała wieczerzę. Ogień, podsycany ustawicznie przez Meksykanów suchymi laurami, buzował się potężnie, strzelając czerwonymi pasami

wyżej prawie nad dach werendy i obejmując ze wszystkich stron okopcone łono kotła, w którym gotowało się mięso antylopy wraz z czerwoną fasolą.

Obok na patelni warczały, skwarząc się, kurcząc i sycząc, jak dusze potępione, kawałki słoniny, ulubionego przysmaku meksykańskiego. Japońska herbata z miodem, gotowana we wrzącej wodzie, miała stanowić dopełnienie wieczerzy. Ognisko i zgromadzeni naokół niego ludzie, gdym, oddaliwszy się na chwilę, spojrzał na nich z ciemności, dziwnie oryginalny przedstawiali widok. Wyobraź sobie, czytelniku, te krwawe snopy światła sypiące deszczem iskier, wśród zatopionej światłem księżyca atmosfery; te drzewa jednocześnie mroczne od nocy, srebrne od księżyca i różowe od blasku płomieni. Wyobraź sobie, że słyszysz potok szumiący licznymi wodospadami w kamiennym korytarzu, a dalej jeszcze ciemny, majestatyczny amfiteatr gór i skał, rysujących się czarno na srebrnem tle nocy. Siedzące przy ognisku postacie dodawały jeszcze romantycznego uroku krajobrazowi: rzekłbyś, że to oddział zbójców Kalabryi, lub kleftów w Pindus. Bardziej jeszcze dziko od Sama, Lucyusza, Dżaka i Plesenta wyglądali Meksykanie. Siedząc w kucki przy ognisku, obyczajem indyjskim, zachowywali na twarzach zarazem indyjską powagę i hiszpańską dumę, dziwnie odbijającą od podartej odzieży, nieokrywającej dostatecznie nagich kolan i łokci.

Przyszły mi na myśl widywane w dziecinnych latach obozowiska cygańskie. Też same twarze z rozrzuconym włosem, też same brody czarne jak kruce pióra, też łachmany zamiast odzieży; tylko powaga większa, i pycha nieporównana i poczucie godności własnej, jakich niemasz między cyganami.

Wszyscy ci caballerowie byli to krewni pani domu i blizcy krewni między sobą. Kiedy zapoznawano mnie z nimi, wymieniano tylko ich imiona, więc: Doroteo, Francisco, Antonio, Jesus i t. p.; nazwisko zaś mieli wspólne: Salvadores y Guerra. Byli to, jak mi mówiono później, potomkowie rodziny niegdyś bogatej i mającej obszerne posiadłości, która jednak, w miarę jak kraj zaludniał się yankesami, traciła wszystko i zeszła na koczujące dzikie życie w górach.

Jest-to zresztą los znacznej części dawnych właścicieli ziemskich pochodzenia hiszpańskiego. Sprytniejsi, pracowitsi i przemyślniejsi Amerykanie północni zabrali im zwolna grunta, bogactwa, znaczenie, tak że dumni caballerowie zeszli na miejscowy proletaryat, który albo żyje w nieosiadłych jeszcze górach, albo pasie trzody na stepach, albo wreszcie prowadzi życie wyrobnicze w osadach.

Za upadkiem fortun i znaczenia, przyszedł upadek moralny. Meksykanie parobcy są doskonałymi, bo wytrwałymi i silnymi robotnikami, ale piją jeszcze lepiej od Irlandczyków; Meksykanie koniuchowie i skotarze oddają się po całych dniach szu-

lerstwu w szałasach i sklepowych wentach: Meksykanie skwaterowie są to po największej części próżniacy, żyjący Bóg wie jak i z czego. Niektórzy trzymają konie, handlują drzewem wycinanem w pustych canionach, wbrew zakazom rządowym: wszyscy zaś skłonni są wielce do bójek, grabieży i złodziejstwa.

Żywioł anglo-saski wyrzucił ich z roli, handlu, przemysłu, wyrzucił ich zaś nie przez jakieś środki gwałtowne, przedsiębrane przez rząd, nie przez zakazy wzbraniające w czemkolwiek udziału, ale poprostu przez większą energię, zapobiegliwość i większy dar organizacyjny.

Jest wprawdzie jeszcze w Kalifornii kilkanaście rodzin meksykańskich, które utrzymały się w dawnej zamożności i znaczeniu, ale te albo roztopią się w nowym żywiole, albo spotka je los reszty współbraci. Zbytek i duma grają niemałą, a dobrze i u nas znaną rolę między owymi *morituri*. Bogaty, choćby niezmiernie bogaty *yankee* jest to zawsze pracownik, parobek; jeśli jest kupcem, siedzi w sklepie, jeśli rolnikiem, sam sieje, orze, bronuje: słowem, robi wszystko ze swymi najemnikami, z którymi razem jada. Prawie nie chce się wierzyć europejskiemu przybyszowi, że tak jest, a jednak tak jest. Szacunek i zamiłowanie niesłychane pracy — to potęga niezwalczona, oto przyszłość świetna i światowładna yankesów. Powtarzam jeszcze raz: yankes to robotnik czasem milionowy, czasem bie-

dny, ale zawsze robotnik; Meksykanin to drugi biegun, to antyteza yankesa.

Bogaty Meksykanin, to pan, w europejskiem znaczeniu tego słowa. W Los-Angelos widywałem niekiedy arystokratycznie wyglądających dżentlemenów, w czarnych najnowszej mody surdutach i świetnej bieliźnie, odbijającej jaskrawo od ciemnej ich płci, w powozach lub na dzielnych koniach, często ze służbą pieszą lub konną. Dystyngowana powierzchowność i duma malująca się w twarzach owych dżentlemenów zwróciły moją uwagę. Uważałem, że chcąc naprzykład kupić coś, nigdy nie wchodzili do sklepu, ale zatrzymywali się na ulicy, kupiec zaś z pośpiechem wychodził pytać, czegoby żądali. Pytałem kto oni są, odpowiadano mi z ironicznym uśmiechem, że to Meksykanie, panowie Jorba, posiadacze ziemscy, do których przed niedawnym jeszcze czasem należały całe „caniony“ w południowej Kalifornii. Niektórzy jeszcze mają znaczne posiadłości, ale po większej części niesięgające dziesiątej części tego, co posiadali dawniej. Najbogatszego z Jorbów liczył znajomy mi kupiec Hobson na czterdzieści do pięćdziesięciu tysięcy dolarów, ale mówiąc o tem, dodawał zawsze z nieukrywanem zadowoleniem: „to się jednak skończy wkrótce“.

— A cóż potem będzie? — pytałem.

— Potem? Potem paść będą nasze owce. Rzecz to bardzo prosta, zdaje się. Jeżeli Jorba posiada-

jący 40,000 dolarów ma czterech synów, to każdy z tych synów odziedziczy tylko 10,000 dolarów: nieprawdaż?

— „Certainly!“ to jest prawda.

— Otóż wiedz pan o tem — mówił dalej Hobson — że każdy z tych synów będzie żył tak samo jak jego ojciec, chociaż będzie posiadał czwartą część tego co ojciec. To ruina nieuchronna.

O! mój Hobsonie, myślałem sobie, iluż-to ja znam Jorbów za oceanem. Masz racyę! ruina nieuchronna, ale nie wiem, czy to dopuszczenie Boże, czy co? dość że Jorbom już nie mieści się w głowie tak prosta logika. Gdyby Hobson umiał po łacinie, opisałby mi Jorbów jednem słowem: *moriturі*. Później poznałem ich osobiście. Są to dżentlemeni w całem znaczeniu tego słowa: gościnni, dumni, uprzejmi, waleczni, słowem rycerze, którym nie brak nawet tej cechy arystokratycznej, że nie płacą swych sklepowych długów. Ale poznawszy ich, przekonałem się także, że przy tych wszystkich przymiotach, są to ludzie wprawdzie bardzo dobrze wychowani, ale poprostu nieoświeceni. Są to głowy, w których zewnętrzna, prawie wrodzona ogłada, pokrywa wewnętrzny obskurantyzm, massę przesądów i brak wielu elementarnych poprostu wiadomości. Pierwszy lepszy kupiec lub robotnik amerykański, który żuje tytuń, nie nosi nigdy krawata, zakłada nogi na krzesła, słowem, pierwszy lepszy amerykański, wedle naszych pojęć, gbur, umie ma-

tematyki, historyi, geografii, nauk przyrodzonych i społecznych daleko więcej, niż elegancki pan Jorba. Zato pan Jorba często umie po francusku. Pan Jorba mieszka w Stanach Zjednoczonych; w Stanach Zjednoczonych są dwie partye: republikańska i demokratyczna, ty czytelniku przyjeżdżasz z Polski, i nie mając dokładnego pojęcia o tych partyach, pytasz o nie pana Jorbę. Czy wiesz, co się pokaże? Oto, że pan Jorba jeszcze mniej rozumie tej rzeczy od ciebie, a jeśli będziesz bardzo go nacierał, powie ci w końcu: „*Vous-savez...* kłóci się jakaś kanalia o coś między sobą, ale my się w to nie mieszamy“.

Oczywiście istnieją mniej więcej liczne od tej zasady wyjątki. Znajdą się rodziny meksykańskie bogate między kupiectwem, albo, jak mówią kupcy, „domy solidne“, niektórzy Meksykanie piastują poważne urzędy w państwie kalifornijskiem, ale że wogóle ludność ta marnieje pod naciskiem brata Jonathana, dowodem tego najlepszym wspomniane już przeze mnie wywłaszczenie z ziemi wszelkich posiadaczy pochodzenia hiszpańskiego. Koło Sacramento, koło San-Francisco, ogromne obszary należące niegdyś do rozmaitych „domów“, obecnie zasiane są farmami pozostającemi w ręku kolonistów północno-amerykańskich. Przypatrzmy się tylko nazwom miejscowości w całej Kalifornii. Poczynając od San-Francisco, Sacramento, i idąc ku południowi, spotykamy wyłącznie nazwy hiszpańskie: więc Mer-

ced, San-Louis Obispo, Santa-Barbara, Santa-Monica, Los-Angelos, San-Diego. Wymieniam tylko znaczniejsze miejscowości, ale i nazwy drobnych miasteczek, rzek, gór, bodaj nawet i znaczniejszych farm, wszystkie są hiszpańskie. Dowodzi to, że bądź co bądź, kraj był zaludniony niegdyś przeważnie ludnością meksykańską; wiemy zresztą, że Kalifornia nie tak dawno oderwaną została od Meksyku: swoją drogą dziś w tych hiszpańskich miastach, miasteczkach, farmach, górach mieszka ludność północno amerykańska, a dawna na północy znikła prawie już zupełnie, na południu zaś po większej części stanowi tylko najniższą robotniczą warstwę ludności.

Ani rządowi, ani ludności Stanów Zjednoczonych nie przychodziło nigdy do głowy amerykanizować kogokolwiek lub cokolwiek. W Kalifornii nie zmieniono ani jednej nazwy na angielską. Zakładają kolonię Niemcy, zwą ją Berlinem, zakładają Francuzi, zwą ją Paryżem, Polacy Warszawą, Rosyanie Petersburgiem i *all right!* Niech sobie miasto nazywa się nawet Szang hai, dla każdego Amerykanina to wszystko jedno. Prócz tego, niemasz w całej Ameryce (U.S.) wielkiego miasta, gdzieby rozmaite narodowości nie miały stowarzyszeń, pozakładanych z wyraźnym i jawnym celem podtrzymania narodowości, języka, patryotyzmu. Rząd nietylko nie sprzeciwia się podobnym stowarzyszeniom, ale

zapewnia im też same przywileje i prawa, jakie przysługują stowarzyszeniom wogóle.

Nawiasowo zauważę teraz, że nie widziałem nigdzie, aby narodowości wynaradawiały się tak prędko, jak tu. Dzieci przybyłych do Stanów Zjednoczonych Niemców, Francuzów, Polaków, Rosyan, jeżeli nawet umieją jeszcze język ojczysty, wolą mówić, nawet między sobą, po angielsku. Wyjątek stanowią tylko Chińczycy, których w Kalifornii jest mnóstwo, a którym osobną z czasem korespondencyę poświęcę.

Wracam do Meksykanów. Nie wynaradawiał, nie wypędzał i nie uciskał ich nikt; owszem, ci, którzy utrzymali się jeszcze, a którzy pamiętają dawne czasy, otwarcie przyznają, że rząd Stanów Zjednoczonych jest lepszy niż dawny meksykański, i wcale nie okazują ochoty przyłączenia się do metropolii. Toż samo równouprawnienie i opieka, które są udziałem wszelkich narodowości, były udziałem i hiszpańskiej, a jednak ludność ta straciła grunt pod nogami.

Między Meksykanami znalazłem jeszcze jedną, im tylko właściwą cechę, to jest pychę pochodzenia i lekceważenie wszelkich innych narodowości, a zwłaszcza niesympatycznej im anglo saskiej.

Czy uwierzylibyście, że pierwszy lepszy *caballero* meksykański, któremu kolano nagie wyłazi z majtek i który za cały majątek posiada jedną derkę, jedną koszulę, parę wspomnianych, wielce uszko-

dzonych inekspymabli, chudego jak Rosinant konia, lasso i paczkę *cigarittos*, że taki tedy caballero, dlatego tylko, że płynie w nim krew hiszpańska, do głębi duszy jest przekonany, że jest czemś lepszem od tych *yankesów*, u których zresztą służyć musi. Znane owo porównanie: „dumny jak żebrak hiszpański", nigdzie może nie wydaje się tak prawdziwem, jak w zastosowaniu do tej ludności. Duma owa często może zresztą bywa sztuczną, często ukrywa pod dziurawym swym płaszczem charakter nizki, kłamliwy, chciwy zysków lub datku. Wogóle, moralność niższych warstw meksykańskich stoi tak nizko, jak i ich oświata. Wspomniałem już, że tylko energia żywiołu anglo-saskiego wstrzymuje ogół meksykańskiego gminu od grabieży, rabunków i ciągłych zaburzeń, jakich ustawiczną widownią jest Meksyk. Ale z owej sztucznej lub prawdziwej dumy, z owego rzeczywistego lub pozornego poczucia własnej godności, wyrodziła się jedna szczególniejsza cecha, wyróżniająca ten gmin od każdego innego, to jest grzeczność nadzwyczajna, posunięta aż do śmiesznej ceremonialności. W zwyczajnej rozmowie jeden Meksykanin nigdy inaczej nie nazywa drugiego, jak *caballero* (rycerz); jeśli jeden drugiemu zaprzecza, czyni to z wszelkiemi zastrzeżeniami, oddając zwykle sprawiedliwość głębokiemu rozumowi przeciwnika i trafnemu na rzecz poglądowi. Pierwsi lepsi dwaj obdartusi, wchodząc naprzykład do wenty, czyli po naszemu szynku, czy-

nią na progu wszelkie ceremonie i spory o to, który ma wejść pierwszy; słowem, jeśli w stosunkach z północnymi Amerykanami podróżnika przywykłego do europejskiej ogłady razi ich zaniedbanie wszelkich form, w stosunkach z Meksykanami znaleźć ich może aż zanadto.

Gdy Plesent zapoznawał mnie z Salwadorami, każdy z tych rycerzy podnosił się kolejno, uchylał kapelusza, w którym często było tyle dziur, ile w dachu żydowskiej karczmy; następnie, składając ceremonialny ukłon, wyciągał prawicę z taką dystynkcyą, gracyą i poczuciem własnej godności, jakich nie powstydziłby się żaden galicyjski hrabia. Zauważyłem następnie, że dżentlemeni ci, jakkolwiek wszyscy krewniacy, stryjeczni lub nawet rodzeni, nie opuszczali przecie, mówiąc ze sobą, grzecznego *usted* lub *caballero*. Sądząc, że nie rozumiem po hiszpańsku, nie chcieli się przedstawiać grzeczniejszymi niż byli w istocie, nie było więc nic udanego w ich rozmowie. Trzymali się jednak razem i jakby w pewnem oddaleniu od Shrewsburych, Dżaka, a nawet i Plesenta, zachowując zresztą w stosunkach z nimi zwykłą grzeczność. Było to nawet trochę śmieszne, rubaszni bowiem Amerykanie widocznie, nie byli zdolni ocenić jak należy ani tej towarzyskiej polityki, ani owych uprzejmości, i ze swej strony, jako bogatsi uważając się za coś lepszego, obchodzili się cokolwiek protekcyonalnie z czarnowłosymi rycerzami. Zresztą

harmonia panowała między obiema stronami jak najlepsza, tembardziej, że nie licząc pani Refugio, żaden z Meksykanów nie umiał po angielsku, skwaterowie zaś północni bardzo mało po hiszpańsku.

Nakoniec wieczerza była gotowa. Zasiedliśmy do niej pod werendą, nie na krzesłach, ale na starych ulach, mających kształt skrzynek. Lucyusz, ciągnięty przeze mnie za język, począł opowiadać swoje myśliwskie przygody.

— *By God!* — mówił — rok temu niedźwiedź miał mnie już pod sobą i gdyby nie Sam, przysięgam na tę prawą rękę, że nie siedziałbym tu w tej chwili.

— *Well* — odrzekł na to flegmatycznie Sam, gładząc podgarle — opowiedz dżentlemenowi swoje wyprawy do Arizony.

Weszliśmy więc na Arizonę. Lucyusz znał, jak utrzymywał, każdy jej zakątek, zwiedzał ją bowiem ze starym awanturnikiem, nazwiskiem Rub. Wypytywałem go o Indyan tamtejszych, Apaczów i Komenczów, o których dzikości i męstwie wiele słyszałem. Ale Lucyusz nie podzielał tego zdania. Apaczowie nie są wcale w Arizonie tak dzicy, jak o nich myślą, mówił. Często zachodzą do miast tamtejszych Prescot i Tuscon, za kupnem różnych towarów, które wymieniają za skóry, wogóle przytem obawiają się białych ludzi. Dawniej było co innego: napady, grabieże i mordy zdarzały się codziennie. Nawet osady o znacznej stosunkowo ludności

bywały zagrożone. Lucyusz pamiętał jeszcze dobrze te czasy. Opowiadał mi np., że zaszedłszy raz z Rubem do dwóch górników Francuzów, zastał ich obydwóch zamordowanych i oskalpowanych. Lucyusz także brał niejednokrotnie udział w walkach z czerwonymi. O ich męstwie mówił z lekceważeniem i pogardą. Twierdził, że w otwartej bitwie nigdy nie umieli dotrzymać białym i że wszystkie napady odbywały się nocą, niespodzianie z zasadzki. Zresztą, obecne pokolenia, żyjące w pobliżu osad, uspokoiły się już, zmuszone do tego krwawem doświadczeniem.

Przed paru laty odkryto w górach, przebiegających we wszystkich kierunkach kraj ten, obfite pokłady srebra, za którem to odkryciem nastąpiło zaraz obfite przesiedlanie się górników z Kalifornii, a w miarę zwiększania się ludności i większe stosunkowo bezpieczeństwo. Tylko pokolenia mieszkające na stepach, w górach, zwłaszcza ku wschodowi i południowi, są jeszcze dzikie i drapieżne. Szczególniej odznacza się tem pokolenie Moave, mieszkające na granicy Sonory. Wypytywałem się o te szczegóły bardzo dokładnie, miałem bowiem zamiar puścić się do Arizony z pierwszą lepszą karawaną górników, lub osadników szukających roli. Obecnie dosyć to łatwo doprowadzić do skutku, w całej bowiem południowej Kalifornii panuje dość ożywiony ruch emigracyjny w tamtę stronę. Z tem wszystkiem, mimo tego ruchu, ponieważ sa-

ma Kalifornia, na przeszło sześciu tysiącach naszych mil kwadratowych, nie posiada jeszcze miliona mieszkańców, w środkowej zaś i wschodniej swej części prawie jeszcze jest pustą, więc i przyrost ludności w Arizonie nie może być znaczny. Dziś można powiedzieć, że ogromny Stan ten po największej części jeszcze jest bezludny. Główne miasta tameczne: Prescot i Tuscon, są osadami liczącemi zaledwie po kilkuset mieszkańców, w górach gdzieniegdzie istnieją małe osady „minerskie“, w rzadkich dolinach, obfitujących w drzewo i wodę, tu i owdzie trafi się farma lub „estancia“ pasterska, a zresztą tysiące mil gór i stepów są jeszcze głuche, milczące i bezludne. Większa część osadników prowadzi dotychczas życie pionierskie, to jest z palcem na cynglu od karabina. Górnicy i nieliczni pasterze po wybrzeżach rzek Gila i Colorado, żyją pod namiotami.

Kraj nie produkuje jeszcze tyle, aby się sam mógł wyżywić, a ponieważ metalu, mianowicie srebra, jest obfitość, zapasy zaś żywności trzeba sprowadzaać albo niesłychanie trudną drogą przez pustynie, albo przez ocean, naokoło Lower-California i zatoką Rubinową przez Colorado, drożyzna jest więc niesłychana. Funt mąki kosztuje dolara, funt kartofli cztery bity, czyli przeszło pięć naszych złotych. Podobne stosunki istniały dawniej w Kalifornii. Górnicy posiadający mało pieniędzy, a wiele srebra *in natura*, lub też złotego piasku, płacą za

wszystko najczęściej nie pieniędzmi, ale surowym metalem. Kupcy mają z tego powodu znakomite zarobki. Wogóle jednak Lucyusz odradzał mi podróż do tego Stanu.

— Nie możesz sobie wyobrazić — mówił — co to za posępna i okropna okolica. Widziałem rozmaite pustynie. Lower-California jest pustynią, ale rosną na niej przynajmniej kaktusy i palmety. W naszej Kalifornii, również na drodze od Los-Angelos do St.-Francisco, rozciąga się ogromna przestrzeń bezwodnego stepu, ale i ten pokryty jednym lasem palmetów, gdy tymczasem w Arizonie niema i tego nawet.

— Cóż tedy jest w Arizonie? — pytałem.

— Co jest? — odrzekł — powiem krótko: góry, skały, kupy siwych kamieni i step; ani wody, ani trawy, ani drzew, nic i nic, tylko kupy kamieni i łyse góry. Prawda, srebro tam leży wszędzie, ale niech przeklęty będzie mój język, jeśli warto tam je zbierać.

Potem pytałem o Gila i Colorado. Lucyusz przyznał, że brzegi ich są rzeczywiście żyzne i bujnie porośnięte, ale za tym zielonym pasem zaraz zaczyna się bezpłodna pustynia. Tam przecie rodzi się ów „Santa-Ana-wind“, który dusi nas tu od czasu do czasu. Nakoniec co do canionów w tamtejszych górach, znam ich, mówił Lucyusz, bardzo wiele. Lasów tam niema takich, jak w naszych: kryki mniejsze, a przytem prawie niedostępne. Wre-

szcie, jeśli gdzie i jest las, tam stoją wigwamy apaszów. Samemu lub w małej liczbie towarzyszów niebezpiecznie tam chodzić.

— Niech przeklęta będzie Arizona! — zakończył wreszcie Lucyusz. — Zakładam się, że tam nigdy ludzie nie osiędą.

Opowiadaniom jego nie miałem powodu nie wierzyć, sam bowiem widziałem kraje, bardzo do powyższego obrazu podobne. Naprożno starałbym się np. odmalować czytelnikowi, jakie straszne, jakie przygniatające wrażenie czyni Wyoming, Utah i Newada, przez które przejeżdżałem wielką koleją Dwóch oceanów. Oko nie tam nie znajdzie, prócz to bezmiernego stepu, to dantejskich złomów i rozłomów skał, to urwisk, których nazwy same, połączone zawsze z imieniem dyabła, przejmują dreszczem, to nakoniec słonych jezior, odbijających szare posępne niebo. Na przestrzeniach tak rozległych, jak europejskie mocarstwa, nie widziałem ani jednego drzewa. Szare stadka antylop lub wielkich jeleni migały czasem po skałach, ale czem żyją i co piją te stworzenia, to dla mnie dotychczas zagadką.

Wreszcie, nie szukając daleko, sama Kalifornia, lubo w ślicznym klimacie, lubo przeważnie urodzajna, bujna i wypieszczona przez ludzi i naturę, ma jednak miejscowości ogromne prawie zupełnie bezwodne, stepowe, pustynne. Zwiedziłem np. niedawno ogromną pustynię środkową i spróbuję ją

opisać w następnych listach, tu zaś nadmienię tylko, że także nie mogę inaczej powiedzieć, jak że byłem w krajach Danta, w krainie śmierci. Widziałem lasy palmetów, rosnące nakształt posępnych kolumn na piaszczystych bezbrzeżach. Posępne, dziwne jakieś gałęzie ich sterczą, jakby ramiona wyciągnięte ku niebu z rozpaczliwą prośbą o ratunek. Milczenia w takim potępionym lesie nie przerywa ani jedno żywe stworzenie, cicho i cicho! Wiatr nie poruszy nawet porosłych jakby pleśnią i kurzem, przesmutnych ramion drzewnych, ani jednej kropli wody nie znajdziesz na przestrzeni kilkudziesięciu mil kwadratowych, cienia nie dają te szeregi kolumn; ujedziesz między niemi całe dziesiątki mil. a przeraźliwa jednostajność ani na włos się nie zmieni: tenże sam piasek pod nogami, też same równe, jakby z pod cyrkla i linii pnie kosmate, też same gałęzie zadarte w górę.

Ostateczności wreszcie takich znajdziesz mnóstwo w Kalifornii. Za doliną Yosemita, owem artystycznem marzeniem Bożem, gdzie promienne warkocze kaskad przewiązują się wstęgami tęczy, gdzie zwierciadła jezior, rzekłbyś, pochłonęły wszystek łazur niebieski, gdzie drzewa wznoszą się na czterysta stóp wysokości, a ziemia zatopiona powodzią kwiatów, o ścianę skalną zaczynają się bezpłodne i bezwodne stepy. O Arizonie słyszałem potem i inne opowiadania, w mniej czarnych malujące ją barwach, ale więcej wierzę Lucyuszowi, ten bowiem

był tam prawie wszędzie i wszystko własnemi oczyma oglądał.

Skończywszy o Arizonie, począł opowiadać dalszy ciąg swych przygód myśliwskich, poczem rozmowa zeszła na niedźwiedzia, z którym mieliśmy rozprawiać się nazajutrz. Stary Indyanin, Ramon, zamieszkały u Plesentów, zabrał głos i oświadczył, że zwierz to jest [illegible] (bardzo wielki). Dowiedziałem się jednocześnie, że właściwe kółko myśliwskie stanowią tylko dwaj Skrewsburowie, Dżak, Plesent i ja, bo przybyli Meksykanie za całą broń posiadają lassa i noże. Mieli za to pilnować obu wyjść z doliny i w razie, gdyby zwierz chciał się wymknąć tamtędy, rzucić na niego sznury i zatrzymać na miejscu. Starzy Kalifornijczycy często wychodzą na niedźwiedzia tylko z lassami, ale niezrównana ta broń może być skutecznie użytą wyłącznie z konia, zatem nie w urwiskach i zaroślach.

Tymczasem skończyła się wieczerza i zasiedliśmy na nowo przy ognisku. Stary Ramon wziął w usta instrument, zwany [illegible], i utkwiwszy oczy w niebo, jak pozujący koncertant, począł na nim brzdąkać. Zdala z ciemności dochodziły parskania meksykańskich mustangów, poprzywiązywanych lassami do drzew i dzwonki kóz angorskich, zamkniętych w korallu położonym na pochyłości góry. Słyszałem te dzwonki potem przez całą noc, przywiązują je bowiem koniom i kozom dla odstraszenia dzikich zwierząt. Dźwięk ich przygłuszony, ja-

koby echowy, sprawia wrażenie smutne, ale łagodne i skłania do marzeń.

Siedzieliśmy wszyscy przez jakiś czas w milczeniu, przerywanem tylko przez trzask palącego się drzewa i ciche tony *cyolla*. Wkrótce jednak milczenie to przerwane zostało jednym z codziennych wypadków w tych górach. Koło korralu z koźlętami zaczął szczekać pies, inne poleciały zaraz za nim i przez chwilę wąwóz rozlegał się żarliwem ujadaniem. Pleasant zapalił długą smolną szczypkę drzewa, wziął strzelbę i poszedł zobaczyć co się dzieje. Za nim poszedłem ja także i stary Ramon. Białe koźlęta beczały przeraźliwie, psy zaś, zebrane pod jednem wielkiem drzewem, popodnosiły w górę paszcze i wyły. Ramon, zebrawszy kilka kamieni, począł rzucać nimi w drzewa, świszcząc przytem przeraźliwie. Przez chwilę nic poruszało się nic, ale po chwili ujrzeliśmy ciemne zwierzę wielkości średniego psa, przeskakujące tak szybko na następne drzewo, że Pleasant nie zdążył za niem strzelić.

— Co to było? — spytałem.

Lynx! pomorek na jego potomstwo! — odpowiedział Pleasant. — Przywiązuję dobrego psa w korralu, a jednak to nic pomaga. Przeszłego roku srebrny lew wybrał mi dwanaście koźląt i starego kozła, za którego w Los Angeles zapłaciłem siedmdziesiąt pięć dolarów gotówką.

Szliśmy przez chwilę w milczeniu, przyczem oddaliłem się trochę na bok, wybierając drogę, jak

mi się zdawało, krótszą, gdy nagle skwater zawołał:

— Nie tędy! nie tędy! ostrożnie, bo złapiesz się pan w żelaza.

Jakoż niewiele już do tego brakło. Dwa sąsiednie koralle, jeden z kozami, drugi z kozłętami, były to niby małe fortece, do których nie łatwo było wedrzeć się wrogom. Ale nie też nie nęciło tak wszelkiego rodzaju drapieżników, jak owa smakowita zdobycz. Całe życie Plesenta było ciągłą z niemi walką. Plesent, jeden z pierwszych zapewne skwaterów, wprowadził chów kóz angorskich w górach Santa-Ana i miał już z niego znakomite korzyści, wełna ich bowiem o wiele jest droższa od owczej. Kalifornia hoduje wprawdzie setki tysięcy, a może i miliony owiec, ale hodowla ta trafia na jedną nieprzezwyciężoną jeszcze dotąd zupełnie trudność. Oto wszystkie stepy i góry kalifornijskie pokryte są gatunkiem ostu, którego małe, mikroskopijne prawie szyszki zaplątują się w wełnę, przez co utrudniają niezmiernie jej przędzę. Dotychczas, mimo licznych prób, nie wynaleziono jeszcze środka zaradczego, skutkiem czego i wełna nie ma tej ceny, jakąby mieć mogła i powinna. Kozy angorskie mniej są narażone na owe szyszki, sierść ich bowiem nie kędzierzawa, tak jak wełna owcza, ale długa i wisząca, i mniej chwyta szyszki i łatwiej może być z nich oczyszczoną. Dlatego sądzę, że jakkolwiek chów kóz angorskich możliwy

jest tylko w górach, rozwinie się on w przyszłości znakomicie i utworzy z czasem nowe a potężne źródło krajowego dochodu.

Chów ten zresztą, o ile mu się przypatrzyłem, nie przedstawia żadnych trudności. Skoro zaświta, otwierają koralł, kozy wychodzą w góry, idą gdzie chcą, jedzą co chcą, na noc zaś wracają do koralla. W dzień nie są narażone na napady drapieżnych zwierząt. Mimo przykrego zapachu, jaki wydają te zwierzęta, przypatrywałem się im czasem całemi godzinami. Oczy ich wielkie i łagodne, jedwabista, srebrna albo blado-złotawa sierść nadają im dziwnie wdzięczną postać. Kozły zwłaszcza mają sierść tak długą, że widać im z pod niej nogi tylko od kostek; najpiękniejsze jednak są małe koźlęta, o sierści krótkiej, mlecznej i ruchach gazelli. Po skałach, urwiskach, nad przepaściami wieszają się z nieporównaną zręcznością. Kozieł, brodacz z miną starego rozpustnika, jest wodzem, a przytem despotycznym władcą całego stada. On najpierwszy wychodzi rankiem z korallu; on prowadzi całe stado, pobrzękując dzwonkiem i kiwając poważnie głową; on wybiera miejsce paszy, nie dozwala zbyt rozpraszać się małżonkom, nagradza pieszczotami posłuszne, nieposłuszne zaś karci umiarkowanymi ciosami rogów. Wogóle wydaje się rozwiązłym, ale poważnym, statecznym i pełnym ufności w siebie. Z powodu ogromnej głowy, jeszcze większych rogów i obfitej szerści, robi wrażenie wiel-

kiego zwierzęcia, w rzeczywistości jednak jest mały, a gdy go ostrzygą, wygląda jak pierwszy chłystek. Z psów nic sobie nie robi. Gdy zobaczy obcego, idzie wprost na niego, wytrzeszczając głupowate oczy, kiwając brodą i spluwając głośno, jak gdyby z obrzydzenia. Jeżeli pies nie ustępuje, albo, co zdarza się najczęściej, zatrzymuje się wietrząc i przypatrując się także dziwolągowi, wówczas i kozieł, zbliżywszy się o kilka kroków, staje, przez chwilę patrzy, kicha jeszcze groźniej, nakoniec zniżywszy rogi, rzuca się jak piorun na wroga.

Pies mój był ustawicznym przedmiotem podobnych napaści. Zdarza się, że wojowniczy kozieł rzuca się i na swego pana, w chwili gdy ten otwiera koralł, ale pan chwyta go wówczas za sierć, jedną ręką koło karku, drugą koło ogona, i bez dalszych ceremonii przerzuca przez płot o dziesięć kroków. Obrażony takiem postępowaniem, sułtan wyraża swoje oburzenie głośnem plunięciem i oddala się pośpiesznie.

Stary Indyanin, Ramon, który specyalnie zajmował się temi kozami, kochał je jak własne dzieci. Wracając z za koralla po odstraszeniu rysia, zabrałem z owym caballero bliższą znajomość. Był to starzec siedmdziesięcioletni z białymi włosami, ale czerstwy i zdrowy. Twarz jego miała kolor bronzu. Mówiono, że nie był zupełnie czystym Indyaninem, ale jeśli płynęła w nim jaka domieszka krwi białych, to musiała być bardzo nieznaczną. Parę ły-

ków „brandy,“ które ofiarowałem mu z mej manierki, otworzyły mi jego serce. Siedliśmy potem koło siebie przy ognisku i poczęliśmy rozmawiać. Pytałem go, gdzie mieszka. Odpowiedział: w górach! A gdzie jest *la casa de usted?* (dom jego?). On zaś: O! bobre Ramon! nie ma wcale domu. Mieszka czasem u Plesentów, czasem u Shrewsburych, czasem w namiotach Salvadorów, ale najczęściej u Plesentów, bo to bardzo, bardzo dobrzy ludzie. Dawniej, ale to bardzo dawno, Ramon miał żonę i dzieci, i szałasy, i stada własne. Potem... ta nieszczęsna woda ognista... Ot, co tu mówić: teraz Ramon *solo* ach! *solito*, powtarzał żałośnie... *solito*. To rzekłszy, wziął swoje *cyotte* i począł znowu na niem brzdąkać, utkwiwszy oczy w ciemne, gwiaździste niebo.

Przypatrywałem się z ciekawością temu instrumentowi, nad który niema pewno prostszego na świecie. Wszystkie prawie stoki gór pokryte są rośliną, zwaną po hiszpańsku *cyotte*, której angielskiej nazwy nie mogłem się dopytać. Cyotte jest to kępa liści podobnych do liści naszych lilii lub tataraku, tylko twardszych i zakończonych kolcami. Ze środka tych liści strzela w górę długa od pięciu do ośmiu stóp biała laska, grubsza od dołu, a zwężająca się ku górze. Koniec tej laski pokrywa się na wiosnę liściami przepysznego purpurowego kwiatu. Jest to roślina niezmiernie pożyteczna. Rdzeń laski, podobny do bzowego, lekki i wypełniający całą długość rośliny, dostarcza Indyanom i Meksykanom sma-

cznego pokarmu. Jedzą także i korzeń. W czasie wycieczek myśliwskich w górach, próbowałem go niejednokrotnie. Ma on smak świeżego włoskiego orzecha. W czasie kwitnienia, około kiści purpurowych iskrzą się roje kolibrów i wielkich motyli, pszczół i bąków. Jesienią, gdy kwiat opadnie, a łodyga wyschnie należycie, wtedy jest przydatną do robienia instrumentów. Obcinają ją wówczas u góry i u dołu, potem przywiązują na niej strunę podpartą z jednej strony kijkiem i instrument gotowy. Jest to więc harfa o jednej strunie, ale gra się na niej inaczej, jak na zwyczajnej. Stary Ramon brał cieńszy koniec w usta i palcami jednej ręki przyciskał w rozmaitych miejscach strunę, dla wydobycia rozmaitych tonów, drugą zaś ręką ją trącał. Pomimo całego ubóstwa dźwięków, Ramon potrafił jednak wygrać rozmaite melodye meksykańskie, po największej części melancholiczne i rzewne. Jeden z Salvadorów wtórował mu od czasu do czasu głębokim i dźwięcznym jak metal barytonem, którego pozazdrościłby mu niejeden śpiewak operowy. Treść piosenek była po największej części miłosna: „Gdym spał pod cieniem magnolii, śpiewał Francisco Salvador, śniłem o tobie; gdym się zbudził i nie ujrzał ciebie, począłem tak płakać, żem usnął znowu!...“ Po takim krótkim przedśpiewie, następował przestanek; przez chwilę słychać było tylko dzwonki kóz i tony *cyotte*, a potem śpiewak kończył podnie-

sionym głosem, wyrażającym jak najgłębszą tęsknotę: „O Julia! o Julia!“

Większe jednak jeszcze wrażenie uczyniła piosenka, wyrażająca żal kochanka po utracie narzeczonej. „Deszcz odświeżał dla ciebie powietrze, wiatr chłodził cię, moskity uciekały od ciebie, figa pochylała ci gałęzie z owocami; gdzie nastąpiłaś, wyrastały kwiaty: jam ciebie kochał, o! kochał bardzo, a jednak opuściłaś mnie, dziewczyno.“ Po skończeniu piosnki nastała długa chwila milczenia. Donnie Refugio przypomniała się zmarła siostra i łzy zabłysły w jej oczach, więc chcąc je ukryć, wstała i poszła pozmywać statki po wieczerzy; Lucyusz Shrewsbury sposępniał jak noc, a Plesent zwróciwszy się do mnie, począł mówić:

— Pan nie znałeś siostry mojej żony? na imię jej było Monika. Kochaliśmy ją oboje jak własną córkę. Ach panie! taka była dobra, taka młoda, taka ładna, ważyła przeszło sto czterdzieści funtów! i ot, wąż ją ukąsił i umarła.

Byłbym gotów domieszać łzy moje do wspólnej łzawnicy nad losami pięknej Moniki, gdyby nie ta czysto amerykańska wzmianka o wadze stu czterdziestu funtów, która sprawiła, że musiałem przygryźć usta, aby się nie uśmiechnąć. Chcąc coś powiedzieć, spytałem, czy Monika już była narzeczoną? Na to Plesent spojrzał na Lucyusza, który patrzył ponuro w ziemię, i nic odrzekł nic. Potem dowiedziałem się, że nie była jeszcze narzeczoną, ale ko-

chali się oboje z Lucyuszem. Co za tragiczne rozwiązanie sielanki! co za powtórzenie smutnych losów Pawła i Wirginii! Lucyusz wyciosał własnemi rękoma trumnę dla kochanki. Na grób jej nanosił z siłą olbrzyma ogromnych kamieni, aby kujoty nie niepokoiły snu zmarłej, i między kamienie nasadził dzikich róż. Widziałem potem to miejsce. Róże dzikie przez rok rozrosły się bujnie... i gdym się zbliżył, chwytały kolcami za moje odzienie, jak gdyby zmarła dziewczyna starała się zatrzymać przechodnia i prosić o „Zdrowaś Marya!"

Tymczasem na owych gawędkach, śpiewach i rozmyślaniach zeszła znaczna część nocy. Była północ. Kogut począł piać pod szopą, w której stał wóz i maszyny pszczelnicze Plesenta. Starszy Shrewsbury wyciągnął nogi, pogładził podgarle i zwróciwszy się ku gospodarzowi, rzekł:

— *Well!* jutro wstaniemy o świcie!

Udaliśmy się na spoczynek. Meksykanie poszli do szopy, gdzie znajdowało się trochę słomy jęczmiennej, ale gdzie stał także odłączony od stada stary kozieł, zatruwający powietrze, Shrewsburowie zaś, ja i Dżak pokładliśmy się koło ogniska. Mimo, że byłem niezmiernie zmęczony, a może właśnie dlatego, nie mogłem usnąć. Lucyusz, Monika, stary Ramon, jutrzejszy szary niedźwiedź, wszystko to krążyło w bezładnem zwichrzeniu w mej głowie. Przytem w uszach brzmiały mi ciągle monotonne dzwonki kóz; czasem zakwiczały konie; czasem za-

wyły na szczytach dalszych gór zwierzęta, to znów psy zrywały się nagle i biegnąc z hałaśliwem ujadaniem, nikły w ciemnościach; sen zamknął mi powieki dopiero około godziny drugiej, gdy ognisko zasuło się popiołem i wygasło prawie zupełnie.

II.

Rozbudził mię chrzęst żelaznego stempla w lufie. Otwarłszy oczy, ujrzałem w półmroku, w półświetle, ogromną postać Lucyusza, pochyloną nad długą rurą karabina. Starszy Sam nie spał już także, Meksykanie ruszali się pod szopą, a w okienku Plesentów połyskiwało światło. Na niebie był dopiero pierwszy brzask. Niepojęty urok ma dla mnie zawsze ta chwila, w której Ormuzd kończy zwycięską walkę z Arimanem. Jest coś mistycznego w naturze, gdy powietrze poczyna nasycać się zwolna bladem światłem: coraz nowe przedmioty, to skały, to drzewa wychylają się stopniowo z cienia; światło określa ich kontury, bieli leciuchno linie, rysuje zwolna kształty, z początku szaro, blado, mętnie, sennie, potem coraz wyraźniej i wypuklej; rzekłbyś, ciemność miesza ze sobą przedmioty, unicestwia i roztapia je w sobie, brzask powołuje je napowrót do życia; uśpienie owija jeszcze świat, ale już zasłona nocy podnosi się i jawa, wraz z wrażeniami rzeczywistości, poczyna się podstawiać w fantasty-

czne obrazy snu. Jest to pół-istnienie, pół-nicość, pół-wid a pół-mara; jest to nakoniec szara granica między panteistycznym nieosobowym światem pomroki, a budzeniem się życia indywidualnego.

Wysoce tajemnicza i poetyczna chwila dla tego, kto ją umie uczuć i pojąć. Zabłąkanej w tych pustyniach leśnych, pod gorącem niebem Kalifornii, więc stęsknionej za krajem i rozkołysanej duszy mojej, wydała się ona jeszcze pełniejszą tajemniczych czarów i uroków. Tymczasem noc bladła i bladła, odległe przestrzenie z szeregami pni drzewnych stawały się coraz widoczniejsze dla oka; ranny ptak, dzięcioł, począł pukać w drzewo, jakby chciał mówić: „puk! puk! wstawajcie, oto dzień robi się na górach i dolinach!“ wreszcie w przerwie dwóch gór ukazały się pierwsze blaski jutrzni porannej.

Leciuchna, przejrzysta, seledynowej barwy smuga wyciągnęła się nakształt pasem i włókien na wschodzie. Niebo całe było jeszcze chłodne, ciemne i zimne, ale smuga rosła, rozlewała się coraz szerzej. Zwolna górny jej brzeg począł przemieniać się w blado-żółtawy szlak. Oko nie mogło uchwycić przemiany tonów, tak nieznacznie jedna barwa topniała w drugiej. Błękit, blade złoto i blada zieloność igrały ze sobą przez chwilę, aż wreszcie wszystkie przesłoniły się niby leciuchną mgłą różaną. Wstawała jutrzenka: „różanopalca jutrzenka,“ jak ją nazywa Homer, śliczna, zapłoniona, zalewająca góry

i doliny radosnem światłem i zmieniająca na brylanty krople rosy wiszące na liściach dębów. Była jakaś radość prawdziwa w tym dziewiczym, młodym jeszcze świecie, budzącym się do życia, z ochotą do życia i wiarą w życie. Ptaki poczęły śpiewać, kozy beczeć, psy skakać wesoło i biegać. Na wszystkich skłonach gór ozwało się zwykłe: „o ho! ho!“ kuropatwich kogutów, zwołujących samice. My wszyscy byliśmy w doskonałych usposobieniach. Poważny nawet Sam śpiewał znaną pieśń amerykańską, w której co zwrotka powtarza się: „Hej ho Mississipi, Mississipi *river!* Wreszcie opatrzywszy broń, ruszyliśmy na wyprawę.

Zeszedłszy do kamiennego korytarza, puściliśmy się w górę potoku. Plesent i stary Ramon, jako najświadomsi miejscowości, szli naprzód, drugę parę stanowiłem ja i Lucyusz, Sam zaś z Dżakiem zamykali pochód. Meksykanie wyruszyli jeszcze znacznie przed nami, jedni ku zachodniemu, czyli dolnemu, drudzy ku wschodniemu, czyli górnemu biegowi strumienia. Ci ostatni część tylko drogi mogli iść łożyskiem, dalej zaś, jak to wskazywały ślady, wdarli się na brzeg i przejechawszy wzgórze, około którego zaginał się strumień, skrócili sobie przez to znakomicie drogę. Celem ich było wedrzeć się w głąb gór jak można najdalej, aby wrazie, gdyby zwierz chciał ujść w górę łożyska, przeciąć mu drogę. Plan tedy wyprawy, ułożony przez Ramona i Lucyusza, polegał na tem, aby kawalerya, zająwszy dwa uj

ścia doliny, napędziła zwierza na piechotę, znajdującą się w środku. Niedźwiedź mógł wprawdzie tak dobrze starać się ujść bokami, jak i łożyskiem, ale że boki doliny utworzone były przez skłony gór dość spadziste, a widne dla oka, zrzadka bowiem tylko zarośnięte dębami, w takim więc razie, ujrzelibyśmy go z pewnością. Zresztą Ramon, który był znakomitym traperem, utrzymywał, że niedźwiedź prawie napewno będzie się znajdował na jednem wzgórzu, tworzącem zagięcie strumienia i wystającem niezmiernie stromo nad wodę. O trzy mile od granicy klemu Plesenta, Ramon począł uważnie przypatrywać się wązkiemu szlaczkowi piasku, pomieszanego z miką. Przez chwilę badanie to było bezskuteczne, nagle jednak stary Indyanin pochylił się i wykrzyknąwszy zcicha: *hugh!* ukazał nam głęboki i wyraźny ślad. Był on tem widoczniejszy, że we wgłębieniu zebrała się obficie mika, ślad więc błyszczał jak pozłocony. Było ich trzy, z tych dwa tylko wyraźne; potem znowu nikły na kamieniach. Swoją drogą, Ramon umiał je dojrzeć tam nawet, gdzieby kto inny ich nie podejrzywał. Dziwny widok przedstawiał ten starzec z bronzową twarzą, a białymi włosami, wietrzący jak gończy pies, pochylający się co chwila i wykrzykujący raz poraz gardłowo: *hugh*. Wczorajszej nocy, gdy siedział w kucki przed ogniem, z łokciami opartymi na kolanach i mleczną głową wspartą na ręku, wydawał mi się zgrzybiałym prawie; dziś nozdrza jego były

rozdęte i poruszały się szybko, jak gdyby chwytając wiatr, oczy zaś błyszczące biegały z prawdziwie indyjską ruchliwością, badając każdy złam skały przy łożysku, każdy krzak na skłonach gór i wreszcie grunt pod nogami. Zbliżając się do owego wzgórza, na którem prawdopodobnie zwierz obrał stałą siedzibę, szliśmy coraz wolniej, a przytem tak cicho, że słyszałem doskonale szmer wody po kamieniach pukanie dzięciołów na drzewach i nawoływanie się kuropatw górskich. Ranek był śliczny, słońce już weszło, powietrze, przesycone miodowym zapachem szałwii, sprawiałoby prawdziwą rozkosz płucom, gdyby nie to, że miejscami zatruwały je obrzydliwe wyziewy skunksów, czyli śmierdzieli amerykańskich, małych, czarnych zwierzątek, nader obfitych w tych górach. Straszliwy zapach, jaki wydają, nie jest niczem więcej, jak tylko nadmiarem piżma, a zatem substancyi, która w małej ilości atomów jest nawet wonna, ale w nadmiarze poprostu dusi. Dom, pod którym ukrywa się skunks, staje się absolutnie nie do mieszkania; zapach wchodzi nosem, gardłem, przepełnia płuca, sprawia kształuszenie się i wymioty. Nie znoszą go nawet psy; kury zaś, poczuwszy go, wpadają w zupełne omdlenie.

W ciągu naszego pochodu, trzy lub cztery razy natrafiliśmy na ów zapach, tak, że z największem wysileniem potrafiłem wstrzymać się od kaszlu. Doszliśmy wreszcie do owego wzgórza, wystającego jakby trójkąt nad okrążającym je strumieniem. Na-

dzieja znalezienia na niem zwierza zmieniła się prawie w pewność, gdy stary Ramon ukazał nam tuż u jego stóp wielki kamień, porośnięty delikatnie ślizką warstwą mchu. Zwierz widocznie wdzierał się po nim na wzgórze i wdzierał się nie dawno, mech bowiem wilgotny widocznie świeżo był pościerany, w kresach zaś, utworzonych przez ześlizgiwanie się straszliwych pazurów, błyszczała rosa nocna. Ramon, wskazawszy na te ślady, wyszepnął cicho: *orso* i zaraz potem rozdzieliliśmy się na dwie partye. Lucyusz, Sam i Plesent okrążyli wystający cypel, aby się wedrzeć na wzgórze z drugiego boku, my zaś poszliśmy wprost pod górę. Zarośla były tu tak gęste, że postępować naprzód można było tylko nadzwyczaj wolno. Nasza trójka, to jest Ramon, Dżak i ja rozdzieliliśmy się także w ten sposób, że jeden od drugiego przynajmniej o czterdzieści kroków był odległy. Teraz zaczęło się prawdziwe polowanie. Całe wzgórze ciche było, jak grób; najbystrzejsze oko nie mogłoby dojrzeć nas, pełzaliśmy bowiem w zaroślach, ukryci nawet jeden przed drugim.

Od czasu do czasu tylko każdy podnosił głowę, aby po drżeniu krzaków przekonać się, gdzie są jego towarzysze. W ten sposób raz ujrzałem jasną brodę Dżaka, drugi raz pałające oczy Ramona. Upłynęło dziesięć minut, kwadrans, a zrobiliśmy zaledwie kilkadziesiąt kroków pod górę. Trafiłem na miejsce, gdzie u stóp zarośli leżał obficie żwir: małe kamyki poczęły staczać się i szeleścić, musiałem

więc przyczaić się i czekać. Następnie poruszyłem się jeszcze ostrożniej. Upłynęło wreszcie z pół godziny. Poczynałem się trochę niecierpliwić. Cisza i cisza! Podniósłszy głowę, dojrzałem na prawo i na lewo lekkie drżenie zarośli: towarzysze widać szli naprzód. Przyszło mi do głowy, że gdybyśmy podnieśli okrzyk, zwierz, jeśli istotnie znajduje się w zaroślach, ukazałby się prędzej. Była to prawda, ale też jeśli się znajdował blizko wierzchołka, od którego my byliśmy jeszcze odlegli przynajmniej na sześćset yardów, w takim razie przebyłby go i skrył się przed naszemi oczyma, zanimbyśmy zdołali uczynić połowę drogi. Zresztą niecierpliwość moja nie miała już być na zbyt długą próbę wystawiona. Upłynęło może jeszcze kilkanaście minut, gdy po drugiej stronie cypla huknął strzał karabinowy, potem rozległ się straszliwy ryk, potem wysilony okrzyk: *take care! take care!* Potem drugi strzał i trzeci. Zerwaliśmy się na równe nogi i biegli na złamanie szyi do cypla. Ramon, który był go najbliżej, dobiegł też najpierwszy. Widziałem go zdaleka, jak dobiegłszy, zatrzymał się i natychmiast przyłożył kolbę do twarzy. Potem buchnął strzał i znowu dwa jeszcze, i znowu ryk, odtąd już nieprzerwany i nawoływania: *take care* lub *come here!* Nakoniec przybiegliśmy na skręt, ja i najbardziej oddalony Dżak. Objąłem teraz okiem całą pochyłość drugiego boku. Wyżej stali dwaj Sbrewsburowie tuż koło siebie i nabijali na gwałt karabiny,

dalej zaś nieco stał Plesent, który mierzył spokojnie. Niedźwiedzia nie mogłem dojrzeć odrazu, po chwili jednak ujrzałem u stóp prawie wzgórza ogromną szarą masę, podobną do olbrzymiej kuli, wdzierającą się szybko na górę. Nie rozumiałem nic, co się stało. Spodziewałem się ujrzeć strzelców na dole, a niedźwiedzia u góry. Tymczasem stało się przeciwnie. Ale nie było czasu na tłómaczenia, wszystko bowiem, co opisuję, liczyło się na sekundy, nie na minuty. Plesent strzelił, szara masa wydała nowy rozpaczliwy ryk, ale wdzierała się dalej szybko. Wówczas wymierzyliśmy obaj z Dżakiem. Niedźwiedź zapadł na chwilę w zarośla, ale zaraz ukazał się na nowo. Wtedy strzelił Dżak. Po jego strzale zwierz porwał się na nogi, ale upadł wtył i stoczył się aż do potoku. Ogromne hurra! wyrwało się z naszych piersi. Sądziłem, że to już koniec, ale twardego życia potwór znowu się zerwał i począł, czepiając się pyskiem i pazurami krzaków, biedz na Shrewsburych. Bracia jeszcze raz dali ognia, my zaś z Dżakiem, posiadając czternasto-strzałowe karabiny, zwane „Henry-rifle," posyłaliśmy kulę za kulą. W tej chwili rozległ się tentent meksykańskich jeźdźców, którzy, galopując po przeciwległym, płaskim brzegu strumienia, wyli jak dzikie zwierzęta. Dwaj z nich, dopadłszy brzegu, przedzieleni od zwierza tylko strumieniem i niewielką przestrzenią skłonu wzgórza, zakręcili nad głowami straszliwe sznury, ale nim pętlice były rzucone, nowa salwa zakończyła dra-

mat. Zwierz stoczył się jeszcze raz na strumieniu, ale już nie zerwał się więcej. Mimo to, gdy chciałem biedz ku niemu, Dżak zatrzymał mnie grzmiącem: *stop!* Poczęliśmy schodzić pomału, wszyscy razem i z palcami na cynglach. O dziesięć kroków zatrzymaliśmy się gotowi do wystrzału. Zwierz leżał na brzuchu z wyciągniętemi łapami i drgał jeszcze. Z pyska wypływał mu ogromny strumień krwi, od czasu zaś do czasu dawało się słyszeć chrapanie konania. Piasek i trawa, na których leżał, poszarpane były strasznymi pazurami, okrwawione wargi i nos zwierza powalane piaskiem, za który widocznie chwytał z wściekłości zębami.

Lucyusz strzelił jeszcze raz, przyłożywszy prawie lufę swego „kentucky“ do głowy zwierzęcia, poczem drgania ustały, cielsko zaś wyprężyło się nieruchomo. *Enough!* (dosyć) rzekł flegmatycznie Sam. Poczem zaczęliśmy oglądać nieboszczyka.

Podziurawiony był jak sito. Jedna kula trafiła w głowę tuż koło ucha, druga pod oko, nie licząc ostatniej Lucyuszowej i tych wszystkich, które miał w ciele. Nie był to zwierz tak olbrzymi, jak ten, którego widziałem w Cheyenne, na kolei Dwóch oceanów, ale także jeden z największych w swoim rodzaju. Podłożywszy obie ręce pod jego dolną szczękę, zaledwie mogłem unieść trochę z ziemi ogromny łeb. Odchylałem mu także wargi, aby przypatrzeć się zębom. Siedziały na nich całe sople krwi już krzepnącej; łapy jego przednie uzbrojone były

w pazury, przy których pazury naszych litewskich białoszyjników zaledwie na nazwę pazurów zasługują.

Szary niedźwiedź amerykański, na miejscu zwany *grizly*, po łacinie zaś *ursus ferox*, jest najniebezpieczniejszem zwierzęciem z rodzaju niedźwiedziowatych. Przenosząc ogromem i siłą największe gatunki europejskie, przewyższa je także dzikością, zuchwalstwem i okrucieństwem. Na ludzi dość rzadko lub prawie nigdy nie napada pierwszy, jednakże mało ich się obawia i zdarza się, że nękany głodem, wdziera się gwałtem nawet do chat, lub szałasów skwaterskich. Spotkawszy człowieka poczyna sapać gniewnie, małe jego oczy świecą wściekłością; zaczepiony zaś rzuca się natychmiast i ściga z zaciętością niesłychaną swoją ofiarę. Z powodu jednak swego ogromu i ciężkości, nie może wdzierać się na drzewo, jak to czynią niedźwiedzie europejskie. Życie jego tak jest twarde, że ugodzony kulami w głowę, może biedz jeszcze bardzo długo.

Jednem słowem, jest to spadkobierca w prostej linii niedźwiedzia kopalnego. Skłonni do chełpliwości Amerykanie szczycą się nim, opowiadając straszne wypadki z polowań i utrzymując stanowczo, że ani afrykańskie lwy, ani indyjskie tygrysy nie mogą iść z nim w porównanie. Jakoż sądzę, że szary niedźwiedź przewyższa siłą te olbrzymie koty stref południowych, czy zaś polowanie na te ostatnie jest niebezpieczniejsze, dotychczas nie wiem.

Po przypatrzeniu się należytem martwemu po-

tworowi, stary Ramon pozostał wraz z Meksykanami, aby zeń zedrzeć skórę i poodcinać smakowite łapy, przyczem prosiłem, aby zachowano dla mnie kły i pazury, my zaś zawróciliśmy do chaty. Donna Refugio czekała już nas ze śniadaniem. Uważałem jednak, że twarz jej nie ożywiła się ani na chwilę podczas naszych opowiadań. Opowiadania te wyjaśniły mi niezrozumiałą okoliczność, dlaczego dobiegłszy do cypla wzgórza, ujrzałem niedźwiedzia na dole, a strzelców w górze, nie zaś przeciwnie. Była rzecz taka: Lucyusz, który pierwszy ujrzał zwierza, ujrzał go nad sobą: strzelił i ciężko ranił. Wówczas niedźwiedź rzucił się na niego natychmiast, jak burza; wówczas także usłyszeliśmy przeraźliwe wołania Sama: *take care!* Jakoż Lucyusz zdołał uskoczyć w bok, niedźwiedź zaś, nie mogąc się zatrzymać, stoczył się aż do stóp góry. Na polowaniach trafia się to często. Zwierz ten, mając tylne nogi cokolwiek wyższe od przednich, z niezmierną trudnością może biedz z góry. Najczęściej trafia się, że traci równowagę i nie zbiega, ale stacza się na głowę. Zato pod górę koń nawet uciec przed nim nie zdoła. Ten sam wypadek zaszedł i w ostatniem spotkaniu.

W godzinę po nas wrócił Ramon i Meksykanie. Po ich powrocie rozpoczął się prawdziwy koncert ujadania i wycia, psy bowiem, zwietrzywszy skórę, podniosły taki gwałt, jakby ich własna skóra była zagrożoną. Tegoż dnia, który z powodu szczęśliwie

ukończonej walki, uważaliśmy jako uroczysty, Salvadorowie wyprawili rodzaj niby turnieju, niby gonitw konnych. Po południu udaliśmy się wszyscy na obszerną płaszczyznę, zrzadka tylko zarośniętą dębami. Meksykanie wszyscy byli konno, w ręku zaś trzymali skręcone wkoło lassa, czyli, jak je nazywają: *rietta*. Gdy owe gonitwy rozpoczęły się, nie wiedziałem co mam więcej podziwiać: zręczność koni, czy też jeźdźców. Jeden z rycerzy udawał uciekającego i przytulał się do kulbaki tak, że głowa, ręce i nogi jego tworzyły jedną całość z koniem, o którą lasso nie miało się jak zahaczyć; drugi, kręcąc nad głową straszne sznury i wyjąc, gonił przeciwnika, pragnąc go schwytać. Upatrzywszy stosowną chwilę, rzucał lasso, przyczem koń, lubo rozpędzony, zwracał na miejscu młyńca i poczynał galopować w przeciwną stronę. Jeżeli lasso ześliznęło się, nie zaczepiwszy o uciekającego, wówczas ten skolei stawał się goniącym i usiłował w ten sam sposób schwytać przeciwnika. Najczęściej jednak trafiało się, że sznur chwytał za głowę uciekającego. Jedynym wówczas sposobem, aby nie zostać ściągniętym z konia i zaduszonym, jest zwrócić szybko konia i galopować w ślad za tym, który lasso trzyma w ręku, doścignąć go i rozpocząć z nim walkę ręczną. Wymaga to niesłychanej zręczności i umiejętności kierowania koniem, jeździec bowiem, który trzyma sznur, umyślnie robi niespodziane zwroty, aby ściągnąć z kulbaki schwytanego.

Najzręczniejszym i najsilniejszym z Salvadorów okazał się Jesus (Hesus), trzydziestoletni, barczysty Meksykanin, z czarną brodą i z prawdziwie orlem spojrzeniem. Rzut jego *rietty* nigdy nie był omylny, schwytany zaś, doganiał przeciwnika i zrzucał go z konia. Dał przytem dowód wielkiej prawdziwie siły, gdy dogoniwszy brata swego Doroteo, schwycił go jedną ręką jak kawałek drzewa, ściągnął z kulbaki i przesadziwszy na swoją, puścił na ziemię dopiero u nóg naszych. Ten dowód siły obudził zazdrość Lucyusza, który, chcąc popisać się przede mną, wyzwał Jesusa, aby się z nim próbował. Jesus z początku nie chciał, wreszcie jednak zgodził się i wzięli się za bary. Po kilku sekundach młody *yankee* uniósł atletę meksykańskiego w górę i rzucił na ziemię, przyczem wybił mu rękę. Poprzednio jednak jeszcze odbywała się gonitwa z kogutem. Wyproszonego naumyślnie na ten cel u pani Refugio nieszczęśliwego ptaka zakopano lekko ze związanemi nogami w ziemię, tak, aby mu widać było tylko głowę i szyję. Potem kolejno każdy z *caballerów* odjeżdżał na kilkadziesiąt kroków, wypuszczał konia i przelatując w największym pędzie koło koguta, starał się go uchwycić za łeb i wyciągnąć z ziemi. Po kilku takich próbach, kogut zdechł, a po kilkunastu, głowa jego została w ręku któregoś z Salvadorów. Dowiedziałem się później, że zabawa z kogutem należy do ulubionych zabaw meksykańskich, i że raz do roku odbywają się po-

dobne gonitwy z wielką uroczystością pod Los-Angelos. Zjeżdża wówczas na nie cała ludność meksykańska i wielu yankesów z miasta i okolicznych farm.

Wieczorem tego samego dnia przybyło do osady Plesenta trzech Indyan z dzikiego jeszcze zupełnie pokolenia Cachuilla, zamieszkałego z drugiej strony Santa-Ana. Twarze ich, koloru ciemno-czerwonego, były podobne do cygańskich. Na głowach nie mieli piór ani warkoczy, ale włosy ich spadały w grubych splotach po obu stronach głowy. Ubrani byli w mokasiny ze skór jelenich i pewien rodzaj koszul nieosłaniających piersi. Wogóle wyglądali raczej na żebraków, niż na wojowników, i w niczem nie przypominali mi Siouxów, których kilku widziałem na kolei Dwóch oceanów. Nie było w nich ani tej obojętności, ani tej energii, ani dumy. Ciała ich przytem wydawały pewien przykry zapach, który szczególniej drażnił powonienie psów naszych. Ani jeden z tych trzech nie miał strzelby, uzbrojeni byli w łuki, strzały i toporki obsadzone na rękojeściach z drzewa zwanego *hicoro*. Rozmawiałem z nimi z pomocą starego Ramona, żaden bowiem nie umiał ani po angielsku, ani po hiszpańsku. Biedacy ci powiedzieli, że głód panuje w ich wigwamach i że idą do białych prosić, aby im dali co jeść.

Czyż czerwoni wojownicy nie mogą zabijać

jeleni i bitornów? — pytałem przez Ramona. Na to U-wa-ka, starszy widać od innych, odrzekł:

— Odkąd deszcze spadły w górach, jelenie nie schodzą pić do źródła, czerwoni zaś nie mogą doścignąć ich na szczytach.

— A czy nie mają krów i owiec?

— Mieli je, ale zjedli, przytem wiele owiec zdechło im z braku wody.

— Czy rozeszło się całe pokolenie?

— Nie: zostały skwawy, starcy i dzieci, młodzi zaś poszli szukać pracy u białych.

— Dałem im trochę tytuniu i wódki. Kupiłem także łuk i strzały, a raczej dostałem je w zamian za nóż. U-wa-ka pokazywał jak się strzela z łuku i oddaliwszy się na chwilę ze mną między dęby, przeszył strzałami kilku dzięciołów i błękitniaków. Próbowałem potem i ja, ale lubo pokazało się, że potrafię naciągnąć łuk daleko silniej od wygłodzonego Indyanina, jednakże strzały, które wypuszczałem, przechodziły o kilka łokci od celu, gdy tymczasem on nie chybiał prawie nigdy. Mając zamiar pomieszkać trochę w indyjskich wigwamach, pytałem kiedy wojownicy wrócą napowrót z za gór. Odpowiedzieli mi, że za miesiąc. — A czy mnie przyjmą?

— Przyjmą i cieszyć się będą. Brat biały będzie polował razem z czerwonymi w wąwozach, przyjedzie kiedy zechce, odjedzie kiedy zechce, będzie zasiadał u ogniska czerwonych, palił z nimi

i nikt z pokolenia Cachuilla nie podniesie na niego ręki. Tymczasem Lucyusz, który słuchał zdaleka naszej rozmowy, zbliżył się i pytał:

— Jak-to, chcesz pan mieszkać w ich trzcinowych namiotach?

— Tak jest?

— I nie obawiasz się?

— Czyżby mieli rzucić się na mnie?

— Nie, bo gdyby który z tych czerwonych dyabłów śmiał to zrobić, roztrzaskaj mu łeb w jego własnym wigwamie.

— Z pewnością to zrobię.

— *All rigth!* ale nie obronisz się pan innemu niebezpieczeństwu, to jest wszom. — Ja — mówił dalej Lucyusz — znam ich z tego, i by God! gdybym miał dziś w kieszeni tyle dwudziesto-dolarówek, ile każda z tych małp ma wszy w głowie, założyłbym bank we Frysko (San-Francisko).

Wyznaję, że słowa Lucyusza ostudziły trochę moją chęć pożycia między czerwonoskórymi, a nawet na razie zmniejszyły sympatyę do nich. Swoją drogą jednak biedacy ci zasługują pod każdym względem na litość. Pokolenia zamieszkujące północne prerye Stanów i pokolenia południowe, jako to: Apacze i Komencze, umieją się bronić przynajmniej; mają jeszcze jaką taką siłę oporu; ale Indyanie kalifornijscy dali już zupełnie za wygraną. Nikt o nich nie wie, mało kto o nich słyszał. Najlepszym tego dowodem jest, że zanim udałem się

w góry, bardzo wielu Kalifornijczyków zaręczało mi, że dzikich Indyan wcale już niema w Kalifornii. Jakoż są ich tylko szczątki. Ukryci w niedostępnych canionach, lub na pustych stepach, potomkowie potężnych niegdyś pokoleń, wiodą życie koczujące, trochę pasterskie, więcej myśliwskie, a po trochu także i żerujące. Nikt ich już tu nie prześladuje, bo nie zawadzają nikomu. Wpółcywilizowani najmują się jesienią do winobrania, a następnie kupują czerwone materye, lub przepijają zarobek w mieście; nieucywilizowani przymierają często nawet głodem, wogóle zaś żyją z dnia na dzień, Bóg wie czem, tembardziej, że z tej strony San-Bernardino niema bawołów, stanowiących główny pokarm innych pokoleń.

Donna Refugio opatrzyła tych biedaków słoniną i fasolą, a że było już późno, odeszli więc między drzewa i pokładli się spać. Nazajutrz rano nie było ich już w osadzie.

Dzień jeszcze bawiliśmy u gościnnych Plesentów. Gospodarz pokazywał mi swoją pasiekę, która przynosiła mu znakomite dochody. Na polance, zarosłej rzadko dębami, stało na drewnianych podstawkach dwieście przeszło uli w kształcie skrzynek malowanych na biało. W skrzynkach takich umieszczają się ramki, które pszczoły zarabiają woskiem i miodem. Ramek takich jest jedenaście. Wosku raz zrobionego nie zabierają nigdy, przez co pszczoły, nie tracąc czasu na robotę wosku, robią dwa razy tyle

miodu. Ciekawym jest także sposób, jakim wydobywają miód. Robi się to zapomocą umyślnie na ten cel wynalezionej maszyny. Ramka wraz z woskiem i miodem wstawia się w cylinder i poddaje szybkiemu obrotowi, skutkiem czego miód, na mocy siły odśrodkowej, wylatuje co do kropli. Nie gniecie się przytem ani jedna komórka woskowa. Po wypędzeniu miodu, ramkę wraz z woskiem wstawiają napowrót do ula, pszczoły zaś natychmiast poczynają ją napełniać. Wydajność miodowa jest tu prawdziwie zadziwiająca: w najgorszych latach przewyższa ona pięciokrotnie wydajność, o jakiej słyszałem u nas. Tłómaczy się to tem, że najprzód pszczoły w ciepłym klimacie są dzielniejsze, a powtóre, że podczas gdy u nas zima trzyma je zamknięte w ulu przeszło pięć miesięcy, przyczem wychodzą ogromne zapasy miodu, tu pszczoły pracują prawie cały okrągły rok, zimą bowiem i latem stoki gór okryte są kwiatami. Miód tutejszy przewyższa także dobrocią, zapachem i przeźroczystością nawet litewski lipiec.

Wogóle gospodarstwa pasieczne są tu prowadzone wcale nie na stary barciowy sposób lub w pniach, ale z wszelkiemi ulepszeniami, jakie wynaleziono w czasach ostatnich. Utrudniony zbyt, z powodu braku dróg, nie pozwalał jak należy rozwijać się tej gałęzi gospodarstwa krajowego. Od chwili jednak, gdy wszyscy skwaterowie-pasiecznicy zawiązali „Towarzystwo kalifornijskich pszczolarzy“,

i gdy produkt swój postanowili wysyłać wprost do Liwerpool, bez pośrednictwa osób trzecich, ceny miodu natychmiast podniosły się, oczekują zaś, że w przyszłości będzie to jedna z najbardziej zyskownych gałęzi gospodarstwa.

XI.

Szkice amerykańskie.

Nie pamiętam, czym opisywał już pierwszą moją podróż z San-Francisco do Los-Angelos. Upłynęło od tego czasu ze sześć miesięcy. Kolej żelazna nie była jeszcze wówczas skończona, odbywałem więc drogę oceanem Spokojnym. Statek „Mohongo“, stary weteran, kursujący niegdyś między Chinami a Kalifornią, pełni obecnie takąż samą służbę między San-Francisco a San-Diego. Wydostawszy się z olbrzymiej zatoki San-franciskańskiej przez tak zwaną Złotą Bramę (Golden-Gate) na ocean i przepłynąwszy koło skał Clif-Housu, słynnych z mnóstwa lwów morskich, płynęliśmy na południe, ciągle wzdłuż brzegów. Pogoda była prześliczna. Ocean Spokojny nigdy nie wydał mi się bardziej zasługującym na swą nazwę. Błękitna a gładka jak zwierciadło toń jego zlewała się łagodnie w oddali ze sklepieniem nieba. Czasem tylko, na owych dwóch błękitach niebios i morza, zaczerniała, na kształt chmurki,

smuga szarego dymu, to jakiś parowiec pasażerski przewożący ludzi i towary z wysp Sandwich do Kalifornii wyrastał zwolna, jak gdyby z pod toni, na krańcu widnokręgu; czasem zabielał żagiel rybackiego skuneru. Czarne pobrzeżne skały wydawały się zdaleka jakby całkowicie pokryte jakiemś olbrzymiem robactwem, poruszającem się i pełznącem na kształt liszek, lśniących od wilgoci porannej. Były to lwy morskie. Niektóre z nich, za zbliżeniem się statku, rzucały w wodę swe cielska, pod których ciężarem fala rozbryzgiwała się w tysiączne rzuty; inne, zwłaszcza stare samce, podnosiły głowy i, otwierając paszcze, witały nas rykiem buhajów; mniejsze o połowę samice szczekały jak stada psów. Rój szarych i białych mew unosił się nad temi ruchliwemi skałami, a wyżej jeszcze świeciło gorące podzwrotnikowe słońce. Widziany zdala wysoki brzeg piętrzył się wyniosłemi urwiskami, z poza szczytów których wyglądały zielone wierzchołki drzew. Gdzieniegdzie strumień spadał białą jak mleko kaskadą z wysokości kilkudziesięciu stóp. Czasem mignęła chata rybacka, malutka, przylepiona jak chrząszczyk, albo jak skorupa ślimaka do skały. Słowem był-to śliczny krajobraz morski, pełen prostoty, słońca, powietrza i wody. Podziwiało go całe nasze towarzystwo: w kajutach na dole nie było nikogo. Wszyscy siedzieli na pokładzie. Na twarzach malowało się zadowolenie. Pogoda piękna, krajobraz piękny, morskiej choroby niema: stary

„Mohongo“ drży, jakby chciał wytrząść z siebie maszynę. Niech sobie drży! nie dbamy o to i płyniemy dalej. Takie usposobienie panuje wszędzie i na każdym statku w czasie pogody. Chorzy czują się zdrowsi, smutni weselsi. Jedziemy naprzód, za nami ciągnie się szeroki szlak zbitej kołami statku piany, nad nami ciągną mewy. Bawimy się, rzucając im ogryzki jabłek. Za każdym ogryzkiem rzuca się ich kilkanaście w wodę, powstaje krzyk, hałas i zamieszanie: jedna porywa za ogryzek i krzyczy z radości, inne ze złości, jeszcze inne wymyślają sobie zapewne wzajemnie, aż tu nowy okrzyk zatacza łuk ku morzu i znowu toż samo, a my śmiejemy się, jakby z najdowcipniejszej krotofili. Takie to są zabawy podróżników. Po chwili inna nowość: co to takiego? co to takiego? wołają na okręcie. Oto żółw morski zaplątał się w koła, statek zwalnia, majtkowie wyciągają nieszczęśliwego żółwia, a stewart okrętowy zapewnia, że zjemy go w wieczornej zupie. Odpowiadamy ogólnem „hurra!“ Niektórzy mają ochotę się kąpać; inni, a między nimi i ja, słuchają opowiadań podróżnika i kłamcy. Indywiduum podobne znajduje się na każdym okręcie. Ma papierowy kołnierzyk, kapelusz z wystrzępionem koliskiem i trzyma ręce w kieszeniach. Zapewnia nas, że niedługo ujrzymy latające ryby. Wezwawszy na pomoc zoologiczne wspomnienia, przerywam mu nieśmiało i pytam, czy nie sądzi, że

latające ryby znajdują się tylko w wodach znacznie bliższych równików?

— Tak? — pyta niezmieszany wcale, przymrużając jedno oko — a widziałeś pan kiedy węża morskiego?

— Nie.

Wszyscy w śmiech, a bywalec odnosi nade mną stanowcze zwycięstwo, ponieważ niema już mowy o rybach latających, ale o wężu morskim, którego nie widzieliśmy oba.

Jak żyję, nie widziałem tak wesołego towarzystwa. Z lada powodu śmiejemy się wszyscy jak dzieci. Oto n. p. z pod pokładu wychyla się kosooka głowa Chińczyka, rozgląda się głupowato po pokładzie i woła przez nos: *Jeh-hang! Jeh-hang!* Na pokładzie niema żadnego Jeh-hanga, ale natychmiast wszyscy poczynają wołać: *Jeh-hang!* na całym okręcie rozlega się *Jeh-hang!* na wszelkie pytania usłyszysz jedyną odpowiedź: *Jeh-hang!* Radość ogólna. Myślę, że dostałem się do czubków, ale i sam nie jestem lepszy od innych.

Schodzimy na obiad. Dają nam rosół żółwi z pieprzem, wołowinę z pieprzem, słowem sam pieprz. Nawet Amerykanom go za dużo. Jedni się śmieją, drudzy gniewają na kucharza, trzeci wołają ironicznie na stewartów, że za mało pieprzu. Tymczasem w sali zapala murzyn lampy, obiad się kończy i wychodzimy znów na pokład.

Na pokładzie zmiana: słońce zachodzi. Niebie-

skie i białe światło dnia wsiąka w siebie stopniowo złoto i czerwoność: powietrze świeże, trochę słone, przejęte na wskróś zdrowym zapachem ropy morskiej. Ocean, który przez cały dzień był bez zmarszczek, staje się jeszcze gładszy. Po prostu usypia. Nagle jednak to szklane przeźrocze zaczyna jakby pękać w długie rysy. Rysy te w kształcie łuków lub krętych linii, to pojawiają się, to niknq; nareszcie powód wyjaśnia się: nad powierzchnią wody spostrzegam czarną trójkątną płetwę, potem drugą i trzecią. Podróżni pokazują je sobie palcami: to żarłacze (rekiny) krążą koło statku.

Wkrótce jest ich coraz więcej. Nie wiem, igraszka-li to, lub gonitwa miłosna? Czasem potworny grzbiet razem z płetwą wychyla się do połowy z wody. Widać go doskonale w czerwonych promieniach zachodu, w których krople wody, spływające ze skrzeli, wyglądają jak krople krwi. Ruchy potworów szybkie, niezmiernie ciche, nie burzą wody, płetwy rozcinają gładką powierzchnię, tworzą się rysy, które się zagładzają natychmiast i wszystko się uspokaja.

Jeden z nich przewraca się nagle na bok, nie dalej jak o trzydzieści kroków od statku. Widzę dokładnie, przez przeźroczystą wodę, jego szczękę górną, znacznie wystającą naprzód, i dolną, umieszczoną jak gdyby w szyi. Na okręcie krzyczą: „dostrzegł coś i rzuca się“, ale potwór niknie spokojnie pod wodą, a za nim kryją się po kolei inne.

I znowu widać tylko gładką, spokojną toń. Żarłacze nie oddaliły się jednak, wpłynęły tylko na złoty, niezmiernie świetny szlak, usłany przez zachodzące słońce na wodzie. Na szlaku tym nie możemy ich dostrzedz, bo oczy nasze mrużą się pod nadmiarem blasku. Ale słońce zajdzie wkrótce. Promienna jego głowa już tylko do połowy wygląda z wody. Po chwili już tylko złote warkocze leżą na fali: głowa zasunęła się za toń daleką. Jeszcze minuta, słońce zaszło.

Co za cudowna chwila teraz! Szeroka smuga wody w kierunku słońca świeci jeszcze, lśni, błyszczy się, mieni i gra barwami, jakoby oświecona z pod spodu. Ta droga złocista ginie na krańcu widnokręgu w morzu z purpury. Nie umiem, nie umiem tego wszystkiego opisać! Mimowoli pytasz się, czy ta droga nie prowadzi do jakiej krainy zaziemskiej, gdzie wszystko jest piękne, nieśmiertelne, gdzie miłość jest wieczna, gdzie poetyczna cisza i upojenie wiecznie panują. Nie wstydzisz się marzeń i poetycznych uniesień. Chciałbyś płynąć tam, goniąc za światłem jak ptak. W owych blaskach migają jakieś wysepki.

— Co to za wysepki? — pytam majtka.

— Endżel ailand (Angel Island), anielska wyspa. I doprawdy, nietylko wyspa, ale wszystko tam było anielskie.

Co za przepych barw! Całe niebo płonie czerwono, druga zorza pali się w oceanie. Czarne skały

nadbrzeżne, połyskujące wilgocią, wyglądają jakby oblane krwią. Mewy pławią się w świetle czerwonem. W tem wszystkiem tkwi ogromna jakaś prostota. Na górze niebo, w dole morze, kawał skalistego brzegu, i jeden okręt na niezmiernych przestrzeniach, jedna mała czarna łupinka i więcej nic. Bo też niema nic prostszego nad majestat.

Mijamy Endżel ailand. Zorze gasną. Na purpurowe jeszcze, ale mroczące się już tło, wchodzi jedna gwiazda, druga. Na przednim maszcie rysuje się w sieci lin czarna postać majtka. Po chwili zapalają błękitną latarnię; maszyna świszcze, zawijamy do jakiegoś portu. Statek idzie bardzo powoli, ale coraz więcej skręca ku brzegom. Tymczasem zapada noc. Jeszcze raz słychać świstanie. Skały nadbrzeżne rozstępują się nagle, tworząc obszerną, lekko pochyloną ku morzu dolinę, w której widać kępy drzew, jakby nasze dąbrowy; dalej białe domki, światła w oknach, śpiczasta wieża rysuje się na mrocznem tle nieba, bliżej warf zbudowany z pali drewnianych, a na nim ludzie z latarniami. Majtkowie krzyczą zwykłe żałosne: ooo—ho! ciągnąc linę. Daje się uczuć wstrząśnienie. To statek otarł się już o palisadę. Z warfu łapią rzuconą linę i okręcają ją koło słupa. Jeszcze jedno słabsze wstrząśnienie: stajemy.

— Co to za miasto? — pytam.

— Monterey.

Wagony czekające na warfie zabierają pasaże-

rów i towary. Okręt wyładował co miał wyładować, potem odpoczywamy jeszcze godzinę. Warf wyludnia się powoli; nasz pokład także. Podróżni, którzy dalej jadą, idą spać do kajut. Wkrótce zostaje na pokładzie tylko dwóch: jakiś ksiądz meksykański i ja. Ksiądz chodzi spokojnym krokiem i, spoglądając na gwiazdy, mówi pacierz; ja siedzę na ławce i patrzę na światła migające zdala w oknach domów.

Skończywszy pacierz, ksiądz zbliża się do mnie.

— *Bon ta noche!* (piękna noc) — mówi zcicha, jakby się obawiał spłoszyć jej urok.

Skłaniam głowę na znak potwierdzenia, ale nie mam ochoty do rozmowy, więc ksiądz powraca do modlitwy:

— *Ave stella...*

Z lądu wiatr przynosi zapach kwitnących pomarańcz i heliotropów, a woń ta miesza się z zapachem morskim. Powoli światła w oknach gasną, ksiądz idzie spać. Na pokładzie zostaje sternik, kręcący kołem na przedzie statku, dwóch majtków i ja. Po godzinie wyruszamy naprzód. Mijamy pasmo gór leżące tuż nad brzegiem. Dalej pobrzeże rozpłaszcza się i ciągnie się ławicami piasku aż do Santa-Inez. W tej części step przeważa nad górami. O ile mogę dojrzeć w nocy, kraj jest pusty i nie widać ani drzew, ani mieszkań ludzkich. Siedzę na pokładzie, bo mi się nie chce iść spać, a nie spędza mnie z mego nocnego siedliska ani wiatr, ani

zimno. Noc jest cicha, ciepła, pogodna: ocean ciągle gładki. Księżyc rzuca nań jedną smugę światła, potężna gwiazda Venus drugą. Coraz cieplej. Powoli przychodzi mi na myśl kraj rodzinny. U nas teraz zima, robi się właśnie ranek. Wioski zasypane śniegiem: dachy białe, sine dymy z kominów wznoszą się prosto ku górze; po ogrodach gałęzie zasute szronem rysują się nieruchomo i milcząco; przed chałupami skrzypią zamarzłe żórawie studzienne, a stada wron łopotaniem skrzydeł i zwykłem „kra! kra!“ budzą tych, co jeszcze śpią. Obraz znany wam dobrze, ale z nad brzegu drugiego oceanu patrzy się nań przez ów wiersz Mickiewiczowski:

„. . . . ty jesteś jak zdrowie!“

Przesiedziałem na pokładzie całą noc. Potem jeszcze upłynęła doba i wreszcie zawinęliśmy do Santa-Monica, skąd kolej idzie do poblizkiego Los-Angelos.

* * *

Ściśle mówiąc, tej pierwszej podróży nie miałem zamiaru opisywać, ale pióro wzięło na kieł. Właściwym jednak moim celem jest opisanie odwrotnej drogi, to jest z Los-Angelos do San-Francisco, a raczej do środkowej pustyni kalifornijskiej Mohawe.

Kolej łączącą Los-Angelos z San Francisco skończono za mego poprzedniego pobytu na południu. Obyczajem przyjętym w Ameryce, pierwszy pociąg

szedł darmo. Skorzystałem z tego, aby po drodze obejrzeć całą prawie długość Kalifornii, a zwłaszcza pomienioną pustynię. Obok Los Angelos ciągną się też same góry Santa Ana, które widać z Anaheim, i które już opisywałem. Kolej żelazna idzie bardzo blizko nich. Po kilkunastu milach stepu zarosłego trawą, dzikimi słonecznikami, a czasem na ogromnych przestrzeniach kaktusami, bezdrzewna okolica kończy się, a zaczynają się góry. Przeszedłszy przez długi ciemny tunel, pociąg idzie tuż przy wejściach do canionów, porosłych dębami, platanami, drzewem bobkowem i pomniejszą dziczyzną górską. W niektórych miejscach obfitość wody wytwarza tak wybujałą roślinność, że oko na parę kroków w głąb nie zdoła jej przeniknąć. Z okna wagonu widziałem mnóstwo rozmaitej cennej zwierzyny, jakoto: bażantów, kuropatw, wiewiórek ziemnych i zajęcy. Ziemia naokół była pusta. Prócz nielicznych stacyi kolejowych, nigdzie ani domku, ani namiotu. Caniony, jak mnie zapewniano, są tylko w połowie zajęte przez pół-dzikich skwaterów meksykańskich, hodujących bydło; co najwyżej jednak, wypada jeden skwater na cały canion, ciągnący się czasem kilkanaście, a czasem i więcej mil w głąb gór. Najlesistsze lub zupełnie bezleśne caniony stoją puste, służąc za przytułek tylko stadom jeleni, niedźwiedziom i kuguarom. Miejscami trafiliśmy na pyszne krajobrazy. Oto n. p. rzeka przecina linię kolei; oba jej brzegi pokryte tysiącznemi drzewami

w kwiecie. Wierzchołki drzew łączą się ze sobą w górze, zwoje dzikiego wina, lijany, dzikie bluszcze przeskakują z jednej strony na drugą, tworząc zieloną galeryę nad wodą. Gdzieindziej znów strumień spada z wysokości kilkunastu stóp, tworząc kaskadę. U stóp kaskady łąka porośnięta grupami sekwoi, które tu niezbyt olbrzymie, dalej na północ, w miejscowości zwanej Wielko-drzewiem (Big-Trees), dochodzą do czterystu stóp wysokości, a trzydziestu średnicy [1]), i są najpotężniejszymi na świecie przedstawicielami świata roślinnego. Takie łąki z ich trawą wiecznie zieloną, z drzewami i żywą wodą, zdają się być stworzone na farmy rolnicze lub pasterskie, lub nawet na wille, które pięknością mogłyby rywalizować z włoskiemi. Zwolna jednak okolica staje się coraz dziksza. Roślinność niknie stopniowo, ustępując miejsca skałom. Brak wody nie pozwala tu rozwinąć się jakiemukolwiek życiu organicznemu. Pociąg poczyna biedz wśród amfiteatrów nagich skał, które, ciągnąc się półkolami wzdłuż drogi, zdają się nie mieć końca. Widać tylko skały i niebo. Spojrzysz na prawo lub na lewo w gardło canionu, widzisz kamienną pustą galeryę; przed tobą kamienna galerya, za tobą także. Pociąg leci jakby wśród umarłych miast. Gwałtowny od-

[1]) Drzewo zwane *Tather of the foress* ma 450 stóp długości a 112 obwodu. Inne: *The Grizzled Giant* 30 stóp średnicy.

dech lokomotywy, hurkot kół, zdwojony echem, są jedynymi głosami wśród panującej tam ciszy. Tu ludzi nigdy nie będzie, niema i żadnych innych żywych istot: pusto, głucho!

— Czy to Mohave? — pytam jadącego ze mną skwatera.

— Nie — odpowiada — Mohave, to pustynia.

— A toż nie pustynia?

Tymczasem upływa godzina, dwie, droga nie zmienia się. Ciągle też same amfiteatra skalne, też same półkola skał, jedno podobne do drugiego: kamień, kamień... Porzucam więc okno wagonu, tembardziej, że poczyna być ciemno.

Nazajutrz rano pociąg zatrzymał się na małej stacyi, tuż nad granicą Mohave. Stacyę tę składało kilka domów, stojących bez osłony na nagim stepie, więc zwykły pomalowany brązowo domek kolejowy, pospolita buda z czerwonych desek z napisem „Bakery!“ i druga takaż sama zatytułowana: „Saloon“, co znaczy po prostu szynk. Dowiedziawszy się, że z tej właśnie stacyi można się dostać na pustynię, ciągnącą się wzdłuż linii kolejowej, wysiadłem tu z zamiarem pozostania przez dni kilka. Nie wiedziałem wprawdzie gdzie będę spał, ale spać można w tym klimacie i pod gołem niebem. Zresztą, tyle już nocy spędziłem w ten sposób, że jedna więcej nie czyniła różnicy. Zato napisy: „Bakery“ i „Saloon“ upewniły mnie, że w najgorszym razie dostanę sucharów i piwa. Jakoż i tak

było. Gdy pociąg odszedł, poznajomiłem się z urzędnikiem kolejowym, nazwiskiem Brown który zaprosił mnie na nocleg. Powiedział mi także, że do właściwej pustyni, a raczej do lasu palmettów, jest jeszcze cały dzień drogi konno. Na stacyi nie było koni, ale o parę mil dalej mieszkał Indyanin, niegdyś przewodnik kupieckich wozów przez tę część pustyni, mający kilka mustangów, które łatwo było nająć. Wskazano mi kierunek, w którym miałem szukać jego chaty, więc nie mając nic lepszego do roboty, udałem się tam niezwłocznie. Jakoż po godzinie drogi stepem, gołym zupełnie jak klepisko i popękanym, zobaczyłem małą dolinę, a raczej wklęsłość, w środku której stała śpiczasta chata indyjska i korall, w którym chodziły konie. Było w tej dolinie trochę zieloności, albowiem woda zaskórna, wydobywająca się w postaci kałuż na wierzch, pozwala rosnąć trawie i małym krzakom, podobnym do naszych sumaków. Zresztą nic rosło ani jedno drzewo. Koło chaty sterczały łodygi kukurydzowe. W trójkątnym otworze wigwamu siedział stary Indyanin, obdzierając ze skóry zabite wiewiórki ziemne, których kilka już obłupionych suszyło się na słońcu.

Nie łatwo było mi się z nim porozumieć, mówił bowiem mieszaniną poprzekręcanych wyrazów hiszpańskich, angielskich i indyjskich. Na szczęście, na wszelkie moje kwestye i pytania odpowiadał stale jednym frazesem w złej hiszpańszczyznie: *dos pesos!*

(dwa dolary). Pytałem, jak daleko do lasu? odrzekł: *dos pesos*, pytałem, czy i sam pojedzie, czy mi tylko da konia, on znów: *dos pesos*. Przyczem pokazywał mi dwa palce, jakby dla lepszego objaśnienia. Zgodziłem się wreszcie na *dos pesos!* ale pod warunkiem, abyśmy wyjechali natychmiast. Indyanin nie miał ochoty. Chciało mu się to spać, to jeść, dopiero gdy spostrzegł, że niema rady, począł siodłać konie, mrucząc pod nosem zapewne przekleństwa na upartą „bladą twarz“. Przygotowania do drogi trwały jednak krótko. Nowy mój przewodnik przytroczył do siodła spory worek z kukurudzą i drugi na wodę. Naczerpnął jej nawet natychmiast, ale że była mętna i ciepła, kazałem ją wylać, tembardziej, że mogliśmy nabrać studziennej na stacyi. Powstała o to między nami kłótnia. Pero (Pies! takie było imię Indyanina) utrzymywał, że nie mamy potrzeby jechać na stacyę, że to z drogi i t. d., ale ja miałem potrzebę, nie życząc bowiem sobie jeść jego suszonych obrzydliwych wiewiórek, chciałem zakupić sucharów i czego można było dostać.

Kłóciliśmy się zawzięcie, nie chcąc jeden drugiemu ustąpić; ale ponieważ konie były już przygotowane, siadłem więc na jednego i zwróciłem go ku stacyi, oświadczywszy Perowi, że może robić, co mu się podoba. Rad nie rad, musiał jechać za mną. Po drodze, gdyśmy galopowali jeden obok drugiego, wpadł w jeszcze gorszy humor, oświad-

czył bowiem, że muszę mu dać *mucho* (bardzo wiele) tytuniu i wódki, ja zaś odpowiedziałem, że wcale nie muszę i że, jeśli nie będzie robił co zechcę, nie dam nic. Musiałem tak postąpić, aby się nie pozwolić zawojować. Wiedziałem także, że Pero żałował, iż zażądał ode mnie tylko dwa dolary, ale na wszelkie te żale było zapóźno.

Przybyliśmy wreszcie na stacyę. Urzędnik Brown, zobaczywszy mego Pera, powiedział mu, iż jest wielkim złodziejem i że nikt inny, prócz niego, nie mógł ukraść połciów słoniny, które przed paru dniami zginęły. Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego Pero chciał koniecznie stacyę wyminąć. Ale prosiłem, aby dano mu pokój, tembardziej, że nie było jawnie świadczących przeciw niemu dowodów; sam zaś Pero gorąco zapewniał, że jakkolwiek słoninę musiał zjeść *pero* (pies), ale nie *big* (wielki) Pero, tylko mały *pero* na czterech nogach. Dla zakończenia sprawy, posłałem go po wodę, sam zaś poszedłem do „Bakery“. Dostałem tam nietylko sucharów, ale tartej szynki, a przedewszystkiem ogromny pęk bananów, wiszących na grubej łodydze. Po południu ruszyliśmy ku pustyni. Obejrzałem się w kierunku gór, przez które przejeżdżałem wczoraj. Zaledwie majaczyły na widnokręgu, jakby błękitne pasma mgły i obłoków. Przed nami rozciągał się bezbrzeżny szary step, pochylający się nieco w kierunku zachodnim ku oceanowi. Na całej tej ogromnej przestrzeni wzrok nie odkrywał ani

jednego drzewa. Grunt nagi, szary, popękany w wielkie kręte szpary, wyglądał jakby wyschłe łożysko wód, popaczone od promieni słonecznych. Nizkie też położenie tych płaszczyzn pozwalało mi przypuszczać, że były one kiedyś dnem wód. Step miejscami zupełnie równy, miejscami znów falował się lekko w obszerne, ale ledwie widoczne dla oka wklęsłości i pagórki. We wklęsłościach rosły szare, kruche, przepalone słońcem łodygi jakichś wysokich roślin, które budzą się do życia zapewne tylko w czasie deszczów wiosennych. Zdawało się, że cała ta okolica powinna być zupełnie martwą, jednakże tu i owdzie spostrzegłem ślady życia zwierzęcego. W kępach łodyg szeleściły małe stada ptaków o czarno-błękitnych piórach, z świetnie czerwonemi piętnami na skrzydłach. Boki owych małych wyniesień i wklęsłości gruntu pokryte były kopcami piesków ziemnych; czarne wiewiórki smyrgały do jam przed końmi. Widocznie ziarna owych wysokich łodyg dostarczają pokarmu tym zwierzątkom, za napój zaś służy im rosa nocna.

Przezroczystość powietrza, lub gra promieni słonecznych odbitych od gruntu, wytwarza tu majaki *(fata morgana)* i sprawia, że liczne drobne przedmioty, widziane zdaleka, olbrzymieją w oczach. Stada wiewiórek, siedzących na tylnych łapkach, brałem za stada kujotów, lub innych jakich większych zwierząt. Przejeżdżając koło kopców piesków ziemnych, widzieliśmy grzechotniki wygrzewające

się na słońcu, albowiem węże te i pieski trzymają się zawsze razem. Konie strzygą uszyma, przechodząc koło grzechotników, nie okazują jednak wielkiej trwogi. Przeciwnie, gdy jeździec zabija węża, rodowity mustang zatrzymuje się dobrowolnie przed każdym spotkanym następnie.

Jechaliśmy już parę godzin, a widnokrąg nie zmieniał się prawie zupełnie. Skończyła się tylko falistość gruntu, a przed nami legł step równy, szary, jednostajny, po którym błądziłem oczyma, gubiąc je w nieskończonej dali. Była godzina czwarta po południu. Słońce piekło całą ulewą promieni. Rozpalony grunt odbijał żar słoneczny: konie spotniały. Step ten poczynał nużyć mnie i męczyć, bo to nie nasz step ukraiński z kurhanami, ze swoją tradycyą poetyczną. Na Ukrainie wiatr niesie, jakby z drugiego świata, odgłosy „Ałła“ i „Jezus Marya!“ i huk samopałów i rżenie koni, słowem tam step ma swoją żywą duszę; tu cisza, martwość, bezduszność. Ten kawał ziemi, to tylko głupia i bezmyślna krzywda życiu. Tamten mówi i śpiewa cały jak szeroki i długi, ten niema co powiedzieć; tamten buja, kołysze się, porusza, żyje; tam jeźdzcy „w trawach pławią się po pachy“, tu bezwstydna ziemia odkrywa nagie popękane łono. Dla oczu nic, nic dla ucha i dla wyobraźni; jedno wielkie nic, nie znajduję innego określenia.

Było coraz goręcej. Z upragnieniem wyglądałem zachodu słońca, który miał przynieść ze sobą chłód

nocny i chłodniejszy jeszcze powiew od oceanu. Zstępowało też zwolna słońce ze szczytu niebieskiego sklepienia ku krańcom. Las palmettów, do któregośmy dążyli, ani nawet poczynał majaczyć na widnokręgu, jakoż Pero zapewnił mnie, że nie dojedziemy do niego przed nocą.

— Co „blada twarz“ chce robić na Mohave? — spytał po chwili.

— Chcę ją widzieć — odrzekłem.

— Mohave bardzo zła. Tam niema nic.

— I tu niema nic.

— Tu są wiewiórki. „Blada twarz“ może zabić wiewiórkę i zjeść ją. Na Mohave trzeba umrzeć z głodu.

— Czy Pero był tam już wiele razy?

— Pero bywał przewodnikiem białych przez tę część, która jest na drodze miedzy wielkiemi miastami, ale w stronie od której słońce wschodzi Pero nie był nigdy, bo tam pustynia nie ma końca.

— Skądże więc Pero wie, że pustynia nie ma na wschodzie końca, jeśli tam nie był nigdy?

— Pero słyszał to od bardzo starych ludzi, którzy opowiadali mu, że za „umarłym lasem“ są w stronie, w której słońce wschodzi, wielkie góry. Pero był nawet w nich, ale w innem miejscu. Są to bardzo złe góry, bo niema w nich trawy, ani zwierząt. Za górami jest taż sama pustynia i wielka woda, a za wodą znowu pustynia, która już niema końca.

— Jak „blade twarze" nazywają wielką wodę?
— Tulare.

Gdy potem sprawdziłem opowiadania mego przewodnika, przekonałem się, że, jak na Indyanina, wcale nie był złym geografem. Pustynia zajmuje rzeczywiście cały środek Kalifornii. Stepy dotykające oceanu, biegnąc na wschód, zmieniają się zwolna w bezpłodną piaszczystą równinę. Pasmo Coast-Range, albo Maunt-Diablo, będące kością pacierzową nadbrzeżnego kraju, odcina część pustyni bliższą oceanu, do której właśnie zdążaliśmy, od dalszej, ciągnącej się ku Sierra-Nevada. Wielkie jezioro Tulare leży w tej drugiej części, która skręcając ku południowi, omija kończyny Sierra-Nevada, przerzuca się przez pomniejsze pasma, rozrzucone dalej na wschodzie, obejmuje część stanu Nevada, Arizonę, New-Meksyk, zachodnią część Texasu, północne części trzech meksykańskich prowincyi: Sonory, Chihuahua, Cochahui i kończy się dopiero u stóp gór Skalistych.

Tak samo, jak pustynie arabskie, perskie, a nawet i Gobi są tylko przedłużeniem Sahary, tak samo Mohave, Gila, Colorado i t. d., są jednym systemem pustyń, jednem ogromnem płaskowzgórzem, czasem poprzerywanem rzekami, czasem powyginanem w góry, ale jednolitem pod względem pustynnego charakteru płaszczyzn. Piaszczyste równiny, kupy kamieni, rumowiska gór, miejscami step latem goły i popękany: oto ogólny charakter tych ogro-

mnych przestrzeni, prawie zupełnie jeszcze bezludnych, a po największej części wrogich dla organicznego świata. Wiosną jednak, po deszczach, jest chwila życia w tym martwym świecie. Przestrzenie piaszczyste porastają drobną trawką, rozpadliny skalne zielenią się; step zwykle nagi przystraja się tysiącami kwiatów. Trudno opisać, co to za przepyszna tęczowa chwila zmartwychpowstania dla tych stepów. W marcu i kwietniu widziałem całe przestrzenie, po kilkanaście mil rozległe, porośnięte kwieciem barwy żółtej, podobnem do tulipanów. Bywa tu tak prawie zawsze, że pewna roślina, znalazłszy najodpowiedniejsze dla siebie warunki, zagłusza wszystkie inne kiełki w zarodzie, tępi je i panuje nieograniczenie. Skutkiem tego, za królestwem tulipanowem np. zaczyna się błękitne, znów kilkunastomilowe królestwo dzwonków, dalej purpurowe gwoździków, dalej żółte, białe, różowe, pstre lub Bóg wie jakich kwiatów. Wszelkie odcienia barw mają tu swoje przestrzenie. Są to poprostu morza kwiatów. Ale falowanie tych mórz kołysanych wiatrem krótkotrwałe. W końcu maja step zmienia już swą barwistą różnowzorą odzież na jednostajną żółtą, a raczej żółto-zwiędłą. W czerwcu ziemia pęka. Kwiaty musiały od marca do czerwca, urosnąć, rozkwitnąć, pokochać się, ożenić, wydać nasionka. Nadchodzi czas... zwiędnąć... Co zwiędło, pada na ziemię; nasionka zasuwają się w szpary, gdzie ciemność chroni je od spalenia,

wszystko zaś co zostało na powierzchni zmienia się w proch, w popiół; następnie wiatr rozgarnia one prochy w cztery strony świata i step staje się zupełnie nagi.

Są jednak przestrzenie, na których nawet wiosną po deszczach, nic nie porasta. Piasek pokrywa się trawą tam tylko, gdzie zaraz pod nim leży warstwa urodzajna; ale np. na Gila piasek jest miałki, ruchliwy i niezmiernie głęboki, zatem zupełnie bezpłodny. Na stepie miejsca pokryte drobnym żwirem także pozostają zawsze nagie, a toż samo ma miejsce gdzie ziemia jest skalista, lub jakby pociągnięta szkliwem, powstałem z przepalonego od promieni słonecznych piasku. Taki grunt przeważa na Mohave, a raczej w części jej położonej bliżej oceanu. Na piaskach jednak rosną w tych miejscach tak zwane palmetty, które Pero nazwał lasem umarłym, a które mieliśmy nazajutrz świtaniem zobaczyć.

Tymczasem stanęliśmy na nocleg. Pero uwiązał konie przy zaostrzonym kołku, który zatknął w szczelinę ziemną, potem dał im pić i jeść, a gdy poczęły chrupać twarde kukurydzowe ziarna, i my wzięliśmy się do naszych zapasów. Napiwszy się wody z wódką, Pero począł żuć swoje wyschłe na słońcu obrzydliwe wiewiórki, ja zaś raczyłem się bananami. Po posiłku, gdy zresztą ściemniało zupełnie, podłożywszy kulbaki pod głowy, położyliśmy się spać. Tymczasem gwiazdy weszły na

widnokrąg, a wielki czerwony księżyc ukazywał się zwolna na skraju stepu. Potem, blednąc coraz bardziej, żeglował wyżej i wyżej po niebie. Zrobiło się tak widno, że na kilkadziesiąt kroków mogłem dostrzedz czarną siatkę rozpadlin. Zauważyłem przytem, że w niektórych miejscach ziemia tak była zbita, twarda, że promienie księżyca odbijały się od niej, jak od polerowanej powierzchni. Zresztą nie było na czem oprzeć wzroku, ani uwagi. W dali tenże sam step. Miejscami znowu nieznaczne wklęsłości, oświecone niepewnem światłem księżyca — i nakoniec takież same kępy łodyg, w których wiatr smutno szeleścił.

Ta pustka i bezprzedmiotowość ma jednak swój urok, ale to dziwny jakiś urok bez treści. Tu, mówiąc poetycznie, smutna Dyanna, a prościej księżyc, zstępuje z jednego miejsca, wstępuje na drugie, jakby szukając pilnie jakiegokolwiek przedmiotu zatraconego w pustkowiu, jakby chcąc znaleźć coś, dla czegoby warto świecić. Czasem powracało mi wrażenie, że to, co widzę naokół, jest dno morskie, nad którem niedawno przesuwały się fale, a następnie wyschnąwszy lub uciekłszy, zostawiły po sobie pustkę. Po chwili znowu: że to nierozbudzony jeszcze do życia szmat ziemi, który wynurzywszy się z bezdni po potopie, czeka dopiero na stworzenie. Tak istotnie musiała wyglądać niegdyś ziemia, zanim strzeliły z niej przedpotopowe paprocie i grzyby. Byłem jak gdyby cudem przeniesiony

o setki tysięcy lat w tę chwilę mistycznego snu ziemi, po którym dopiero ocknęły się drzemiące jej siły.

Ale po chwili głosy pustyni rozbudziły mnie z marzeń. Pogrzebowe płaczki stepów — kujoty, zaczęły jęczeć i skomleć w pobliskich kępach suchych łodyg. Jesteście i tu na tem pustkowiu? pomyślałem sobie ze zdziwieniem. Ale kujoty są wszędzie. W stepach żyją wiewiórkami, a wiewiórki nasieniem owych suchych roślin. Na stepach, jak i wszędzie, życie polega na tem, że silniejszy zjada słabszego, ten jeszcze słabszego, i tak bez końca; kujoty przytem kradną co mogą pastuchom, podróżnym. Spotkawszy silniejsze jakie zwierzę, jak np. niedźwiedzia lub kuguara, chodzą za nim trop w trop, licząc na resztki jego uczt. Są to stepowi pieczeniarze. Ciągną za jaśnie-wielmożnym Pazurowiczem i żyją z jego łaski. Za to, gdy myśliwiec stepowy postrzeli chlebodawcę, a ten gdzieś zdechnie w skałach, kujoty zjadają go także, co w ich języku konwencyonalnym nazywa się zapewne: „uchronieniem zwłok od profanacyi". Trafia się także, że gdy podróżny, zmęczony dziennym upałem, zaśnie nocą, nie rozniecciwszy ognia, wilczki owe zbliżają się do niego, obwąchują go starannie, a chociaż tchórzostwo ich nie pozwala im rzucić się nawet na śpiącego, kradną mu natomiast wszystkie zapasy nawet z pod głowy. Co do mnie, chodziło mi głównie o noc spokojną. Nasłuchałem się

już wprawdzie tyle tych grobowych skomleń, że nie doznawałem, jak pierwej, uczucia jakiegoś zabobonnego strachu; zawsze jednak ogarniała mnie pod ich wrażeniem taka niewymowna nuda, taki smutek i zniechęcenie, że wolałbym sto razy słyszeć ryk kuguarów. Tym razem, jak zwykle, próbowałem zasnąć i nie mogłem, więc zniecierpliwiony, wyciągnąłem z za pasa rewolwer i wystrzeliłem w powietrze. Konie szarpnęły za sznury, kujoty umilkły na chwilę, najbardziej jednak przeraził się Pero, który, poprzednio usnąwszy smacznie, zerwał się teraz na równe nogi.

— Co „blada twarz“ robi? — spytał z przestrachem.

— Nie mogę zasnąć — odrzekłem — i jeśli Pero nie odpędzi kujotów, będę strzelał całą noc.

Pero, ochłonąwszy, pomyślał chwilę:

— Czy „blada twarz“ ma krzesiwo?

— Mam.

— Pero ma także, niechże więc „blada twarz“ idzie, zapali najbliższą kępę, a Pero zapali dalsze.

Myśl wydała mi się doskonałą, natychmiast więc przystąpiliśmy do jej spełnienia. Gdym się zbliżył do kępy, dwa kujoty wypadły pośpiesznie z łodyg i poczęły umykać co tchu w step. Skrzesałem ognia z łatwością, ale łodygi nie chciały się sypać. Nałamawszy co najdrobniejszych żdziebeł, począłem pracować płucami. Skry chwytały łatwo za zeschnięte resztki liści, ale wypaliwszy ognisty rąbek,

gasły. Tymczasem wprawniejszy Pero uwinął się daleko prędzej. W chwili gdym jeszcze dmuchał bez nadziei, od strony Pera zabłysło światło, a wkrótce krwawa łuna rozdarła ciemność. Obejrzawszy się, ujrzałem najprzód nasze konie, czarno rysujące się na stepie, dalej oświeconą czerwono sieć szczelin ziemnych, płonącą kępę i Indyanina, podobnego do szatana tańcującego koło ognia.

Rozbudzone szpaki z wrzaskiem i łopotem zlatywały się ze wszystkich stron do światła; wysokie łodygi buzowały się ogromnym płomieniem: wyschłe źdźbła trzęsły się przez chwilę w objęciach złotego płomienia i topniały w nim natychmiast. Ponad tem wszystkiem świeciło blade światło księżyca, walcząc i łamiąc się na krańcach oświeconej przestrzeni z różowymi odblaskami ognia. Pero, wyrwawszy kilka płonących łodyg i pochyliwszy je ku wiatrowi, biegł zapalać następną kępę, a za nim biegł i gasnął w ciemnościach czerwony warkocz iskier. Zapaliłem nakoniec i ja swoją, potem dwie jeszcze poblizkie, a gdy zapłonęło ich z dziesięć, wróciliśmy do koni. Kępy zagasły wkrótce, ale mieliśmy zapewnionych parę godzin spoczynku, bo przestraszone kujoty uciekły aż poza granicę światła. Jakoż zasnęliśmy obaj natychmiast, ale zato Pero obudził mnie nazajutrz, prawie jeszcze przed brzaskiem. Przez pół śpiąc, wlazłem na siodło, a gdy koń puścił się zwykłym meksykańskim, regularnym i kołyszącym galopkiem, usnąłem znowu na kul-

bace, tak dobrze, jak w łóżku. Nie wiem jak długo spałem, ale gdym się rozbudził, był już dzień biały. Konie zwolniły biegu, a choć ruch ich był zawsze niby galopem, był jednak tak powolny, że można było nadążyć mu piechotą. Rozejrzałem się wokoło. Twardy step ze swoją siecią rozpadlin i kępami suchych łodyg znikł. Jechaliśmy teraz po gruncie pokrytym niezmiernie drobnym piaskiem, podobnym do popiołu, miękkim i ruchomym. Znikły także już po raz drugi falistości gruntu. Jak mogłem okiem sięgnąć, rozciągała się przed nami i obok nas równina szara, gładka jak stół. Sklepienie niebieskie, przechodząc na krańcach w odcienia szare i siwe, zdawało się z nią zlewać niedostrzeżenie. Naokół nie rosło ani jedno źdźbło trawy, nic i nic, tylko niebo w górze, popielata, wygładzona toń piaszczysta na dole. Pero podniósł się w kulbace, zatoczył bronzową ręką łuk ogarniający widnokrąg i rzekł:

— Mohave.

Jechaliśmy jeszcze z pół godziny, nie dostrzegając naokół ani jednego przedmiotu. Nicość założyła tu sobie królestwo. Nietylko zmysły, ale i myśl czuje tu jakiś brak przygniatający. W krainie przedmiotów myśl, wyleciawszy z głowy, zwykła wracać jak pszczoła, obładowana miodem wrażeń; tu wraca tylko zniechęcona, czcza, zmęczona i złamana. Umysł musi tu dać wszystko z siebie, od zewnątrz nie dostaje nic. Słowo „pustynia“ szumi

w głowie, a nie przyobleka się w żadne kształty, w żadne określone wyobrażenia. Jak zabłąkany wędrowiec, konający z pragnienia, woła „wody“, tak mdlejąca wyobraźnia woła tu ostatkiem sił: przedmiotów.

Nakoniec jednak zamajaczyło coś na północy, niby ciemny szlak, niby zgęstniała mgła, chmura, niby wstęga lasu. Owo „coś“ rysuje się coraz wyraźniej i wyraźniej na błękicie widnokręgu, wychyla się coraz dokładniej ze zmąconej oddali: zbliża się, wypełnia, zwiera się w kształty. Pero znów wyciąga bronzową rękę i mówi:

— Las umarły.

— A, chwała Bogu! Umarły czy żywy, niech będzie pozdrowiony. Długie, na ćwierć łokcia, meksykańskie ostrogi wbijam w bogi mustanga: kudłaty łeb jego zaczyna kołysać się żywiej. Pędzimy, jak gońce wojskowi; las wyrasta w oczach: jeszcze pół godziny i jesteśmy na jego krańcu.

* * *

Co to są palmetty, co mówi o nich botanika, nie wiem. Z drugiej strony, jeśli powiem, że są to drzewa poprostu tragiczne, będzie to określenie o tyle przynajmniej dalekie od botaniki, o ile bliskie Wiktora Hugo. A jednak nie cofam wyrażenia. Pero, prosty Indyanin, pomimo iż się na stylu nie znał, nazywał jednak ten las lasem umarłym. Cisza,

śmierć, nieruchomość: to pierwsze wrażenia jakie ten las sprawia. Palmetty nie są wcale podobne do innych drzew. Każde drzewo ma pień, konary, grubsze i cieńsze gałęzie, liście: słowem cała rozmaitość linii, kształtów i barw. Palmetty nie mają tego wszystkiego. Palmetta jest to jednostajny szarego koloru pień, rozdzielający się w górze na dwa, rzadko trzy, równie grube, tępo ucięte ramiona. Drzewo to wygląda poprostu jak człowiek, który wyciągnął z rozpaczą ręce do nieba. Pień od samego dołu, a ramiona aż od samej góry pokryte są jakby grubą szczeciną, nie odstającą od kory i zbitą w jeden pokrowiec, który okrywa całe drzewo. Wszystkie kształty grube, nieruchome, niby wyciosane niezgrabnie, robią wrażenie przedmiotów kamiennych. Cały las wydaje się lasem skamieniałym, ot np. lasem olbrzymich koralów, uśpionych gdzieś na dnie morskiem. Na szarym piasku, na którym rosną palmetty, nie rośnie nic więcej, niema nigdzie ani trawki, ani kwiatka, ani śladu wody. Nie usłyszysz tam gwaru ptactwa, żaden owad nie toczy tych pni nieruchomych. Jak okiem dojrzeć, wznosi się pień za pniem, jakby posępna kolumna za kolumną; całe szeregi martwe, milczące, bezduszne. Prawdziwie umarły las. Z każdego innego drzewa życie wypowiada się to drganiem gałęzi, to zielonością, to kwiatem, to zapachem; znać że drzewo żyje, oddycha, roni balsam żywiczny, rozkwita, rodzi; między palmettami zaś przesuwa-

łem się jak wśród nagrobków, sterczących na jakim wielkim cmentarzu. Błądziłem niby duch, konie zostały u brzegu, a Indyanin, jak drugi duch, poważny i milczący szedł za mną. Wiatr nie wiał. Szary piasek obsuwał się bez szelestu pod naszemi stopami; słońce weszło wysoko na horyzont i sypało na nasze głowy żar ognisty. Cisza śmiertelna panowała wszędzie. Krótkie cienie kładły się na piasek od drzew, znacząc jego szarą powierzchnię czarnemi plamami. Szliśmy głębiej i głębiej. Mimowoli przyszedł mi na myśl wiersz Słowackiego:

„Z taką więc ciszą i z taką powagą
Wejdziemy niegdyś w elizejskie bory".

Uroczysty ów pochód przerwał dopiero głos Indyanina, mówiąc cicho:

— „Blada twarz" nie może przejść umarłego lasu.

— Czy daleko ciągnie się na wschód?

— Słońce trzy razy przeszłoby od gór do wielkiej wody, zanimby „blada twarz" mogła przejechać umarły las na najszybszym koniu.

— Nie chcę go też przejść całego, ale niech Pero powie mi jeszcze, czy też przebył go kto aż do gór dawniej?

— Dawniej? nie. Czerwoni nie mieszkali tu nigdy, bo na Mohave niema wody i zwierząt. Koń i jeździec musi tu umrzeć. Czerwoni mieszkali niżej (tu ukazał ręką w kierunku Los-Angelos) w górach,

gdzie rosną drzewa, i co wiosna jeździli na bawoły na drugą stronę. Tam step pokryty jest trawą.

— A teraz nie jeżdżą już?

— Teraz ich niema.

Nastała chwila milczenia.

— Czy to byli bracia Pera? — spytałem po chwili.

— Nie.

— Jakże się zwali?

— Mohave.

— A bracia Pera?

— Cahuijja.

— Ci są jeszcze?

— Wigwamy ich stoją rozrzucone w górach na południu, ale niewiele jest już wigmamów. Dawniej mieszkali aż do granic Mohavów. Tam, gdzie dziś stoją kamienne wigwamy bladych twarzy (Los-Angelos), tam było wielkie pole (obóz). Ale dziś Cahuijja nie mieszkają już tam oddawna.

— Gdzie są teraz?

Bronzowa ręka po raz trzeci wyciągnęła się w kierunku gór, a głos uroczysty odrzekł:

— Tam, z duchami ojców.

Powieść była prawdziwa. Niegdyś wspomniane pokolenia żyły obok siebie, ale żyły, jak zwykle, w ciągłej wojnie o terytorya myśliwskie. Mohavowie wyginęli prawie zupełnie w tych zapasach, a Cahuijja osłabli i prędzej czy później także wyginą. Byłem potem w ich wigwamach, daleko na

południowych kończynach Tamiscalu i Santa-Ana. Nie żyją już w jednem wielkiem obozowisku, ale rozproszeni w rozmaitych miejscowościach. W wigwamach, w których spędziłem dni parę, było wszystkiego dwadzieścia siedem głów męskich, prócz kobiet i dzieci. Żyją bardzo nędznie, bo jakkolwiek zwierzyny wielka jest w tamtych stronach obfitość, nie mają jednak broni palnej, albo też taką, która jest nic nie warta. Z łuków wyrobionych z tęgiego drzewa strzelają dość celnie, ale strzały nigdy prawie nie zabijają większego zwierzęcia odrazu, na ptactwo zaś jest to polowanie trudne i mozolne. Podczas gdy myśliwy, uzbrojony w strzelbę, strzelając np. do kuropatw żerujących po ziemi [1]), zabija po kilkanaście sztuk odrazu: z łuku można zabić zawsze jedną tylko. Jedzą też ci Indyanie wszystko: wiewiórki, pieski ziemne, kujoty, dzikie koty i co się zdarzy. Gdy zabiją niedźwiedzia lub wielkiego jelenia, jest to uroczystość dla całego obozowiska. Śmielsi wyprawiają się na ciągi bawołów aż za San-Bernardino, skąd czasem przywożą zapasy suszonego mięsa, ale też często giną pomordowani przez dzikich i bitnych Apaszów i Komeneczów. Wogóle w Kalifornii, z powodu braku bawołów, stan Indyan, nie dających się nagiąć do uprawy roli, jest bardzo nędzny. W czasie winobrania wszyscy prawie dorośli mężczyźni ciągną ku

[1]) Kalifornijskie kurki strzela się siedzące a nie w lot.

brzegowi morskiemu, ku okolicom zamieszkałym i wynajmują się do robót, ale za zarobione pieniądze kupują fraszki, a przedewszystkiem wódkę. Prawo zabrania wprawdzie pod wysokiemi karami sprzedawać Indyanom gorące napoje, ale prawo dość często bywa bezsilne. Liczni farmerowie, którym się wino nie opłaca, pędzą z niego, sekretnie przed akcyźnikami, wódkę, i ci sprzedają ją Indyanom. Byłem raz świadkiem, jak po ukończeniu robót u zamożnego farmera, nietylko pracującym Indyanom nic się już nie należało, ponieważ wybrali, pod postacią napitków, wszystko naprzód, ale nie było ani jednego, któryby nie pozostał dłużnym na mniejszą lub większą kwotę pracodawcy. Tak dzieje się prawie wszędzie. Czas winobrania jest karnawałem dla Indyan, po którym następuje post aż do przyszłego lata. Kredytu przytem nie mają nigdzie, ponieważ nie odznaczają się uczciwością; każdy więc farmer, wszelkie naddatki udzielone czy to wódką, czy pieniędzmi, uważa za stracone raz na zawsze: dlatego wszyscy starają się już z góry przy układach strącić je z ceny robocizny. Bawiąc kilka dni między Cahuijjami, mogłem, patrząc na ich codzienne życie, zbadać jako tako ich charakter. Niestety, nie znalazłem w nich, prócz pozorów, ani jednego z tych szlachetnych przymiotów, jakie cechują bohaterów Coopera. Naprzód życie ich, wśród brudów nie do uwierzenia i wśród robactwa, przed którem wreszcie uciekłem,

może przejąć tylko wstrętem; powtóre, w każdym ich kroku znać demoralizacyę cechującą rasy ginące. Są leniwi, wiarołomni, kłamcy, a wreszcie tchórze. Jeśli nie kradną i nie rozbijają, to tylko dlatego, że drżą przed straszliwym lynchem, z którym poznajomili ich skwaterowie.

Nieraz zdarza się, że skwater, któremu coś zginie, sam jeden przyjeżdża do obozowiska i sam jeden wśród wszystkich mężczyzn dopełnia poszukiwań i wymierza sobie sprawiedliwość. Biedni ci pół-dzicy są przytem niezmiernie łakomi na wszystko, co nie jest ich własnością. Mój „bowie-knife", rewolwer, strzelba, słowem wszystko aż do psa, toporka i worków, było przedmiotem ustawicznej ich pożądliwości. Jeden przez drugiego starał się ode mnie coś wymanić. Czasem pochlebiano mi rozmaitemi nazwami, czasami ten i ów zuchwalszy oświadczał, że „blada twarz" musi mu darować ten lub ów przedmiot, ale jedno surowsze spojrzenie przywoływało tchórzliwego zuchwalca do porządku. Niemniej wstrętne jest postępowanie ich z kobietami. Mężczyzna poluje tylko, a gdy nie poluje, leży pod wigwamem w śmieciach, nic nie robiąc; kobieta zaś, często jeszcze z dzieckiem na plecach, zamkniętem do szyi w łubianej kobiałce, spełnia najtrudniejsze roboty, za co otrzymuje wymysły i szturchańce. Mąż żonę, ojciec córkę oddaje tu pierwszemu lepszemu przechodniowi za byle co: za kawał drutu, scyzoryk lub starą kamizelkę.

A jednak te dziewczyny z płcią miedzianą, o czarnych, ogromnych i łagodnych oczach, bywają w chwili rozkwitu nieraz bardzo przystojne. Trafia się, że samotni biali skwaterowie biorą je za żony i żyją z niemi szczęśliwie. Niektóre z nich nabierają pewnej ogłady i pewnych wiadomości. W zeszłym liście wspomniałem pół-indyankę, Donnę Refugio, która była tak wykształcona, jak mało Amerykanek średniej klasy. Później spotykałem i czyste Indyanki, umiejące czytać, pisać i posiadające daleko więcej wiedzy od swoich białych mężów. Wszystkie przytem są doskonałemi matkami.

Los tych, które wychodzą za białych, jest, w porównaniu do losu skwaw indyjskich, prawdziwie godny zazdrości. Jakkolwiek małżeństwa takie nie bywają najczęściej uprzednio legalizowane, stają się jednak takiemi później, na mocy prawa orzekającego, że mężczyzna, który żył z kobietą wolną lat trzy, ma uważać ją jako prawnie poślubioną, że zatem nie wolno mu się żenić z drugą, że w razie opuszczenia jej musi myśleć o jej utrzymaniu i t. p. Wogóle zresztą w Ameryce formy kościelne nie mają żadnego znaczenia, urzędowe zaś daleko mniej, w stosunku do faktów spełnionych, niż gdzieindziej. Tu nie potrzeba pośrednictwa praw, aby mężczyzna uważał kobietę, z którą żyje, za prawowitą swą małżonkę. Przytem trzeba być chyba tu na miejscu, aby poznać dokładnie, jak idealnym mężem jest każdy rodowity Amerykanin. On w swej

żonie czci swój *home,* t. j. swoje ognisko domowe, swoją pozycyę obywatela, ojca dzieciom, swoją godność osobistą, słowem całego siebie, bez względu na to, czy żona jego poślubiona jest przez pośrednictwo księdza, urzędnika, lub bez pośrednictwa, czy jest biała, żółta lub miedziana. Szacunek ten dla kobiet zdaje się tkwić głęboko we krwi tej rasy, sam zaś w sobie tak jest bijący w oczy i potężny, że udziela się nawet emigrantom Niemcom i Irlandczykom, którzy w „Deutschlandzie“ i „Irischlandzie“ inaczej na te stosunki patrzeć przywykli.

Wracając do Cahuijjów, kilkodniowy pobyt mój między nimi, mimo licznych ich wad, zostawił mi jednak pełne współczucia dla tych biedaków wspomnienie. Współczuję im z tej prostej przyczyny, że są nieszczęśliwi. Wojny w Kalifornii niema już z czerwono skórymi, a prawdę rzekłszy, wojny wytępienia nigdy nie było, pokolenia bowiem tutejsze nie odznaczały się ani takiem męstwem, ani zaciętością, jak pokolenia terytoryów stepowych. Biali nie dopuszczają się na nich żadnych gwałtów, przeciwnie jak na północy, gdzie, w chwili gdy to piszę, wre zacięta walka, nie tylko między Siouxami a białymi, albo w Ajdaho (Idaho) między strasznem pokoleniem „Przekłutych nosów“ i wdzierającymi się w ich posiadłości pionierami. Tam wodzowie „Siedzący Byk“ *(Sitting bull)* i „Biały Ptak“ *(White bird)*, ubroczyli już po rękojeście swe wojenne siekiery we krwi mężczyzn, kobiet i dzieci;

tam między skalpami zdartymi z głów białych, powiewa u pasa Siedzącego Byka długowłosy skalp generała Custera i wszystkich jego żołnierzy; tu o skalpach nikt nie słyszał, wszędzie cisza i spokój, a jednak nieubłagany palec cywilizacyi ściera i te spokojne pokolenia z powierzchni ziemi. Może to nieuniknione, może konieczne, a jednak jest w głębi natury ludzkiej jakieś poczucie głębszej sprawiedliwości, któremu dzieje się w ten sposób krzywda; więc mimowoli w imię tego uczucia pragnie się nieraz powiedzieć *goddam!* na ową cywilizacyę, co dla słabych i ciemnych jest takim przewodnikiem, nauczycielem, jakim byłby wilk dla owiec.

Wracam do umarłego lasu. Gdy cienie palmettów zniknęły prawie zupełnie, oznaczając południe, Pero odszedł dać jeść i pić koniom, a ja zostałem sam i znowu wzrok mój błąkał się wśród szeregów umarłych pni. Badałem pokład piasku, chcąc odkryć jakiekolwiek ślady zwierząt i ptaków, ale szara, sypka powierzchnia gładka była, jakby wczoraj jeszcze przesuwały się ponad nią wody. Szedłem coraz dalej w głąb tem śmielej, że wyciski stóp moich były niby nicią Aryadny, mogącą w każdej chwili wyprowadzić mnie z tego labiryntu. Widok nie zmieniał się wcale; też same szeregi pni, też same rysujące się ciężko kamienne kontury i ten sam grobowy spokój. Dziwna to, szczególna pustynia, w której najdoskonalszym wy-

razem pustki, śmierci. ciszy jest to. co powinno ją natchnąć życiem: t. j. drzewa. Są to też widma drzew. Doprawdy, nie wiem, czy nawet afrykańska Sahara, lub pustynie arabskie przejmują takim smutkiem i pognębieniem, czy uderzają oczy podobnemi wrażeniami martwoty i odrętwienia, jak Mohave. Tam, czasem przynajmniej, zazieleni się oaza, czasem na piaszczystych wzgórzach zarysują się na tle zorzy wieczornej biblijne kształty wielbłądów i jeźdźców zapatrzonych w niebo; tu palmetty sterczą zawsze bezduszne, straszne, milczące.

A jednak i Mohave ma teraz swoje odgłosy przerywające wieczną ciszę. Wyszedłem właśnie na kraniec lasu do Pera i koni, gdy usłyszałem ten odgłos z pustyniowej oddali. Z początku był to niby szmer cichy, potem coraz głośniejszy, bliższy; stopniowo zmieniał się w łoskot, potem usłyszeliśmy bicie dzwonu, potem świst, a raczej ryk pary. Pero wpatrzył się w dal smętnych kolumn i rzekł:

— Wielkie wozy białych.

Tymczasem odgłos zbliżył się, doszedł do zenitu, i nagle ujrzeliśmy pociąg wypadający z lasu. Dziwny to był widok na tej pustyni! Tłoki maszyny, widziane z daleka, poruszały się z szybkością, jakby nogi jakiegoś potworu; paszcza jego ziała kłębami dymu. Była w tem jakaś niepojęta siła, jakaś wściekłość; cały pociąg wydawał się jak olbrzymie zwierzę, goniące na oślep za łupem. Nie biegł, ale rwał naprzód, jak wicher albo huragan.

Przeleciał nakształt jakiegoś piekielnego korowodu, dysząc, dzwoniąc i hucząc, wpadł na równiny stepowe i leciał dalej, aż znikł wreszcie w stepach, w kierunku Los-Angelos.

— Biali nie lękają się Mohave! — ozwał się Pero.

I miał słuszność. Kto wie, co za lat kilka lub kilkanaście stanie się z tymi obszarami i z samym umarłym lasem. Kto wie czy biali nie wytną drzew i nie osiądą tu, gdzie żadne stworzenie mieszkać dotąd nie śmiało. Może olbrzymią siłą poroztrącają wschodnie góry i wydobywszy jak Mojżesz drzemiącą w głębi skał wodę, sprowadzą o setki mil ożywcze jej strumienie na piaszczyste obszary. A wtedy dzisiejsza pustynia kołysać się będzie falami zbóż wszelkich, palmetty ustąpią miejsca gajom prawdziwych palm, pomarańczom, figom, gwar ludzki zamąci ciszę panującą obecnie. Cóż powstrzyma tę niepohamowaną rasę „bladych twarzy“ w jej pochodzie naprzód przez pustynię, stepy i lasy dziewicze? Dziś, gdy to piszę, Mohave w całej swej szerokości i długości przestała już być zaklętym krajem, o którym Indyanin tylko podawał Indyaninowi błędne wieści. Kolej południowa oceanu Spokojnego (Southern Pacific Railrod) do Los-Angelos dawno już skończona. Z Los-Angelos jedna linia biegnie przez Anaheim, dalej na południe ku San-Diego; druga, skręcając na wschód, przechodzi całą Mohave, przerzuca się przez góry

San-Gabriel i śnieżyste San-Bernardino; za górami i za Agua-Caliente znów zstępuje na pustynię i kończy się aż w forcie Yuma, na granicy Kalifornii, Arizony i Meksyku, niedaleko od ujścia Colorado.

Kalifornia słusznie chlubi się budową tych linii, przyrównywając trudy i zwyciężone przeszkody do trudów i przeszkód, jakie musieli łamać inżynierowie, prowadzący wielką kolej „Dwóch oceanów". I słusznie. Może nawet łatwiej było budować na chłodnych płaskowzgórzach Ajowy, Nebraski, Wyominga i Utah, niż w tych bezwodnych pustyniach, w których żar słoneczny dochodzi do przeszło stu stopni [1]), i w których przez dziesięć miesięcy w roku nie pada ani jedna kropla deszczu. W wielu miejscowościach, w których miały stanąć stacye, nie można było wcale dokopać się wody. Im posuwano się dalej, tem przeszkody stawały się większe. Miałki jak popiół piasek nie trzymał się pod pokładami: wiatry rozdmuchiwały nasypy. Za pustynią nastąpiły niebotyczne szczyty San-Bernardino, dalej jeziora suche, i znów jeszcze bezpłodniejsza pustynia. Tysiące białych i Chińczyków pracowało od rana do wieczora ze zwykłym amerykańskim gorączkowym pośpiechem, który największych przedsięwzięć nie lubi na lata rozkładać. Roboty wreszcie skończono. Fort Yuama został połączony z San-Fran-

[1]) Farenheita.

cisco i nowe kraje tak dla górnictwa, jak i dla kolonizacyi otwarte.

Wszystko to tem godniejsze uwagi, iż kolej ta nie jest dziełem całych Stanów Zjednoczonych, ale samej tylko Kalifornii. Wprawdzie wszystkie koleje są tu w rękach prywatnych kompanii, ale gdy akcyonaryusze na linię „Dwóch oceanów“ rekrutowali się istotnie od oceanu do oceanu, akcye południowej drogi rozchodziły się przeważnie tylko w Kalifornii, mającej sześćset tysięcy mieszkańców.

Ale tu wszystko idzie prędko. Mógłby ktoś powiedzieć, że też wszelka przedsiębiorczość prywatna, mając pod każdym względem rozwiązane tu ręce, więcej znajduje pola niż gdzieindziej. Z tem, jako z faktem uznanym, sprzeczać się nie będę, zauważę jednak, że tu, w Ameryce, taż sama energia, która w rozwoju swym nie znosi żadnych ograniczeń, umiałaby wyzyskać wszelkie okoliczności, aby usunąć to, coby jej na drodze stawało.

Inne pytanie jest, czy takie koleje, prowadzone przez kraje puste, do jakichś placówek cywilizacyi, jak np. fort Yuama, opłacają się przedsiębiorcom, ale i na to pytanie niepodobna inaczej odpowiedzieć, jak twierdząco. Przedewszystkiem są to przedsięwzięcia obliczone na lata, na przyszłość. Arizona np. jest krajem dziś jeszcze prawie pustym, ale przedsiębiorcy liczą na to, że przestanie być pustym, gdy kolej ułatwi do niego drogę. Wiedzą dobrze, że bogactwa mineralne tego kraju, niewy-

czerpane kopalnie srebra ściągną mnóstwo górników z całych Stanów; że za górnikami pójdą handlujący, za tymi kolejno rolnicy; że powznoszą się miasta, powstanie przemysł, a w końcu prace i nakłady aż nadto obfity plon przyniosą.

Jednem słowem: w Ameryce koleje otwierają nowe kraje. Przytem zachodzi jeszcze jedna okoliczność. Oto, rządy stanowe, w chęci popierania tak pożytecznych przedsiębiorstw, nadają kolejom ogromne przestrzenie gruntów drogom przyległych. Następnie, gdy kolonie wychodźców przybywają z Europy, z zamiarem osiedlenia się w Nowym-Świecie, oczywiście wolą nabywać ziemie kolejowe, niż wszelkie inne, najprzód bowiem można je nabyć tanio, a powtóre ziemie te, leżąc wzdłuż linii, mają zapewnioną łączność z wielkiemi ogniskami handlowemi, a tem samem i zbyt swoich produktów. To też zarządy kolejowe sprzedają rokrocznie setki tysięcy akrów koloniom niemieckim, irlandzkim, duńskim, szwedzkim, norwegskim, a nawet i polskim. Koloniści, osiadając gromadnie po kilkadziesiąt i więcej familii, śmiało zapuszczają się w nieznane strony, nie lękając się ani Indyan, ani odległości, byle znaleźć ziemię urodzajną, dostatek wody i drzewa. Z czasem też dochodzą do zamożności i prowadzą życie spokojne. W ten sposób, na pustyniach wielkiego zachodu powstają miasta, które przez swą odległość stanowią jakby zawiązki państw nowych: w ten sposób także ściąga się

ludność w krainy puste, a „terytorya“ zmieniają się zwolna w stany.

Stan taki rzeczy trwa do dziś dnia. Czytelnicy słyszeli zapewne o licznej i groźnej dla Galicyi i Poznańskiego emigracyi wieśniaków do Ameryki. Ludność ta wieśniacza, a zatem rolnicza, narażoną bywa częstokroć po przyjeździe na wielką nędzę po miastach; dlatego też istnieje w niej powszechne dążenie do osiadania na koloniach. Dążność ta objawiła się ze szczególną siłą w ostatnich czasach. Obecnie prowadzą się układy o nabycie od kolei kilkudziesięciu tysięcy akrów w Arkanzas między rzekami Arkanzas i Mississipi, w kraju lesistym, zdatnym pod uprawę zbóż wszelkich i bawełny, a przez pół jeszcze pustym. Inna znów partya, a raczej duchowni, stojący na jej czele, pragną wyprowadzić swe owieczki na stepowe bezleśne pastwiska Nebraski; obie zaś partye prowadzą z tego powodu nader zaciętą polemikę, w której tak jedna, jak i druga strona nie przebiera zarówno w środkach. jak i w wyrażeniach.

Rozpisałem się obszernie w końcu niniejszego listu o kolejach, owa bowiem nieustraszona odwaga i przedsiębierczość, z jaką są budowane, stanowi jedną z wybitniejszych cech amerykańskiego charakteru. Obecnie kto spojrzy na kartę Stanów Zjednoczonych, dostrzeże, obok linii już istniejących, mnóstwo innych dopiero wytkniętych, które jednak w ciągu kilku lat zostaną ukończone. Linie

te biegną, krzyżują się i łamią we wszystkie strony, pokrywając swą potężną siecią góry, pustynie, lasy i bezludne prawie zupełnie jeszcze stepy. Są w Oregonie, w Waszyngton-Terytory, w Montana, w Idaho, w Dakota, Nebrasce, Colorado, Arizonie, New-Meksyku, Texasie i Indian-Teritory, słowem w okolicach, w których przed kilkunastu laty, prócz niezliczonych trzód bawołów i uganiających się za niemi miedzianych jeźdźców strojnych w pióra, nie było innych panów. Ale to nie dosyć! Zuchwalsze jeszcze zamiary lęgną się już podobno w głowach Yankesów. Zamało już im Stanów Zjednoczonych, więc chcieliby okuć w żelazną sieć całą tę część świata, nietylko w jej szerokości, ale i w długości. Czy te zamiary przyjdą do skutku? doprawdy wątpić nie podobna, bo energia tego wolnego ludu istotnie nie zna niebezpieczeństw, a jedynem prawdziwem hasłem jego jest *Go ahead!*

LISTY z RZYMU, WENECYI i PARYŻA,

LIST Z RZYMU.

W Rzymie, właściwie mówiąc, są trzy miasta: nowożytne, dawne papieskie i starożytne. Topograficznie nie są od siebie oddalone. Częstokroć domy, wybudowane dziś lub wczoraj, stają na fundamentach starorzymskich; między zwykłemi kamienicami wznosi się tu i owdzie wieża romańska, czoła kościołów wsparte są na starożytnych kolumnach; słowem, życie wieków średnich wyrastało jak pleśń na zwaliskach świata pogańskiego; potem samo z kolei zapadało w gruzy, z których lepił sobie gniazdo człowiek nowożytny. Rzym jest to więc mieszanina bezładna trzech światów i wskutek tego najosobliwsze miasto na świecie. Ulic jego nie dotknęły prawie jeszcze linia i cyrkiel; domy piętszą się jedne nad drugimi, obniżają się, wznoszą, występują jako grupy; uliczki gną się w nieznane gdzieindziej krzywizny, między domami widać tarasy, blanki forteczne, wieże, pałace, kościoły, zwaliska,

olbrzymie skarpy rzymskich fundamentów, fontanny, krzyże, obeliski, znowu wązkie na kształt korytarzy uliczki, a na ich rogach Madonny, oświetlone nocą blaskiem lamp.

Starożytnego Rzymu widzi się na każdym kroku ślady, ale przeważnie ślady tylko. W ogóle zapadł on w ziemię, wieki pochowały go jak umarłego człowieka i pokryły grubemi warstwami gruntu, a na tym olbrzymim grobie zazieleniało nowe życie. Ale ciekawość dzisiejsza lubi odgrzebywać stare mogiły: w ten sposób odgrzebano Forum Romanum.

Począwszy od Kapitolu aż do Koloseum, ciągnie się Rzym starożytny, nie pomieszany z nowym. Część ta stanowi odrębną dzielnicę, leżącą na skraju dzisiejszego miasta. Widok na nią odkrywa się prawie niespodzianie i trudno nawet zdać sobie sprawę z wrażenia, jakiego doświadcza podróżnik, gdy, wynurzywszy się z wązkich uliczek obok Kapitolu, spostrzega odrazu to miasto zwalisk. Forum jest to dziś ogromny prostokąt, zapadły na ośm metrów w ziemię, ograniczony w swej długości z jednej strony Kapitolem, z drugiej Koloseum. Po prawej stronie leży skała Tarpejska i gruzy pałaców cezaryańskich, po lewej więzienie Mamertyńskie, świątynia Antonina i Faustyny, a nakoniec olbrzymie zrujnowane mury świątyni Konstantyna. Tu było ognisko i serce dawnego Rzymu, a obecnie kraniec dzisiejszego. Przez otwory w łukach i sklepieniach, przez puste okna odwiecznych zwalisk widzi się

ogrody, niezabudowane półka, a w dalekości znów zwaliska i stosy gruzów, przysłonięte błękitem oddalenia, za któremi ciągnie się smutna, rozległa równina Kampanii rzymskiej.

Ruchu miejskiego prawie tu niema; nie słychać turkotu wozów i dorożek. Kolumny, to stojące samotnie, to jeszcze połączone, sterczą ku górze, z powagą i martwotą pustki; wytworne linie przecinają na wszystkie strony ciemny błękit nieba i wykreślają się na nim z nieporównaną czystością i spokojem; olbrzymie sklepienia, jakby nie rękami ludzkiemi wznoszone, zwieszające się masą nie podpieraną od wieków, zdaje się, że runą za chwilę pod własnym ciężarem; nad wszystkiem unosi się jakiś nieopisany majestat wielkich wspomnień, ciszy i śmierci. Wokoło żyje tylko natura; na zrębach murów cezaryjskich pałaców czernieją sosny rzymskie, gdzieniegdzie palma rysuje się na wysokości na kształt wysmukłej kolumny, zakończonej kapitelem liści; długie trawy, powoje i mchy czepiają się wszystkich szczytów, rozpadlin, szpar i załamań: nad zwaliskami krąży w powietrzu ptactwo i słońce zlewa potoki światła, ale wszystko, co tylko wyszło z pod ręki ludzkiej, ciche jest, zrujnowane i martwe. Jest to poprostu miasto umarłe. Częstokroć, zwłaszcza w miesiącach letnich i na początku jesieni, gdy cudzoziemcy jeszcze się nie pozjeżdżają, żadna żywa dusza ludzka nie zakłóca tu ciszy. Gdym w godzinach popołudniowych zabłąkał się

między te kolumny, zdala zaledwie dochodził szum miasta niewyraźny, zmącony, podobny do mruczenia dalekich wód; zresztą słyszałem tylko świergot ptactwa w gzymsach i sykanie świerszczów ukrytych w szparach kamiennych. Na myśl nasunął mi się mimowoli wiersz Słowackiego:

„Tu świerszcze polne, pomiędzy kamienie,
Przed nagrobowem pochowane słońcem,
Jakby mi chciały nakazać milczenie,
Sykają. Strasznym jest rapsodu końcem
Owo sykanie, co się w grobach słyszy,
Jest objawieniem, jest i pieśnią ciszy."

Jakoż przy towarzyszeniu tej pieśni, zeszedłem do owego grobowca, który zarazem wydał mi się jakby ostatnią, zaklętą w kamień i marmur księgą wielkiego epos. Dziwne myśli przychodzą do głowy podróżnikowi, gdy się raz tu znajdzie i stanie, jakby oko w oko, z przeszłością. Wszystkie wspomnienia, wszystko, co wie o dziejach Rzymu, co o nich czytał, a co, mimo całej zdolności do odtwarzania wyobraźnią, wydawało mu się mimowoli czemś oderwanem, poprostu jakąś teoryą historyczną, tu przybiera kształty dotykalne i występuje jako istotna rzeczywistość. Można na to patrzeć i dotykać ręką. Nie jest to zmiana wątpliwości na pewność, bo któż zwątpił? ale ostateczne sprawdzenie słów faktami. I jest w tem jakaś dziwna rozkosz, gdy się pomyśli: ja tu jestem, ja to widzę! rozkosz, mająca swe źródło w większej wyrazistości, z jaką prze-

mawiają fakta, i w ciekawości, jaką budzi świat umarły już, a tak od naszego odmienny.

Tymczasem oko ześlizguje się po otaczających przedmiotach, jakby przelękłe ich wielkością i ruiną. Wszystko to zniszczone. Żelazna ręka Roberta Guiscard'a zburzyła do reszty to, co przetrwało napady Gotów i Wandalów, i całe Forum wygląda jak wielki zrujnowany cmentarz, na którym bezład grobowców dopełnia dzieła śmierci. Kolumny jedne połamane w górnej części, inne u podstaw, oznaczają jeszcze granice świątyń, ale trzony wielu z tych kolumn leżą już bezładnie na ziemi w różnych kierunkach; gdzieniegdzie sterczą tylko cokoły, gdzieniegdzie noga depcze korynckie lub jońskie nagłowniki, nawpół zagłębione w ziemi i porastające mchem w ozdobieniach. Trawa wydobywa się ze szpar pomiędzy kamiennemi płytami, któremi całe Forum było wyłożone. Mnóstwo podstaw posągów, ale bez posągów, to stoi, to pochyla się ku upadkowi, to leży już w dzikiem nagromadzeniu. Oko odkrywa jeszcze na nich wpół czytelne napisy, w których wyraz *Divo* powtarza się co chwila. Boskim i ubóstwionym ludziom wznoszone były za cesarstwa te posągi, a teraz często marmurowe członki owych „boskich“ leżą w kupach rupieci i w pyle zczerniałe, pokryte pleśnią, zapomniane. Cała przestrzeń zasłana jest szczątkami posągów. Tu widać nagi tułów kobiecy bez głowy, rąk i nóg, piękny jeszcze w swych kształtach miękkich i zaokrąglo-

nych; dalej ręce męskie z muskułami jak węzły, potężne uda bohaterskie, głowy bez nosów, nogi, torsy, to olbrzymie, to zwykłej wielkości, poprzewracane obok siebie, przy sobie: smętne okruchy, wśród których sykają „koniec rapsodu“ świerszcze.

Chwilami zdaje się zwiedzającemu, że jest w jakiejś olbrzymiej pracowni rzeźbiarskiej. Mimowoli przychodzi na myśl, jak żywotną sztuką była rzeźba dla starożytnego świata, i niepodobna nie zgodzić się z Taine'm, że czas jej minął. W dawnych, rozkochanych w plastyce czasach, była ona zaspokojeniem istotnej potrzeby, którą odczuwał cały naród; dziś jest sztuczną rośliną, hodowaną gwoli wykwintnemu smakowi. Pogański artysta tworzył, dzisiejszy tylko odtwarza wedle reguł; pogański czerpał ze swego otoczenia, ze współczesnych zamiłowań, z żyjących wyobrażeń i pojęć, bądź religijnych, bądź poetycznych: słowem był szczery; dzisiejszy nie zwraca się do tego świata, nie czerpie z niego, ale musi szukać treści w dziejach przeszłych, umarłych i nie odczuwanych przez nikogo. Nowsze też czasy wytworzyły swoją własną poezyę, malarstwo, muzykę i budownictwo — w rzeźbie nie wyszliśmy z koła bogów, faunów, nimf i bohaterów greckich. A jednak, ta najmniej dziś żywotna ze sztuk pięknych była niegdyś najżywotniejszą. Po za mrówczem codziennem życiem dawnego klasycznego *miasta*, świątynia, a w niej szeregi posągów, były prawdziwą „arką przymierza między dawnemi a no-

wemi laty,“ i słowo w słowo można powtórzyć z poetą, że w nie „lud składał broń swego rycerza, swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty,“ swoją religię, swoją ufność w potęgę i opiekę bogów. Służyły one jako ogniwo dotykalne, wiążące przeszłość z przyszłością, rzeczywistość z ideałem, człowieka z bóstwem. Więc też Forum było całym ludem posągów. Barbarzyńcy niszczyli je, kruszyła i pokrywała pleśnią wilgoć, czas zasypywał ziemią, grabiły późniejsze muzea, a jednak jeszcze dziś przestrzeń przy Via Sacra i na całem Forum prawie jest brukowana ich odłamkami.

W miarę jak „między kolumny, na niebie się kreślące,“ zbliżamy się do Kapitolu, nadlatują wspomnienia historyczne, a litery S. P. Q. R., ryte na przecznicach, napędzają do głowy szeregi obrazów. Tu *sub tutela inviolati templi*, wśród tego lasu kulumn i posągów zbierała się komisya. Wyżej na górze zasiadał senat z trybunami w progu, których wnioski przejmowały gniewem i drżeniem *patres conscriptos*. Tu tacy Mirabeau'wie dawnych czasów, jak Canuleius, a później Licinius Stolo, wśród wrzawy, wśród zmarszczonych brwi i zaciśniętych ust arystokratów, powtarzali swoje brzmienne w następstwie: *ut alterum ex plebe consulem fieri liceret*, a potem *aedilem*, *censorem*. Tędy na Via Sacra przesuwały się wozy tryumfatorów, za nimi w pętach królowie barbarzyńców, zadumani o puszczach rodzinnych, smętni, ogromni; naokół ich liktorzy z pę-

kami rózg i siekierami, dalej legiony, łupy, orły i radosny lud. W chwilach nieszczęść tu ginęli senatorowie z ręki Gallów Brennusa, potem Gracchowie z rąk Rzymian. Na Kapitolu bladł senat, a Sulla się śmiał, gdy jęki mordowanych dochodziły z poblizkich więzień Mamertyńskich. W tychże więzieniach, wśród ciszy nocnej, Cicero świecił latarką w oczy trupom wspólników Katyliny i powtarzał, jakby dzisiejszy mieszczanin drżący przed rewolucyą, swoje pamiętne: *jam non civunt!* Z murów Kapitolu wreszcie powiewała posępnie skrwawiona toga Cezara, a w dole lud wył o zemstę.

Wszystko to było, żyło, działało i przeszło. Pokolenia kładły się do grobów i tylko lud posągów mnożył się na Forum. Z Kapitolu został zrąb muru, na którym Michał Anioł zbudował pałac w stylu odrodzenia; na Forum z czasów rzeczypospolitej nie pozostało prawie nic, tak, że już żelazny Guiscard burzył tylko pomniki cesarstwa. Ale dziś i tych nie wiele. Sam tylko łuk Septima Sewera przetrwał. Wandale i Normandowie poogryzali go u podstaw, tak jakby wilki poogryzały kość mamuta, ale skruszyć potężnych zworów nie mogli. Nagłówniki kolumn ostrzygły nożyce czasu, marmur zżółkł, płaskorzeźby zatarły się i w części pokryły plamami, budowla zapadła się w ziemię na jakie dwa piętra, ale trwa potężnie. Zresztą, nie licząc dalej stojących łuków Tytusa i Konstantyna, jedyny to pomnik czysto

rzymskiego budownictwa na Forum. Wszystkie inne, to dzieci Hellady.

Zachowała się jeszcze kolumna Fokasa, ośm kolumn świątyni Jowisza, trzy Kastora i Polluksa i kilka mniejszych Saturna. Przeważnie szczyty ich są połączone jeszcze przecznicami naczelnemi, na których widać resztki napisów. Porządek korynckí przemaga we wszystkich, t. j. większość kolumn kończy się bujnym, wysokim, rozkwitłym w liście i kwiaty nagłównikiem; jońskich z pozawijanymi rogami widziałem kilka tylko; często zdarzają się mieszane, jońsko-korynckie, gładkich doryckich, zakończonych pierścieniem i prostym bez ozdób czworokątem, niema wcale. Gdym patrzył na te, które stoją na Forum, zwolna wspomnienia historyczne ustępowały przed wrażeniem piękna. Ład tego budownictwa działa poprostu kojąco. Podobnego wrażenia doświadczyłem na widok Wenus Milo w Luwrze i Apolina Belwederskiego na Watykanie. Podróżny nie wzdryga się w grecko-rzymskich świątyniach, tak jak w posępnych, ciemnych nawach gotyckich; umysłu jego nie ugniata rozszalała fantazya np. pagody indyjskiej; uwagi nie rozprasza zbytek ozdób nowszych barokowych budowli. Czar zawarty w słowie *ład* działa inaczej: polega on na zupełnej równowadze wszystkich władz duszy i wrażeń, na poczuciu pewnego spokoju wewnętrznego, w stosunku do doskonałości wymiarów, do jedności i wyśmienitej prostoty. Pogodne wrażenia rodzą pogodę w du-

szy, człowiek czuje, że mu jest dobrze. W budowlach klasycznych jak i w starożytnych posągach, niema żadnej poszczególnej myśli, jeśli się godzi tak wyrazić, literackiej, któraby podporządkowała inne i starała się wyłącznie przemówić: jest tylko jedna ogólna myśl boskiego ładu, w stosunku do człowieka i natury.

Powtarzam: i natury, albowiem te kolumny, nagłówniki, przeeznice zlewają się również w pełną ładu całość i z krajobrazem, i z niebem, i ze słońcem. Zielone podesłanie równiny podnosi ich lekkość i wysokość, błękitne tło nieba uwydatnia białość i jakby roztapia w słodki sposób linie zarysów; słońce wreszcie rozświeca je, ożywia wydobywa wszystko, co wydobyć należy, cieniuje i dopełnia rzeźbienia. Tym jońskim lub korynckim kolumnom potrzeba greckiego lub włoskiego błękitu, greckiego lub włoskiego słońca. Budowniczy rachował na pomoc tych czynników. Przeniesione w mgły północne i pod chmurne niebo owe wdzięczne kwiaty skurczyłyby się, zmalały, zwiędły.

Co widać także z klasycznych budowli, to niezmierną wiarę ludzi starożytnych w życie doczesne, w jego znaczenie i w jego szczęście. Rozumiemy Achillesa, gdy mówił nawpół ze smutkiem: „Słuchaj, boski Odysseju! wolałbym być parobkiem i żyć na ziemi, niż błąkać się jak cień po polach Elizejskich.“ Jakoż szczęścia, rozkoszy, celów, jakie człowiek sobie zakłada, szukano tu na ziemi. Stąd i ochota

do wysileń życiowych, do dopełnienia życia ładem poezyi, malarstwa, rzeźby, muzyki i budownictwa. Sztuki piękne są dla nas zapomnieniem życia i ucieczką od niego, dla nich były jego bukietem. Średniowieczny mnich, patrzący na ziemię, jak na padół nędzy, nie mógł wznosić świątyń podobnych. Kościół jego wyrywał się ku niebu strzelistemi wieżami, jak wyrywała się dusza... Średnie wieki straciły wiarę w życie doczesne... nowsze tracą je w przyszłe... Doprawdy, przychodzi ochota zapytać, dla czego i czem wreszcie żyć będziemy?

Ale to troska przyszłości. Inne jeszcze i mniej gorzkie myśli budzi widok klasycznych świątyń. Oto, odwróciwszy się od ponurego łuku Septima Sewera, zwolna na tem Forum rzymskiem zapominasz, że jesteś w Rzymie, a zdaje ci się, że otacza cię Grecya. Toż te kolumny korynckie i jońskie, te nagłówniki, przecznice i posągi, to kwiaty ducha greckiego, to rodzone jego dzieci, ideały. Tu, w zaborczym Rzymie, zabrana Grecya wystawiła sobie pomnik nieśmierlelny. Rzym rozumiał tylko i popierał wielką ideę państwową, poświęcił jej zupełnie jednostkę, wytworzył najsilniejszy rząd w świecie, podbił cały krąg ziemski, ogarniał go, opanował, wyzyskał, zaprowadził wszędzie państwo rzymskie. Grecya pozwoliła się rozwijać jednostce, nie umiała się zdobyć na wielką syntezę państwową, ale dziejami swemi wewnętrznemi uświęciła przepyszny rozwój indywidualny człowieka i Rzym ru-

nął pod własnym ciężarem, a Grecya nietylko odrodziła się w państwie bizantyjskiem, ale w samym Rzymie przeżyła Rzym. Ateńczyku dzisiejszy! Ateńczyku „żwawy,“ „potęsknij, podumaj nad pomnikiem sławy.“ Zwłaszcza podumaj! Co za dziwne losy i koleje! Dumania o nich nie powinny być zbyt gorzkie.

Przez łuk Tytusa, obok zwalisk pałaców cezaryańskich, przechodzi się do Koloseum. Łuk ten, to najpiękniejszy zabytek czysto rzymskiego budownictwa, jakoż wyśmienite jego wymiary i pyszne rzeźby wyróżniają go od poblizkiego łuku Konstantyna, stojącego na drodze do łaźni Karakalli. Na wewnętrznej wklęsłej jego stronie płaskorzeźba wyobraża pochód tryumfalny Tytusowych legionów, obciążonych łupami zburzonej Jerozolimy. Między innymi przedmiotami widać tam sławny świecznik ze świątyni Salomona. Żydzi tutejsi z Ghetto mijają zdaleka tę bramę strasznych dla nich wspomnień. Za łukiem jest się już w zakresie Koloseum. Tu panuje i przemawia wyłącznie cesarstwo, a na myśl przesuwają się przedewszystkiem, jakby kute z kamienia, słowa Tacyta: *Ruerunt in servitutem patres, senatores, equites, plebs.* Ale na cesarstwo można także patrzeć, jak na reakcyę ducha ludzkiego przeciw pochłaniającej wszystko idei państwa. Świat już był podbity, a obywatel, zepsuty tryumfami, męczył się tą ustawiczną potrzebą poświęcania wszystkich sił ducha i ciała dla państwa. Z dru-

giej strony, człowiek zapragnął żyć jako jednostka, nie ginąć bez śladu w nirwanie państwowej, poświęcić się poezyi, sztukom, rozkoszom; więc całą tę olbrzymią pracę rządzenia złożył w ręce jednego cezara; sam zaś odpoczywał, bawił się i rozweselał. Wprawdzie: *ruerunt in servitutem*, ale za to cezar Wespazyan wzniósł im takie Koloseum, a Tytus kazał się mordować w niem tysiącom ludzi i zwierząt. Jakoż lud był zadowolony. Cezarowie kąpali go w łaźniach, rozdawali zboże na rynkach, pieścili. Lud kochał nawet i Nerona, który był dlań zarazem intendentem i najstarszym błaznem. Wysokie tylko głowy obcinano do ogólnego poziomu, ale spodlonej czerni tego rodzaju równość płaciła właśnie za wolność. Płaciły jednak przedewszystkiem igrzyska. Tu z „Kunikulów“ w Koloseum odzywały się nocami przeciągłe ryki lwów. Dziś olbrzymia ruina świeci pustemi oknami, ale dawniej, wśród ryku zwierząt i chrapania konających, dziewięćdziesiąt tysięcy gardzieli wołało: *macte!* klaskały dłonie, palce podnosiły się ku górze lub na dół, gladyatorowie wykrzykiwali: *Ave Caesar! Morituri te salutant;* na arenie przesuwali się Germanowie, Gallowie, Bastarny, olbrzymi Dakowie, ludzie tak osobliwi jak te zwierzęta, których dosyłała Afryka. Tu także konali cicho chrześcijanie. Potem ten piekielny chorał krzyków i jęków dzikich, i wściekłych i rozpaczliwych lub pokornych umilkł raz na

zawsze, a na przesiąkłej krwią arenie rozciągnął, w głuchem milczeniu, ramiona krzyż.

Dziś niema krzyża. Władze świeckie kazały go uprzątnąć. Zresztą wznosił się on już wśród zwalisk. Olbrzymi gmach zaczął sam przez się rozpadać się w gruzy: Normand Guiscard zburzył go w części, reszty dokonały czas i chciwość ludzka. *Quod non fecerunt barbari, fecere Barberini!* Pałace Barberinich i Farnezów budowane są z cegły, grabionej w Koloseum; potem przez całe wieki okradał je kto chciał. Dopiero za czasów Napoleona zaczęto niby odbudowywać gmach i wzniesiono, a raczej odnowiono, kilkanaście sklepień, ale próby owe były i pozostały, w stosunku do całości, kroplą w morzu. Całość sterczy do dziś dnia potworna, zczerniała, połamana, obumarła i prawie niepodobna do dzieła rąk ludzkich. Widziałem ją w blaskach słońca i przy księżycu. W nocy jest prawie straszna swoim ogromem, ruiną i pustką. Zamieszkują ją teraz skorpiony, nietoperze i zniszczenie.

Pod sklepieniem łuku Konstantyna przechodzi droga do łaźni Karakalli. Droga to prześliczna, wśród ogrodów i wądołów, których szczyty pokryte są sosnami kształtu parasoli, stoki zaś porastają winogradem i wysoką kukurydzą. Na prawo i na lewo, raz wraz ponad masą zieleni, wznoszą się jakieś zwaliska i szczątki. Krajobraz jest włoski, pełen słodyczy, światła, lazuru, a oko leci daleko w przezroczy powietrznej. Cichość przerywają tylko

ćwierkania wróbli na drzewach, bo zresztą dziwnie jest mało ruchu w tej okolicy. Idąc, spotkałem tylko jeden wóz wysoki, ładowny, zaprzężony w muły, poobwieszane dzwonkami; prócz niego ani żywej duszy. Droga, objęta murami, zwęża się i zakręca tak, że do łaźni dochodzi się prawie niespodzianie. Zapłaciwszy franka u wejścia, wszedłem do środka, a wszedłszy, począłem się rozglądać na wszystkie strony i mimowoli pytałem siebie, gdzie jestem. Koloseum w porównaniu z temi zwaliskami jest poprostu małe. Żaden gmach nowożytny nie daje nam wyobrażenia o wielkości łaźni. Olbrzymie milczące komnaty otwierają się jedna za drugą. Z przedsionka wchodzi się do frigidarium, dalej do tepidarium i callidarium.

Podnosim oczy do nieba, którego krąg ogromny widać z każdej komnaty; potem do stropu opustoszałych murów — i te ściany z cegłą zeszkloną przez wieki, wyniosłe, poszczerbione na szczytach, pokryte pękami zieleni a ciche, wydają się skałami, otaczającemi jakąś dolinę górską. Stada kawek, przelatujące z wrzaskiem z jednego grzbietu muru na drugi, dopełniają złudzenia. Szczątki sklepień, przerzuconych ze ściany na ścianę, lub zwieszonych w powietrzu, ogromne złomy kamienia porozpraszane bezładnie, przypominają fantazyę przyrodzenia. Chwilami zdawało mi się, że jestem w górach, w jakimś kanionie amerykańskim. Głucho tu też

także jak w górach, przestrono i pusto, kawki tylko krzyczą, ale szum miasta nie dochodzi wcale. Jednakże to dzieło rąk ludzkich, to łaźnie Karakalli! W kątach murów leżą jeszcze szczątki posągów, tułowy i głowy, a tam, gdzie trawa i wrzos nie pokrywają gruntu, odsłania się oczom najpyszniejsza mozajkowa posadzka, układana w kwiaty, zwierzęta i ludzi. Obszedłem wszystkie komnaty; po jakichś szczątkach schodów wydostałem się na zrąb wewnętrznej ściany, skąd oczyma mogłem ogarnąć lepiej całość. Ogrom jej przechodzi stanowczo nasze pojęcia o budowlach ludzkich; dzieło to zupełnie przyrody, naokoło skały i skały! Ale okruchy cegieł poczęły się wysuwać z szelestem z pod nóg moich; trzeba było zejść, tembardziej, że i słońce jęło zachodzić. Ostatnie jego promienie rzucały złote blaski na owe szczyty sterczące; stada kawek poszły spać, niebo czerwieniło się coraz więcej; wreszcie głos stróża, rozlegający się echem, wywołał mnie ze zwalisk. Doszedłszy do skrętu drogi, raz jeszcze rzuciłem na nie oczyma. W świetle zorzy były takie czerwone jak krew. Wydostałem się wreszcie na drogę, wiodącą do łuku Konstantyna. W dzień była pusta, teraz zaś gromady chłopców i dziewcząt wracały od roboty, zapewne z winnic i pól kukurydzowych, a wracając, zawodziły chórem pieśni. Świeże i wdzięczne głosy rozlegały się poetycznie wśród ciszy wieczornej. Tymczasem ciem-

niało coraz bardziej, i nakoniec zrobiła się noc, ale noc włoska, ciepła, gwiaździsta. Księżyc roztoczył już na Forum i Koloseum czarodziejstwo bladych promieni. Śpiewające gromady długo jeszcze szły razem ze mną i stopniały dopiero w labiryncie wązkich uliczek, otaczających Kapitol.

Z WENECYI.

„Może jest rzeczą nieroztropną spisywać pierwsze wrażenia, ale czemuż ich nie spisać, skoro się ich doznaje?“ Biorę za punkt wyjścia te słowa Taine'a i bez innych wstępów posyłam wam list z Wenecyi. Życie włoskie, a etnograficznie biorąc, Włochy zaczynają się już od Tryestu. Pociąg, który cały dzień przebiegał wężowatą linią góry illyryjskie i dalmackie, pokryte winnicami lub siwo-perłowym kamieniem, staje w Tryeście o godzinie dziesiątej w nocy. Kto chce jechać dalej, musi zaraz dotrzeć do portu. Możnaby dalej jechać i koleją, ale po kilkodniowem trzęsieniu w ciasnych wagonach, milej jest pokołysać się na falach Adryatyku. Widzi się więc miasto w przelocie, ale jednego rzutu oka dosyć, aby się przekonać, że tu już życie od północnego odmienne. Miasto wielkie, o szerokich, dobrze oświetlonych ulicach, wyłożonych nie brukiem, ale płytami kamienia; domy wysokie błysz-

czą, jak marmurowe, w blasku lamp; otwarte kawiarnie zalewają ulice światłem; przed kawiarniami oleandry w wazonach i marmurowe stoliki, przy których roją się tłumy ludzi. Nosi to już charakter południowy. Ludność widocznie wysypuje się rojnie na ulicę dopiero wieczorem, gdy upał dzienny przejdzie. Wówczas-to wszystko, co żyje, bawi się, przechadza, spotyka i rozmawia. Między tłumem widać strojnych mężczyzn i strojne kobiety o czarnych oczach, przy których gasną lampy. Ulice ze swemi płytami marmuru i kamienia zamiast bruku, z mnóstwem świateł, z oleandrami i z publicznością, wystrojoną świątecznie, robią zupełnie inne wrażenie, niż ulice miast północnych: jest-to raczej portyk, służący jako miejsce spotkań. Dodajmy do tego przepyszny wieczór, miliony gwiazd na niebie, drganie słodkiego języka w ustach kobiecych, a zrozumiemy dlaczego Tryest daje jakoby przedsmak Włoch.

Ale wszystko to widzi się, jak wspomniałem, w przelocie; trzeba bowiem śpieszyć się do portu. Zegary miejskie biją na różne tony jedenastą. Świeży powiew morski wskazuje, w którą stronę należy się kierować. Po kilkuset krokach pod nogami nie czuje się już kamienia, ale deski. To już dyga portowa. Szeregi świateł, połyskujących w dali we wszystkich kierunkach, nie rozświecają ciemności, na której tle rysują się ciemniejsze jeszcze sylwetki kominów i masztów. Czasem snop iskier

buchnie z takiej sylwetki i rozsypie się w deszcz złoty, którego krople gasną cicho: czasem panującą tu ciszę przerwie świst parowca: zresztą, z powodu późnej godziny, pusto tu i w porównaniu z szumem miasta głucho. Niema się nawet kogo spytać, gdzie szukać parowca. Jednakże oświetlone budki wskazują co kilkaset kroków drogę; w jednej z nich, stojącej otworem, kupuje się bilety do Wenecyi.

Czarne zarysy statku wykreślają się posępnemi liniami tuż za budką. Zawieszona na przednim maszcie błękitna lampka zdaje się tkwić w powietrzu i rozświeca banderyę Lloyda. Na pomoście widać ludzi z latarkami. Pół godziny pozostaje jeszcze do wyruszenia, tymczasem zwolna schodzą się podróżni. Jeśli noc jest piękna, najlepiej podróżować na pokładzie, a także i najtaniej, albowiem przejazd tylko trzy kosztuje guldeny. Ułożywszy węzełek z rzeczami na wystającym z pokładu pomoście, pokrytym żaglowem płótnem, wyciągnąłem swobodnie skurczone długą jazdą w wagonie członki. Panujący tu mrok słabo tylko rozświecają jeszcze wejścia do kajut i okno, przez które widać potężne polerowane członki maszyny, zginające się zwolna w swoich mosiężnych stawach, jakby dla nabrania rozpędu. Podróżnych schodzi się coraz więcej; bieganie ludzi z latarkami staje się szybsze, śruba poczyna burzyć wodę i wreszcie wyjeżdżamy. Chłodny powiew dolatuje teraz z szerokich przestrzeni mor-

skich. Tryest szeregami domów i świateł zdaje się oddalać, jakby zasuwać pod wodę, przesłaniać się mgłą, a nakoniec niknąć w oddaleniu i ciemności. Noc jest przepyszna, cicha, ciepła, gwiaździsta; statek nie kołysze się prawie, bo toń morska wygląda jak nieprzejrzane zwierciadło bez jednej skazy. Razem z myślą, że jestem na klasycznym Adryatyku, przed oczyma przesuwają mi się różne obrazy: to dumnych flot weneckich, to łodzi uskoków, które kołysały się niegdyś na tych falach. Potomkowie, a przynajmniej pobratymcy tychże uskoków, dalmaccy rybacy, leżą oto w tej chwili przy mnie na pomoście. W ciemności mogę zaledwie odróżnić ich postacie, ale słyszę prowadzoną półgłosem rozmowę, którą prawie zupełnie rozumiem, mnóstwo bowiem w niej wyrazów do polskich podobnych. Ten blizki naszemu język, słyszany w nocy na falach Adryatyku, dziwne sprawia wrażenie i dziwne myśli napędza do głowy. Cóż to za olbrzymie przestrzenie między Baltykiem, morzem Czarnem i Adryatyckiem, zamieszkane przez ludy jednego szczepu! Mimowoli czuje się w tem jakąś przyszłość, bez określonych jeszcze kształtów, ale tak ogromną, że pod jej tchnieniem myśl zwija skrzydła. Niegdyś te południowe szczepy patrzyły w gwiazdę Warneńczyka, jak w gwiazdę zbawienia...

Pytałem towarzyszów Dalmatów, w jakim celu jadą do „Mlecina“. Odpowiedź nasunęła mi na myśl

wiersz Mickiewiczowski, pod tytułem: „Morlach w Wenecyi“:

Gdym ostatniego cekina postradał
I gdy mnie chytra zdradziła niewiasta,
Życie mi zbrzydło, a Włoch mi powiadał:
Dymitry! pójdźmy do morskiego miasta!

Jechali za zarobkiem. Biedny lud! Owe góry, pokryte siwo-płowym kamieniem, nie rodzą widocznie zbytku chleba. Nie wiedzieli jednak zapewne, że w Wenecyi trudniej dziś o chleb, niż w Tryeście. Na pogawędce z nimi uchodziła noc. Brzask rozświetlił rosłe ich postacie o szerokich ramionach i rzymskich głowach, przybranych w czerwone, podobne do frygijskich, czapki, ale zarazem zwrócił moją uwagę gdzieindziej. Tyle razy już widziałem „kiedy ranne zorze wstają“ na różnych morzach, że podobne zjawiska nie powinnyby na mnie robić wrażenia, ale świt na Adryatyku szczególnie jest uroczysty. Zaczyna się on od wody. Gładka toń marszczy się zlekka, jakby w łuskę, która stopniowo zaczyna srebrzyć się i blednąć. Woda staje się zwolna jaśniejsza od nieba; coraz więcej blasku wsiąka w ciemności, z tą bladą czystością linii określanych srebrnymi refleksami. Wierzchnia warstwa wody rozświetla się coraz mocniej, a odbicia jej padają i na twarze ludzkie. Dal morska odsłania się stopniowo, zupełnie jakby kto podnosił z niej zasłonę. Tu i owdzie na horyzoncie widać już trój-

kątne żagle łacińskie. Lekki powiew, który dochodzi z przestrzeni, zdaje się przynosić ze sobą błękit i blaski. Widnieje! widnieje! Świtanie wygląda jak uśmiech blady i smętny, ale nadzwyczaj łagodny i po prostu niepokalany. Potem od strony Tryestu pojawia się różaność, złoto i cała cudna gra kolorów porannych, światło tryska, rozlewa się, obejmuje cały widnokrąg, a z przeciwnej strony wynurza się z wody, w tych blaskach i majestacie: Wenecya, „la Bella“.

Dziwne miasto! Czwarty tydzień upływa, jak kręcę się między placem św. Marka, Canale Grande, Giudeca i Riva dei Schiavoni, a zawsze ma dla mnie coś nowego. Ale nie obawiajcie się: nie chcę stawać do współzawodnictwa z Bedekierem i opisywać osobliwości tutejszych: zawartości kościołów, starych pałaców, muzeów, i galeryi; są to rzeczy znane i nie można mówić o nich, by zarazem nie przyszedł na myśl typ rudego turysty-Anglika, z zadartą głową i czerwoną książką w ręku, a zarazem i drugi typ włoskiego *cicerone,* który, oprowadzając *his lordship* po salach pałacu dożów, recytuje jednym tchem nazwy malarzy weneckich, począwszy od Giovaniego Bellini, Tycyana, Veroneza, a skończywszy na Canalettim. Jest już w tem coś konwencyonalnego, a zresztą opis dzieł sztuki albo ma być gruntownem studyum znawcy, albo niech go nie będzie. Wolę więc mówić o ogólnem wrażeniu, jakie robi Wenecya, i o życiu, jak się ono odrazu

przedstawia oku przejeżdżającego. Iluż to w kraju słyszałem mówiących o Wenecyi z rozczarowaniem. Ktoś, komu z dzieciństwa mówiono o pałacach weneckich, i kto przybywszy tu, spodziewał się ujrzeć w najgorszym razie tak porządne kamienice, jak w głównych ulicach Warszawy, świeże, wymalowane, wybielone, o trzech-szybowych oknach — doznaje zawodu. Tu w ciche wody Canale Grande zsuwają się mury pałaców, zczerniałe, popaczone, osiadłe, miejscami wilgoć popstrzyła je w plamy przypominające grzbiet jaszczurki i potworzyły się pasma czarnej pleśni. U stóp, gdzie woda obejmuje kamień, osiadły zielone włókna ślizkich mchów, porostów i rzęsy; miejscami tynk poopadał w spojeniach; kamienne koronki nad ostrymi łukami maurytańskich okien wybladły od deszczów, lub w złamaniach poczerniały od dymu. Mijamy domy Desdemony, Barberinich, Foscarich, Pesarów, Calergich, Tiepolich, Cornarów, a wreszcie potężną arkadę Rialto; wszędzie toż samo. Tradycya rodów potężnych, a wygasłych lub zbiedniałych, wieje od tych pałaców. Okna ich pozamykane na głucho okiennicami; w bramach rzadko ukaże się twarz domownika. Mury to dumne i poważne, ale posępne i jakby zapatrzone w przeszłość. Zato jakże pełne charakteru, jak różne od tych budowli, które można widzieć w innych miastach! Z wyjątkiem kilku gmachów w stylu odrodzenia, w przeważnej liczbie, myśl architektoniczna wenecka, biorąca początek

w gotyku, pomieszała się z maurytańską. Okna wązkie, wysokie, zakończone ostrym łukiem, powycinanym w liść koniczyny, stoją tuż przy sobie, poprzedzielane tylko kolumnami. Ale te kolumy, to nie gotyckie pęki strzał, rozchodzące się bezpośrednio w sklepienia, to raczej kolumny bizantyjskie o rozkwitłym nad miarę kapitelu. Spodnią część okien obejmują małe i ciasne balkony. Od wielkich drzwi wschodowych, szerokie schody spuszczają się wprost w wodę; przed schodami zaś sterczą pochyłe pale, służące do przywiązywania gondoli.

Wszystko wygląda jakby spało. Na rogach tylko, przy ujściach bocznych kanałów, widać trochę więcej życia. Na złamaniach murów tu i owdzie powznoszono tarasy pokryte roślinnością. Dzikie wino, powoje i klasyczny bluszcz zwieszają się w festonach, pokrywając ostre zarysy muru i szczerby; czasem figa wygląda z za kamiennej ściany, czasem dolatują stamtąd głosy ludzkie, lub dźwięki jakiego instrumentu. Ale wogóle na Canale Grande, w porównaniu z innemi częściami miasta, mało jest ruchu. Przesuwające się gondole nie mącą ciszy i na krótko tylko fałdują gładką toń, która po brzegach odbija spokojnie i czysto szeregi uśpionych pałaców, wszystkie kolumny, zagięcia, rzeźbienia, środkiem zaś błękit nieba.

Przez którykolwiek z bocznych kanałów można się dostać z tej Wenecyi uśpionej, historycznej, do Wenecyi ludowej. Jest to cała sieć uliczek, z któ-

rych jedne są kanałami, inne powycinane w stałym gruncie, i tu jednakże nie znajdziesz kamienic budowanych wedle wyobrażeń filistrów XIX-go wieku. Bóg wie kiedy powznoszono te budowle, dziś popaczone, obdrapane, które, wszystkie razem wzięte, sprawiają wrażenie rudery. Ale właśnie w tem ich wdzięk i artystyczny charakter. Uliczki po większej części tak są wązkie, że między szeregami domów niepodobna rąk rozpostrzeć. Mieszkańcy domów stojących naprzeciw siebie mogą nietylko rozmawiać, lecz i szeptać sobie do ucha. Co za pole do romantycznych zdarzeń i miłosnych westchnień, do których usposabia tu zresztą wszystko. Młoda twarz, ujęta w starożytną spękaną ramę okna, wygląda jak artystyczny obraz; mrok panujący na uliczce rzuca na nią tajemnicze półświatła i cienie, zczerwieniałe mury podnoszą białość płci.

Zapewne też wiele miłosnych scen rozgrywa się tu między doniczkami kwiatów na trzecich i czwartych piętrach, w pogodne wieczory tutejsze. W dzień roi się w labiryncie tych korytarzy życie ludowe. W otwartych sklepach sprzedają południowe owoce, ryby, kraby, ostrygi, pająki morskie i wogóle wszystko, co zwie się *frutti di mare*. Rybacy o bronzowych twarzach, z koszami na głowach, nawołują potężnym głosem do kupna swego towaru; polenta dymi na straganach; okrzyki: *aqua fresca* lub *langurie! langurie!* mieszają się z nawoływaniem rybaków. Pół-nagie dzieciaki, czarne jak cyganięta i za-

morusane, gryzą chleb św. Jana, grają po kątach w *morę* lub żebrzą, a na cokułach mostków śpią w cieniu robotnicy, powyciągawszy malowniczo swoje potężne członki. Wszystko odbywa się na ulicy. Tu gotują w żelaznym piecyku obiad, tam piorą bieliznę; na progach domów siedzą kobiety z obnażonemi piersiami, karmiąc dzieci; na placykach, przy studniach, gawędzą i chychoczą młode dziewczyny; wszystko to rozmawia głośno, giestykuluje z żywością Włochom wrodzoną i mimowoli pozuje jakby do obrazu.

Przeszedłszy setkami mostów i uliczek całą długość miasta, kierujemy się od środka ku brzegowi i wydostajemy się na sam koniec Riva dei Schiavoni. Z jednej strony kończy miasto wązki cypel, na którym założono ogród ludowy, z drugiej, widać wejście do Canale Grande. Riva dei Schiavoni, to próg Wenecyi od zatoki. Szereg zatoczonych łagodnym łukiem domów i obszerny kamienny taras, pospinany w przerwach mostami zajmują cały brzeg. Podróżnik, wjeżdżający statkiem, ogarnia jednym rzutem oka większą część miasta, od grodu królewskiego Piazetty i Palazzo Ducale, aż do ogrodu ludowego. Eks-królowa mórz ukazuje się z tej strony w całym majestacie. Błękitna fala zatoki obmywa jej stopy i kołysze, gondole, stojące przy tarasie. Większa część cudzoziemców umieszcza się w hotelach na Rivie; z okien ich bowiem wzrok ogarnia budowle arsenału, wszystkie okręty stojące w por-

cie, flagi różnych narodów, łodzie rybackie i dalekie mgliste wieże, Lido, zdające się wytryskać wprost z pod wody, a wreszcie gubi się w błękitach morza i nieba. Wieczorem, gdy słońce zachodzi, niema tak świetnych barw w świecie, któremiby nie mieniła się zatoka. Złoto, purpura, opal, rubiny i szafiry grają naprzemian na fali i migocą w tysiącznych odblaskach. Gdy się ściemni, widok się zmienia: księżyc oblewa wówczas białem światłem kościół Santa-Maria della Salute, pałac książęcy i ściele długie srebrne gościńce na wodzie. Okręty wywieszają na masztach kolorowe lampki, tysiące światełek, poprzywiązanych do gondoli, uwija się po zatoce; wówczas majtkowie i rybacy gromadzą się, po całodziennym trudzie na tarasie Rivy i śpiewają chóralnie do późnej nocy.

Tłumy, rozśpiewane i rozkołysane bezświadomie urokiem nocy i miasta, krążą od ogrodu do Piazetty. Piazetta, to znowu przedsionek placu św. Marka. Jeden jej bok stanowi wsparta na kolumnach i arkadach ściana pałacu dożów, drugi: nowa prokuratorya; u wejścia zaś wznoszą się dwa ogromne słupy, wycięte każdy z jednej sztuki granitu; stojący na prawo dźwiga na sobie skrzydlatego lwa weneckiego, na lewo: św. Teodora. Powtarzam, że Piazetta jest przedsionkiem do największego w świecie salonu, jakim jest plac św. Marka. Trzy ściany salonu stanowią prokuratorye, czwarty najozdobniejszy, to dziwna bizantyjska budowla, złożona z mar-

murów i mozaik, która zwie się kościołem św. Marka. Wysoka na piętnaście piętr wieża dzwonnicza, czyli tak zwana „campanilla“, wznosi się na rogu bliżej Piazetty.

Trudnoby znaleźć drugi plac w Europie, któryby wytrzymał porównanie pod pewnymi względami z owym Piazza di Santo Marco. Szlachetna prostota prokuratoryi znajduje tu równoważenie w barwnej dekoracyjnej budowie kościoła, a oko, zmęczone prostemi liniami, chętnie spoczywa na powyginanych łukach, złoconych zagłębieniach i wypukłych wieżach świątyni, której bogactwo, w innem otoczeniu, zbytby może było rażące. Równie odrębnym i szczególnym jest charakter placu. Niema tu kurzu miejskiego, pojazdów, dorożek, koni, turkotu, a znaczna część przestrzeni, przytykającej do arkad, zastawiona jest stolikami, przy których siedzi się zupełnie, jak w salonie. Wieczorem plac jest miejscem rendez-vous dla całego pięknego świata weneckiego. Kto nie chce siedzieć w domu, ten stanowczo nie może być gdzieindziej. Tu słucha się muzyki, tu pije się ochładzające napoje, tu się przechadza, przypatruje publiczności, towarzyszy kobietom, spotyka kogo się chce spotkać, robi znajomości, słowem jest się jak na balu publicznym. Dźwięki muzyki, szelest wachlarzy, ogniste spojrzenia oczu włoskich, mnóstwo światła, wyfrakowana służba, roznosząca napitki, strojne kobiety, które zamiast kapeluszy przypinają koronki do włosów,

potęgują jeszcze wrażenie balu; tylko, gdy wzrok podniesie się do góry i na czarnem tle nieba ujrzy tysiące migocących gwiazd, wówczas przypomina sobie człowiek, że nie jest w jakiejś olbrzymiej sali, ale na ulicy.

Podczas dnia mniej tu ruchu. Widać tylko stada gołębi, tak oswojonych, że bez najmniejszej obawy siadają na ramionach i rękach karmiącym je osobom, i cudzoziemców z książkami w ręku, zwiedzających kościół lub pałac dożów. Ostatnia ta budowla w stylu maurytańskim, to kamienna kronika Wenecyi. Cicerone wprowadza podróżnika we wspaniałe podwórza, ukazuje miejsce, gdzie dawniej była lwia paszcza do wrzucania denuncyacyi, wiedzie przez schody olbrzymów w krużganki, nakoniec okazuje cały szereg olbrzymich sal, zdobnych portretami i obrazami mistrzów weneckich: przeważnie Veronesa i Tintoreta. Każda z tych sal, to arcydzieło i pamiątka zarazem. Tu zasiadał senat patrycyuszów, tam przyjmowano ambasadorów, tu zbierała się straszna rada dziesięciu, tam straszniejsza jeszcze trzech. Z sali obrad trzech, przez tajne drzwiczki, korytarze, przez złowrogi Ponte dei Sospiri schodzi się do więzień.

Przewodnik zapala pochodnię i po wązkich schodkach spuszcza się ku czarnym, jak noc, sklepieniom, od których wieje wilgocią i stęchlizną. Jakiś ciężar ugniata piersi, gdy się widzi te kamienne nory o nizkich wchodowych otworach, bez

okien, bez światła i powietrza. Czas i postęp opróżnił je z ofiar, ale nie starł z nich piętna okropności i zgrozy. Blaski pochodni zdają się rozświecać na czarnych ścianach plamy krwi, a przytłumiony głos przewodnika budzi posępne echa historyczne. Tu siedział Foscarini, tu Marino Falieri, tu go ścięto, tam spowiadano ofiary, tamtym otworem, umyślnie wyżłobionym w kamieniu, spływała krew w wodę kanału. Podróżnikowi zdaje się, że to sen lub jakaś sensacyjna dekoracya z dramatu Wiktora Hugo, a jednak to rzeczywistość, do której przechodzi się wprost ze złoconych komnat pałacu. Czujesz wówczas, że dosyć masz wszystkiego: i sal, i więzień i całego gmachu, a w duszy mówisz sobie: błogosławiony niech będzie postęp, który raz na zawsze zamknął tę krwawą księgę toporów, katów, krwi i panowania oligarchii kupieckiej. Historya nie zna straszniejszych władców od kupców-oligarchów. Okrucieństwa pojedyńczych tyranów greckich lub średniowiecznych książąt były nadużyciem, okrucieństwa kupieckich archontów: systemem. Dzieje wewnętrzne Kartaginy i młodszej jej siostry, Wenecyi, są jednakie. Na myśl mimowoli nasuwa się porównanie i podobieństwo między temi dwiema rzeczpospolitemi, które w chwilach rozkwitu doszły do takiej potęgi, a które nie zostawiły po sobie żadnej idei błogosławionej.

Patrząc na salę pałacu dożów, na szeregi ko-

lumn, na złocenia, mozaiki i marmury, na arcydzieła Veronesów i Tintoretów, na portrety dożów, poubierane w aksamit i strusie pióra, naprożno pytasz się siebie: do czego to służyło? czem było dla ludzkości? jaka wyższa ogólno-ludzka idea wiodła tych kupców?... i nie znajdziesz odpowiedzi. Ze zmroku dziejów wychyla się twarz tej rzeczypospolitej marmurowa, dumna, potężna, z lwiemi zmarszczkami na czole, ale jakby gniewna, zła, okrwawiona, bezduszna i bez gwiazdy-idei nad głową. Z jakąż otuchą myśl wówczas leci daleko, nad ciemne bory sosnowe i szare pola; z jakąż ulgą rozpatruje się w tych dziejach tak innych, nierządnych wprawdzie i gwarnych, ale tak prawdziwie ludzkich! Spytajcie kogokolwiek, gdzieby chciał żyć, gdyby się urodził w wiekach średnich. Tam, gdzie nie było lwich paszcz do wrzucania denuncyacyi, ani rady dziesięciu, ani rady trzech, ani mostów westchnień, ani czarnych nor nad kanałami! Było wprawdzie mniej kolumn, mozaik i strusich piór, ale była idea, która niosła, jak archanioł, skrzydlate zastępy na Niemców w obronie Słowian, na Turków w obronie Niemców...

Dziś wprawdzie moda inaczej patrzeć na te dzieje. Dziś marmurowym postaciom, śpiącym od wieków w słodkim majestacie, zarzucają i z katedry, że nie umiały być Ludwikami XI; ale ja, wędrowiec, gdym w pysznym pałacu dożów myślał

i porównywał, mimowoli podnosiłem z dumą głowę do góry, a na pamięć nasuwał mi się wpół zapomniany wiersz Klemensa Janickiego:

„Jać nie boleję, żem sarmackie dziecię...“

Z PARYŻA.

Obok tego Paryża, który się bawi, świeci jak wąż stubarwny, szumi, hałasuje i łaknie rozkoszy, jest drugi, który się uczy i myśli. Zamierający w czasie upałów letnich ruch umysłowy ożywia się za nadejściem chłodów i jesiennej niepogody. Akademie rozpoczynają swoje posiedzenia i prace, wystawy księgarskie zdobią się coraz nowemi książkami, kolegia ściągają rozproszonych słuchaczy. Pracowite mrówki naukowe znoszą ze wszystkich stron źdźbła wiedzy i składają je do wspólnego mrowiska; zawiązują się naukowe spory i rozprawy, i w ten sposób, życiem wewnętrznem, życiem ducha i idei, dopełnia się zewnętrzne, goniące tylko za użyciem, za bogactwem, za zabawą i zbytkiem, słowem, wyłącznie za chlebem i igrzyskiem.

W owym-to zimowym okresie panowania muz, uwaga publiczna nastraja się także poważniej i zajmuje się nietylko dniową polityką, nietylko hossą

i bessą giełdową, albo anegdotami o publicznych ludziach, ale interesuje się również żywo tem, co się dzieje w łonie towarzystw naukowych, co nowego odkryto, powiedziano, gdzie jaki profesor wykłada i jak swój przedmiot traktuje. Jest to może charakterystyczną cechą Francyi i Paryża, że tu uczeni nie stanowili nigdy, na kształt średniowiecznych Różokrzyżowców, bractw zamkniętych. Mszę przy ołtarzu nauki odprawiają wprawdzie tylko kapłani, ale słucha owej mszy cała publiczność. Z ostatecznych przyczyn i zasad ogół nie umie sobie zapewne zdać sprawy, tak jak większość ludzi, chodzących po Avenue de l'Opéra, nie rozumie dlaczego lampy elektryczne palą się i rzucają blask tak jasny. Nie przeszkadza to jednak, że wszyscy korzystają z ich światła. Takie popularyzowanie nauki, takie dopuszczanie, z pomocą Sorbony, Collège de France i innych zakładów, szerszej publiczności do udziału w ruchu naukowym, a nawet i sądu o nim, sprawia, że nauka i płynące z niej idee nie są tu niczem pergaminowem, zżółkłem, zwiędłem, jakąś wyłączną arendą uczonych profesorów, ale czemś żywem, wchodzącem natychmiast w krew i cały organizm ogółu.

Temu to może przypisać należy, że lud ten, nieskładający się przecież z jednostek bezwarunkowo najbystrzejszych i najwięcej umysłowo uzdolnionych, wiedzie jednak poniekąd rej cywilizacyjny i daje początkowanie wszelkim nowym ideom. Nie twier-

dzę, że powód to wyłączny, ale zapewne jeden z wielu. Nowe idee wytwarzane bywają przez uczonych lub przez społeczne warunki, ale odczuwa je i daje im popęd lud; lud zaś może je tem łatwiej i potężniej odczuwać, im szerszą drogą go dochodzą.

Obecnie, jednym z faktów, najwięcej zwracających na siebie uwagę myślącego ogółu, jest otwarcie w Collège de France wykładów literatury francuskiej nowożytnej. Rozpoczął je profesor Paweł Albert, wobec ogromnego natłoku rozciekawionej do wysokiego stopnia publiczności. Z biegiem wykładów profesorowi przyjdzie zapewne mówić i o czasach najnowszych i o ludziach żyjących jeszcze, o dzisiejszych kierunkach, dzisiejszych walkach i drogach, po których kroczy obecnie twórczość francuska. Stąd ten żywy interes i gorączkowa ciekawość publiczności, która przychodzi tam po sprawdzenie własnych przekonań, po utwierdzenie się w sądach i estetycznych instynktach. Czy istnieje, a jeśli istnieje, to zdrowyż-li kierunek obecny? dokąd idziemy? gdzie i jaka jest synteza dzisiejszych objawów twórczości, tak rozmaitych i rozstrzelonych, że zwykłe oko widzi w nich chaos i rozprzężenie? Co usłyszymy i co nam powiedzą? czy pozwolą czcić dotychczasowe bóstwa, czy może zapadnie wyrok, jaki kiedyś Klodwig usłyszał: „Sigambrze, pal, coś czcił, a czcij, coś palił?“ Oto pytania, które sobie każdy zadaje, a na które czeka odpowiedzi od nowo powołanego profesora.

Katedra literatury w Collège de France była po wszystkie czasy bardzo ważną, była bowiem niejako pośrednikiem między obozem ściśle literackim z jednej, publicznością z drugiej strony, a więc rodzajem sternika sądu ogółu. Rolę tę wypadało jej szczególnie grać około roku 1820, w czasie walki klasyków z romantykami, podczas której cały Paryż rozdzielił się na dwa obozy.

Nigdzie może nie doprowadzono walki tak zaciętej i na tak szeroką skalę o sprawę, nikogo bezpośrednio nietyczącą. Koleje walki i stanowisko względem niej katedry kreśli p. Albert w pierwszym swoim wykładzie. Między dwoma tymi wojującymi kościołami wahała się masa, raz chętna nowościom, to znów przerażona zuchwalstwem apostołów, a mająca jednak przychyleniem się swojem zapewnić zwycięstwo. Oczy tysiąców zwracały się wówczas na katedrę i tysiączne głosy zdawały się pytać: „gdzie iść, mistrzu?“ Ówczesny mistrz Andrieux nie dawał wprost odpowiedzi, pomimo, iż w gruncie rzeczy duszą i ciałem należał do „peruk“. Sam poeta, w walce zatem interesowany, z natury słodki, łagodny, ceniący formę spokojną i w karby ujętą, bał się tej nowej romantycznej burzy, więc romantykiem być nie chciał i nie mógł. Też same jednak przymioty nie usposabiały go i do walki. Prowadził wprawdzie wojnę z nową szkołą, ale sobie taką małą wojenkę aluzyi, ostrożnych epigramatów, które zachwycały niektórych, klasycznie

wykwintnych słuchaczów, ale nie zaspokajały ogółu. Publiczność spodziewała się czegoś innego. Wołano wówczas o sąd, o wyrok potężny jak grom, stanowczy, jak papieska encyklika.

W takich czasach przewrotu, gdy idzie o przeciągnięcie mas, o śmierć lub życie; gdy każdy, kto się do solidarności poczuwa, macha piórem, jak cepem, takie stanowisko ostrożne, takie wojowanie ołowianą szabelką docinków nie wystarcza. Trzeba wówczas przycisnąć przeciwnika do muru i wsadzić mu kulę w ucho, inaczej on to zrobi. Andrieux nie był do tego stworzony, skończyło się więc, że publiczność czuła tylko zawód, a przeciwnik, biorąc szturmem pozycyę po pozycyi, odpowiadał uczonemu i jego obozowi krwawemi słowy:

„Vieillard, va-t'en donner mesure au fossoyeur...
Vieillard stupide!...“ *(Hernani).*

Wreszcie przeciwnik zdobył i katedrę, w osobie M. Ampère, który był już zdecydowanym romantykiem. Przypadło to w najgorętsze czasy walki, zawiści i nietolerancyi, posuniętej do najwyższego stopnia! W Niemczech, Anglii, we Włoszech i w Polsce mury były już rozbite, przeszkody zdruzgotane: nowe arcydzieła, jakby nowe słońca, okazywały się codzień; nowy świat jakiś przewiewał umysły z jednego końca Europy w drugi, Francya jedna tylko nie chciała jeszcze wiedzieć nic o sąsiadach, nie znała ich prac, wygwizdywała Szekspira; ciągnięta

za uszy i włosy, nie chciała jednak wyjść ze swego XVII wieku, wypierając się własnych dawniejszych tradycyi i otaczając jakby murem chińskim odosobnienia. Ampère uderzył w ten mur. Tradycye średniowieczne, z których rodził się romantyzm, wiązały Francyę z Niemcami, Włochami i Hiszpanią; Ampère jest więc tam wszędzie, bada nowy kierunek na wszystkich zapoznawanych dotąd polach, szuka słowa zagadki wszędzie, choćby mu w Skandynawii i Meksyku szukać przyszło, i wreszcie pierwszy kładzie naukową pieczęć pod nowem wyznaniem poetycznej wiary, pierwszy mówi z katedry tym wszystkim, którzy aż dotąd nieśmiało tylko wierzyli: możecie wierzyć otwarcie, albowiem rozum i nauka są po waszej stronie.

Po Lèmoine, znakomitym krytyku i po krótkotrwałych wykładach p. Feugère, wyjątkowo poświęconych wiekowi XVII, Paul Albert jest czwartym z kolei profesorem, który o romantyzmie mówić będzie. Dziwnym zbiegiem okoliczności, jakkolwiek walka z klasykami, jak wszędzie, tak i we Francyi, została raz na zawsze ukończoną i o zawrocie do czasów pseudo-klasycznych mowy nawet być nie może, przecie sprawa racyi samego romantyzmu mniej została rozstrzygniętą, zatem więcej do dziś interesującą.

U nas romantyzm, oprócz średniowiecznych tradycyi, wchłonąwszy w siebie utwory wyobraźni ludowej, wsparł się na bardzo szerokiej podstawie,

a przytem, przez swój zwrot potężny ku całemu ogółowi, zmienił do wysokiego stopnia swój charakter, uprawnił się niejako, związał z życiem, stał się istotą i prawdziwą poezyą ogółu. Niema wątpliwości, że miał i u nas wiele złych stron. Bezwątpienia rozluźnił do wysokiego stopnia formę artystyczną i wprowadził pewną swawolę językową, zadowalniającą się przewagą mnóstwa słów nad treścią. Również kazał się często zapalać na zimno do rozmaitych gminnych, do niebywałych istot i bohaterów, do bogów, dawnych bożków litewskich lub pomorskich, w czem nie było żadnej szczerości, bo inna sprawa, jeśli poeta takie rzeczy od ludu i w imię ludu maluje, a inna gdy udaje, że sam w nie wierzy i czytelnikom każe wierzyć. Wprowadzało to pewną modę, pozbawioną wszelkiego rozsądku i prawdy. Z drugiej strony w najwspanialszym nawet swym zwrocie, w tym właśnie, który go związał z życiem i prawdą uczuć całego ogółu, nowy kierunek gdy jako *Gustavus obiit,* a jako *Conradus natus est,* popadł w mistycyzm, nastroił chorobliwie uczucia i wyobraźnie, uchrystusował i ubóstwił wszystko; zdjął z ogółu wszelką odpowiedzialność, zatem zamknął oczy na potrzebę rachowania się i odradzania z win. To wszystko było także winą, ale ze stanowiska społecznego, na którem zatrzymywać się dłużej nie chcę. Swoją drogą zwrot był dokonany: z Gustawa zrodził się Konrad,

a przezeń jedna więcej, zdrowa, życiowa i prawdziwa zasada została zapewniona.

Nic podobnego w znaczeniu ogólnem nie stało się we Francyi. Warunki tu były inne. Romantyzm francuski nie mógł być i nie był czemś tak z wnętrzności narodu francuskiego płynącem i nigdy nie stał się bezpośrednio patryotycznym. Z drugiej strony nie oparł się także na podstawie ludowej, z tej prostej przyczyny, że podstawy tej brakło w samym ludzie. Fantazya ludów słowiańskich, to prawdziwie przeźroczysta powierzchnia jeziora, w której odbija się wszystko: ziemia, pola, lasy, stepy, słońce i gwiazdy. Co więcej, odbicie to nie jest tylko biernem. Z połączeń owych różnych pierwiastków przyrody, z owego popędu dopatrywania w nich żyjącej duszy, z pewnej wrodzonej tym ludom skłonności do mistycyzmu, powstaje tysiące nowych postaci: wil, dziwożon, rusałek i świtezianek, upiorów. Wobec nich porównanie fantazyi do toni jeziora już nie wystarcza. Jest ona raczej zwierciadłem czarnoksięskiem, w którem odbija się nietylko krajobraz, ale jego dusza odgadnięta i w tysiącu kształtów upostaciowana, w którem zmartwychwstaje przeszłość, a nawet przyszłość zarysowywa się w mglistych obrazach.

Weźmy klechdy i bajki polskie, dumy ruskie, epiczne pieśni serbskie, lub niedawno wynalezione bulgarskie! Czyż nie przesuną one przed naszemi oczyma kraju, historyi, hufców, zbrojnych rycerzy

ze skrzydłami, kozaków pławiących się w trawach po pachy, junaków serbskich, Turków, Tatarów, jakichś postaci królewskich, nawpół w przeszłości i bajce rozpłyniętych, a przez wyższe siły wspomaganych? Są to po prostu całe światy wskrzeszone, odgadnięte lub wyśnione. A kto i kiedy te pieśni tworzył? Gdzie są ich autorowie? Doprawdy, mimowoli nasuwa się porównanie, że, jako na piaskach drogowych w czasie ciszy i letniego upału zaczyna się czasem ni stąd ni zowąd kręcić i powstawać ku górze zwichrzony słup pyłu, tak i nad równiną głów ludzkich na Słowiańszczyźnie zrywa się czasem nagle i wystrzela ku niebu pieśń gminna, ta „arka przymierza między dawnemi i nowemi laty".

Bez wszelkiej z góry powziętej chełpliwości powiedzieć można, że mało szczepów odznacza się taką szczególną i twórczą zdolnością poetyczną, a przedewszystkiem nie odznacza się nią lud francuski. Jedni tylko Bretonowie coś tworzą, ale to i język, i tradycya i nastrój duchowy bardzo odrębny. Prowancya, owa „Ruś francuska" jak ją niektórzy nazywają, ma swoją wspaniałą pierwotną literaturę, którąby mogła posłużyć jako dowód przeciwny, gdyby nie to, że po uważniejszym rzucie oka łatwo przekonać się można, że literatura ta nigdy nie była gminną. Wszystkie jej utwory są dziełami literackiemi, czego sama ich forma i sztuczne układanie rymów w assonancye dowodzi. Śpiewali pieśni te trubadurowie, chodząc od zamku do zamku, za

przedmiot uczuć biorąc piękne kasztelanowe, za przedmiot pieśni uczucia. Życia gminnego, jego doli, jego prostoty i wierzeń niema w nich zupełnie. Pytałem o charakter tej literatury ludzi wyłącznie się jej poświęcających i przekonałem się, że żaden z nich nie przyznawał jej charakteru ludowego. O reszcie Francyi mniej jeszcze można powiedzieć. U nas fantazya i poezya ludowa zasila książkową, tu odwrotnie: książkowa ludową. Na dowód mógłbym przytoczyć pieśni, które sam słyszałem w Normandyi, a których znakomita większość literackiego jest pochodzenia. W święta i uroczystości, dziewczyny tworzące korowód śpiewają tam utwory Ponsarda, nie rozumiejąc częstokroć ich znaczenia.

Romantyzmowi francuskiemu brakło więc tej drugiej podstawy żywotnej, jaką zdobył sobie u nas. Pieśni obrzędowe, łączące bezpośrednio poezyę z życiem, wyobrażenia poetyczne gminne, nie podsyciły go tu pierwiastkami prawdy realnej. U nas nadużywano niewątpliwie całego tego aparatu gminnego, mimo tego jednak nie przestał on być ogniwem, wiążącem lud z poezyą, zatem życiową cechą tej ostatniej. We Francyi nowy kierunek nie zwrócił się wcale do ludu. Cóż mu więc pozostało? Oto średniowieczna tradycya, jej zamki, klasztory, rycerze, jej wybujały indywidualizm, uosobiony w postaciach istotnie romantycznych aż do zdziczenia, a następnie tworzenie wedle tych wzorów nowszych już postaci, równie zdziczałych, równie wyjątkowo przeciwsta-

wiających się społeczeństwu, niby dla niego za wielkich, a w gruncie rzeczy chorych na potworny rozrost własnego *ja*, wspaniałych, gdy się bierze z dobrą wiarą, śmiesznych, gdy wionie na nie wiatr sceptycyzmu.

Jeślić teraz zgodzimy się, że poezya szczera i prawdziwa ma przyłożyć ucho do piersi narodowej, podsłuchać bicia serca ludu, pochwycić jego uczucia, porywy i tęsknotę ku temu, co na tym świecie lichym, płaskim, powszednim jest lepszem; jeślić zadanie jej jest dosięgnąć tego, co nie jest dośpiewane i z rozproszonych w całym narodzie pajęczych nici marzeń i myśli utkać wielką a śliczną tkaninę poezyi — to trudno zaprzeczyć, że romantyzm francuski nie spełnił tego zadania. Był on niewątpliwie postępem, bo wywalczył swobodę dla ducha, rozkuł poezyę z kajdan przepisów i wreszcie wprowadził do niej treść nową, o tyle wyższą od dawnej, że ta średniowieczna tradycya była bądź co bądź francuską, nie zaś grecką albo rzymską. Ale, z drugiej strony, rewolucya wykopała przepaść między tymi czasami, a dzisiejszym wiekiem. Zmieniły się pojęcia, wyobrażenia, zmienił się duch narodu do tego stopnia, że te postacie mnichów i rycerzy, pobudki ich uczuć, powody postępków stały się po prostu niezrozumiałymi. Rycerz średniowieczny ze swoją naiwną wiarą w świętych i czarowników, ze swoim ślepym zapałem do życia, ze swemi pojęciami o honorze, zemście, miłości i nienawiści i t. p.,

jest dziś postacią równie obcą, jak każdy klasyczny bohater.

Hernani jest anachronizmem. Dziś trzeba się do takich istot sztucznie nastrajać. Próba zatem tłómaczenia dzisiejszych uczuć i popędów poetycznych zapomocą tradycyi średniowiecznej nie udała się zupełnie. Jednocześnie, wybujały egotyzm tak zwanych dusz dzikich, jak również zapoznanych i zbolałych bohaterów, których romantyzm tysiącami na tle nowszego już życia napłodził, nie mógł ostać się wobec ogólnego sceptycyzmu. Wszystko to, razem wzięte, sprawiło, że romantyzm francuski nie uczynił zadosyć poetycznym potrzebom wieku i narodu. Był i pozostał tylko kierunkiem, i dalej nie jakąś pieśnią z dwóch niewyczerpanych źródlisk: serca i prawdy płynącą, ale przedmiotową sztuką, mającą swe przepisy i ograniczenia. Za wskazówkę, że tak jest, może posłużyć i to, że gdy nasz romantyzm, na szerszych, jak wspomniałem, podstawach oparty i bardziej przenarodowiony chwytał przeważnie za formę liryczną, jako najbardziej popularną, francuski brał szturmem głównie teatr. Po zaciętej walce zwyciężył, ale nie zapanował i obecnie coraz silniejszą budzi reakcyę.

Jest nią naturalizm, czyli zwrot do zwyczajnego codziennego życia, do realnych charakterów i do rzeczywistych stosunków. Zauważono, że życie, takie jak jest, podpatrzone tylko nieco głębiej, dość ma w sobie zagadnień i swoich „być albo nie być!“

aby nad niemi było warto się zastanawiać. Sądzono, że sztuka jeśli zwróci się w tę stronę, nie utraci ani jednego ze swoich efektownych środków działania, a uzyszcze nowy, nieodparty: prawdę. Powstała więc nowa szkoła, która w literaturze jest poniekąd tem, czem była flamandzka w malarstwie. Fantazya poszła w niej już nietylko pod straż prawdopodobieństwa i prawdy, ale poprostu rzeczywistości. Autorom chodziło i chodzi o to, aby przedewszystkiem malować wiernie, by łapać życie na gorącym niejako uczynku, a zadanie to wydało się tak pierwszorzędnem, że wobec niego pomysł, to jest zestawienie faktów i osób, czyli tak zwana bajka wraz ze swoim sensem moralnym, musiała ustąpić pierwszego pola wykonaniu. Nie stawiano wprawdzie tego jako warunek, ale w rzeczywistości w rozwoju dalszym tak wypadło. Zwrot ten uwydatnił się szczególniej w powieściopisarstwie, w którem też, począwszy od Balzaka i Stendhala, a skończywszy na Zoli i Dodecie, potężnych liczy przedstawicieli. Czy jednak klucz do Sezamu został przez to wynaleziony, a nowy wspaniały widnokrąg dla literatury odkryty? Trudno powiedzieć tak! również jak trudno byłoby twierdzić, że poza powszedniem życiem niema już prawdy.

Dla powieści naturalizm był w zasadzie znakomitym, niezbędnym i może jedynym krokiem naprzód. Ale sama treść, nadająca się do jednej formy, nie nadaje się do drugiej. Co jest odpowie-

dniem dla powieści, może nie być odpowiedniem dla poezyi. Jakoż niepodobna zaprzeczyć, że istnieje pewien rozbrat między treścią realnego życia, a formą poezyi, pewien dyssonans, dający się objaśnić tem, że sama forma poezyi, wiersz, rytm, rym, jest już czemś wyżej nastrojonem, niezwykłem i w stosunku do codziennego życia egzaltowanem. Ludzie w zwykłych życiowych warunkach nie mówią rytmicznie, chcieć więc mieć ich rzeczywistymi, a zarazem mówiącymi wierszem, jest takąż samą sprzecznością formy z treścią, jaką widzimy w operze, gdy np. spiskowcy, zamiast szeptać, śpiewają. Dla poezyi więc nowy zwrot musiał być w najlepszym razie wskazówką, zasiłkiem, nigdy odrodzeniem i wstąpieniem na nową drogę. „Ty, łabędziu, latai pod niebem!“ mówił kiedyś do Pindara i o Pindarze Horacy. Jest przytem w masach ludzkich pewna suma dążeń i pragnień oderwania się od rzeczywistego życia, zapomnienia o niem. Doprawdy, pesymiści bardzo zbrzydzili ten świat, a rzeczywistość dopomaga codzień ich filozofii. Ta straszna rozterka między pragnieniem niepohamowanem szczęścia a konieczną niedolą, między wysileniami życia a nieuchronną śmiercią, rodzi ogólny nastrój, w którym człowiek, zmęczony aż nadto życiem, radby, niech na chwilę, o niem zapomnieć i choć w poezyi znaleźć jakieś pierwiastki wieczne, a błogie i kojące. Tym-to wołaniom dusz umęczonych, tym dą-

żeniom i potrzebom, bardzo przecie naturalnym, bo wrodzonym, naturalizm literacki nie czyni zadość.

Co więcej, nie wiem, dlaczego tak jest, ale tak jest: raz stanąwszy na gruncie rzeczywistości, stacza się łatwo, jakby po równi pochyłej, aż tam, gdzie rzeczywistość staje się płaskością, zaczyna wstydzić się każdego uniesienia i każdego porywu. Młodość, jej egzaltowane słowo, jej rumieniec zapału, bijący na twarz, jej skry w oku wydają mu się przesadą. Doprowadzony do krańców, a doprowadzony bywa wszędzie przez jakąś fatalną konieczność, staje się bardziej powszednim i sromotniejszym, niż życie samo. Zatraca się wówczas stopniowo trafny rzut oka na to, co jest prawdą piękną, a co obrzydliwą, i ogólny poziom literatury spada coraz niżej.

Tak stało się we Francyi. Romantyzm jej był zbyt jednostronnym, a naturalizm, o który dziś *Figaro* wydrapuje oczy panu Zoli, przebrał miarę estetyczną, zacieśnił dobrowolnie swoje granice i obniżył własne znaczenie. Weźmy powieść dzisiejszą francuską! Co za brak w niej rzeczywiście wszelkich wyższych idei, podnioślejszych myśli, szerszych pragnień, słowem wszystkiego, z czego się składa poważne i rozwinięte życie! Wojna, miecz, ogień sroży się nad krajem, a w powieści przyjaciel żonę mężowi bałamuci; cesarstwo rozpada się w gruzy, a przyjaciel żonę bałamuci; nastaje rzeczpospolita, walka partyi, korab narodowy, bity

wichrami, chwieje się, przechyla, skrzepi, a przyjaciel żonę bałamuci. Wieczny temat! wieczne toż samo nędzne tuzinkowe życie! wiecznie ciż sami bohaterowie, z których każdy taki sobie pierwszy lepszy frant, dziesięć razy mniej wart nawet od swego autora, i wiarołomna dama i rogaty mąż. O ile wyborna i pewna siebie faktura, o tyle uderzające ubóstwo myśli. Miłość, to odwieczne prawo, to siła życiowa, to dobroczynny geniusz naszego globu: zgoda! Przez nią chaos stał się porządkiem, przez nią kwitną kwiaty, zielenią się drzewa, utrzymują gatunki, rozwija ludzkość, promienieją sztuki piękne, rozegrywa się życie: ani słowa! To najsilniejsze i najstarsze z praw natury może złamać wszystkie inne, wszystkie sztuczne więzy i przeszkody. Można przeciw tej sile mówić, ale oprzeć się jej niepodobna; ona usprawiedliwa i okupuje wszystko, ale to tylko wielka, dogrobowa i niezłamana miłość. Tak ją uważać i uświęcać sztuka i literatura ma prawo. Ale w literaturze francuskiej jej niema. Istnieje tylko romans. Bohaterowi powieściowemu do głowy nawet nie przychodzi powiedzieć uwiedzionej kobiecie: jeśli mnie kochasz, to bądź moją na zawsze, zerwij z mężem, ze światem, ze wszystkiem i pójdź ze mną! Jeśli się komu zdarzy szczęście rozkochać kobietę, a nieszczęście, że ta kobieta jest cudzą żoną, taki człowiek uczciwiej zapewne robi i prawdziwiej kocha, gdy zajrzawszy mężowi w białka oczu, powiada mu:

kocham pańską żonę, zatem nie mogę być pańskim przyjacielem! Miłość idzie wtedy na cenę życia, zatem jest uczuciem prawdziwie drogiem, silnem jak burza, zatem usprawiedliwiającem. Mniejsza jak się dramat skończy, ale dramat dramatem. Że jednak w życiu tak się nie dzieje, że wygodniej jest kochać się w sekrecie, potem się sobie sprzykrzyć i pójść „każde w swoją drogę“ bez hałaśliwych zajść z mężem, że to się częściej zdarza, a przeciwne postępowanie byłoby egzaltacyą — więc powieść francuska realna przyjmuje tylko romans, opisuje i wysławia tylko romans.

Jakże niesłychanie mało jest wyjątków od tego ogólnego prawidła, jakże mało kto wychodzi z tego lichego i płaskiego kółka stosunków towarzyskich i konwencyonalnych, w których rozegrywa się głównie wiarołomstwo! Do nikogo z równą słusznością, jak do większości autorów francuskich, nie możnaby przystosować słów:

„Jego myślą, jego mową
Nie odetchnie pierś szeroka;
Nie pomyśli jego słowa:
Skier nie weźmie z jego oka“.

Mówią o owem wiarołomstwie i jego marnem tle, że jest to umyślne kładzenie palca na ranę społeczną. Nieprawda! Jest to lubowanie się w kwestyi. Cóż u licha! czy niema już o czem lepszem do mówienia? W społeczeństwie więcej jest ran ważniejszych, o których się nie wspomina, a o tej

mówi każda powieść, bo ten jałowy grunt dostarcza pola do opisów, do uderzających realizmem opowiadań, do łapania trafnego charakterów i temperamentów. Odrodzone dziś do pewnego stopnia stronnictwo republikańskie lepsze jest pod tym względem od swej literatury, bo w niem są przecież, prócz uwiedzionych lub uwieść się mających mężatek, jeszcze i inne kobiety, a przedewszystkiem jeszcze inne idee. Jest oto zaraz głuche jakieś przekonanie, że poezya i powieść muszą się zmienić: pierwsza stać się pieśnią narodu, druga wyleźć raz przecie z pod małżeńskiego łóżka; jest jakieś instynktowe poczucie potrzeby, aby cała literatura piękna, zatem cała literatura twórcza weszła na inne drogi, wzięła rozbrat ze zdziczałym egotyzmem, z romansem, a wsiąknęła w siebie nowe myśli i nowe idee, wielkie a godne odradzającego się narodu. Tyle przecie nowych pojęć politycznych, społecznych i filozoficznych krąży w powietrzu. Pojmuje je rozum i stąd rodzi się nauka, ale odczuwa serce i z tych uczuć może wykwitnąć odrodzona literatura. Jak się to stanie i kiedy? trudno powiedzieć. Czują jednak ludzie, że to, co jest, nie wystarcza. Jedni sądzą, że tę reformę zbawienną przeprowadzi właśnie powrócony na szlachetne drogi naturalizm, i w Zoli, który więcej od innych zwrócił się do społecznych zagadnień, widzą jeśli nie odkupiciela, to przynajmniej poprzednika prostującego drogi Pańskie. Inni nic nie widzą; wszyscy

czekają czegoś, a tymczasem biegną, gdzie można słowo nowe usłyszeć, oblegają katedrę filozoficzną pana Caro i literacką Alberta; zajmują się sprawami literackiemi, spierają się sami, wołają o światło.

Wśród tego zamętu nieskrystalizowanych pojęć, wśród tych zapytań: gdzie iść? i tego gwaru gonitwy za nieoznaczonym jeszcze ideałem, białowłosy ojciec romantyzmu, osiwiały bard z Guernesey kładzie od czasu do czasu krzepnące palce na harfę. Słuchają go! Palce stare i harfa może za stara, ale on jeden przynajmniej nie bał się nigdy wielkich idei.

KOMEDYA Z POMYŁEK.

KOMEDYA Z POMYŁEK.

Szkic z życia amerykańskiego.

WSTĘP.

Wypadek, który posłużył mi za przedmiot do niniejszego szkicu, miał podobno istotnie miejsce w jednem z amerykańskich miasteczek. Czy zdarzył się on na wschodzie, czy na zachodzie, nie mogłem się dopytać i naprawdę nic nikomu na tem nie zależy. Być może także, że jaki nowelista amerykański lub niemiecki skorzystał już z niego poprzednio, co według mego zdania, powinno być równo obojętne dla czytelników, jak i kwestya miejscowości.

Korzystając ze swobody autorskiej, opowiadam rzecz jakoby się działa w Kalifornii; przytem będę się starał podać kilka charakterystycznych rysów z tutejszego małomiejskiego życia.

Zdarzyło się przed pięciu lub sześciu laty, że w hrabstwie Marypoza odkryto w pewnej miejscowości źródła nafty. Ogromne zyski, jakie kopalnie podobne przynoszą w Newadzie i w innych Stanach, skłoniły zaraz kilku przedsiębiorców do zawiązania towarzystwa, z celem wyzyskiwania nowo-odkrytych źródeł. Sprowadzono rozmaite maszyny, pompy, dźwignie, drabiny, beczki i beczułki, świdry i kotły: pobudowano domy dla robotników, ochrzczono miejscowość *Struck Oil*, i, po niejakim czasie, w okolicy pustej i bezludnej, którą przed rokiem zamieszkiwały tylko kujoty, stanęła osada złożona z kilkudziesięciu domów i zamieszkana przez kilkuset robotników.

W dwa lata później, Struck Oil nazywało się już *Struck Oil city*. Jakoż było to już „city“ w całem znaczeniu tego wyrazu. Proszę zauważyć, że mieszkał tu już szewc, krawiec, cieśla, kowal, rzeźnik i doktor Francuz, który, w swoim czasie, we Francyi, brody golił, ale zresztą człowiek „uczony“ i nieszkodliwy, co już w amerykańskim doktorze znaczy bardzo wiele.

Doktor, jak się najczęściej zdarza po małych miasteczkach, trzymał zarazem aptekę i pocztę; miał więc potrójną praktykę. Aptekarzem był równie nieszkodliwym, jak doktorem, albowiem w aptece jego można było dostać tylko dwóch lekarstw, syropu cukrowego i leroa. Cichy ten i łagodny staruszek mawiał zwykle swoim pacyentom:

— Nie obawiajcie się nigdy moich lekarstw. Mam zwyczaj, że gdy choremu daję lekarstwo, sam zawsze zażywam taką samą dozę, bo rozumuję sobie, że jeśli ono mnie zdrowemu nie zaszkodzi, to nie zaszkodzi i choremu. Czy nieprawda?

— Prawda — odpowiadali zaspokojeni obywatele, którym nie przychodziło jakoś na myśl, że obowiązkiem doktora jest nietylko nie zaszkodzić choremu ale pomódz.

Pan Dasonville — tak się nazywał doktor — wierzył jednak szczególniej w cudowne skutki leroa. Nieraz, na mityngach, zdejmował kapelusz z głowy i zwracając się do publiczności, mówił:

— Panowie i panie! przekonajcie się, co to jest leroa! Mam lat siedemdziesiąt; czterdzieści lat, jak zażywam codzień leroa i patrzcie: nie mam ani jednego siwego włosa na głowie.

Panie i panowie mogliby znowu zauważyć, że doktor nie miał wprawdzie ani jednego siwego włosa, ale nie miał też żadnego, bo głowa jego była łysa, jak klosz lampy. Ale że uwagi podobne w niczem nie przyczyniły się do wzrostu Struck Oil city, nie robiono więc ich wcale.

Tymczasem Struck Oil city rosło i rosło. Po upływie dwóch lat, przeprowadzono do niego odnogę kolei żelaznej. Miasto już miało swoich urzędników wybieralnych. Doktor, którego lubiono powszechnie, został, jako przedstawiciel intelligencyi, sędzią; szewc, żyd polski, mister *Devis* (Dawid) szeryfem,

to jest naczelnikiem policyi, która składała się z szeryfa i z nikogo więcej; pobudowano szkołę, której kierunek objęła umyślnie sprowadzona „School Malam“ przedwieczna dziewica, mająca wieczną fluksyę; nakoniec stanął pierwszy hotel pod nazwą: United States Hotel.

„Business“ ożywił się także niezmiernie. Wywóz nafty przynosił piękne zyski. Zauważono, że mister Devis kazał pobudować przed swoim składem wystawkę szklaną, podobną do tych, jakie zdobią sklepy szewckie w San-Francisco. Na następnym mityngu, obywatele złożyli publiczne podziękowanie panu Devis za tę „nową ozdobę miasta,“ na które mister Devis odpowiedział ze skromnością wielkiego obywatela: „*Thank you! thank you! Oj wey!*“

Gdzie jest sędzia i szeryf, tam bywają sprawy. Wymaga to pisaniny i papieru, zatem na rogu Cojotesstreet i 1-szej, powstało „*stationery*,“ to jest skład papieru, w którym sprzedawano także dzienniki polityczne i karykatury, przedstawiające Granta w postaci chłopca dojącego krowę, która skolei miała przedstawiać Stany Zjednoczone. Obowiązki szeryfa nie nakazywały mu wcale wzbraniać sprzedaży podobnych rycin, bo to do policyi nie należy.

Ale niekoniec jeszcze na tem. Miasto amerykańskie nie może żyć bez dziennika; po upływie więc roku drugiego, powstało pismo pod tytułem: „*Saturday Weekly Review*“ (Przegląd Sobotni-Ty-

godniowy), liczące tylu prenumeratorów, ilu było mieszkańców w Struck Oil city. Redaktor tego dziennika był zarazem jego wydawcą, drukarzem, administratorem i roznosicielem. Ten ostatni obowiązek przychodził mu tem łatwiej, że, prócz tego, trzymał krowy i każdego rana musiał roznosić mleko po domach. Nie przeszkadzało mu to zresztą wcale rozpoczynać wstępnych artykułów politycznych od słów: „Gdyby nasz podły prezydent Stanów Zjednoczonych poszedł za radą, której udzieliliśmy mu w zeszłym numerze“ i t. d.

Nie brakło więc, jak widzimy, niczego w błogosławionem Struck Oil city. Prócz tego, ponieważ górnicy, trudniący się wydobywaniem nafty, nie odznaczają się ani gwałtownością ani grubymi obyczajami, cechującymi poszukiwaczy złota, było więc w mieście spokojnie. Nikt z nikim się nie pobił, o „*lynchu*“ ani było słychać; życie płynęło spokojnie, jeden dzień był podobny do drugiego, jak dwie krople wody. Rankiem każdy zajmował się „*businessem*“, wieczorem obywatele palili śmiecie na ulicach, i, jeśli nie było mityngu, szli spać, wiedząc, że jutro także będą palić śmiecie wieczorem.

Jedynym kłopotem szeryfa było to, że nie mógł oduczyć obywateli od strzelania z karabinów do dzikich gęsi, przelatujących wieczorami nad miastem. Prawa miejskie zabraniają strzelać na ulicach. „Żeby to była jáka parszywa mieścina, mawiał szeryf, no, to nie mówię; ale w takiem wielkiem

mieście pif! paf! pif! paf! to jest bardzo niepięknie.“

Obywatele słuchali, kiwali głowami, odpowiadali *„o yes!“* ale gdy wieczorem na zarumienionem niebie pojawiły się białe i szare sznury, ciągnące z gór nad ocean, każdy zapominał o przyrzeczeniu, porywał karabin i strzelanina rozpoczynała się na dobre.

Pan Devis mógł wprawdzie zaprowadzić każdego winnego do sędziego, a sędzia mógł go ukarać pieniężnie, ale nie trzeba było zapominać, że winni byli zarazem w razie choroby pacyentami doktora, a w razie podarcia trzewików gośćmi szeryfa; że zaś ręka rękę myje, więc ręka ręce nie robi krzywdy.

Było więc spokojnie w Struck Oil city, jak w niebie; nagle jednak skończyły się te piękne dni.

Grocernik zapłonął śmiertelną nienawiścią do grocerniczki, a grocerniczka do grocernika.

Tu potrzeba może objaśnić, co w Ameryce nazywa się *„grocery.“* Grocery tedy, czyli grocernia, jest to sklep sprzedający wszystko. Można tam dostać mąki, kapeluszy, cygar, mioteł, guzików, ryżu, sardynek, koszul, słoniny, nasion, bluz, spodni, szkieł do lamp, siekier, sucharków, talerzy, papierowych kołnierzyków, suszonych ryb, słowem wszystkiego, czego człowiek może zapotrzebować. Z początku była tylko jedna grocernia w Struck Oil city. Trzy-

mał ją Niemiec, imieniem Hans Kasche. Był to sobie flegmatyczny Niemiec rodem z Prus; miał lat trzydzieści pięć i wyłupiaste oczy; nie był otyły, ale dość zażywny; chodził zawsze bez surduta i fajki nigdy nie wypuszczał z zębów. Po angielsku umiał tyle ile potrzeba było do *„businessu“*, zresztą ani w ząb. Handel jednak prowadził dobrze, tak że po roku mówiono już w Struck Oil city, że „był wart“ kilka tysięcy dolarów.

Nagle jednak pojawiła się druga grocernia.

I, dziwna rzecz! Pierwszą trzymał Niemiec, drugą założyła Niemka. *Kunegunde und Eduard, Eduard und Kunegunde!* Zaraz tedy rozpoczęła się między obiema stronami wojna, rozpoczęła się od tego, że panna Neuman, czyli, jak się sama nazywała „Niumen,“ dała na powitalny *„lunch“* placki pieczone, z mąki pomieszanej z sodą i ałunem. Byłaby tem zaszkodziła najwięcej samej sobie w opinii obywateli, gdyby nie to, iż sama utrzymywała i stawiała świadków, że ponieważ jej mąka nie była jeszcze rozpakowana, więc tę kupiła od Hansa Kasche. Wyszło więc na to, że Hans Kasche jest zazdrośnik i nikczemnik, który zaraz z początku chciał zgubić swoją rywalkę w opinii publicznej. Zresztą było do przewidzenia, że dwie grocernie będą rywalizować ze sobą, ale nikt nie przewidywał, że rywalizacya przejdzie w straszną nienawiść osobistą. Nienawiść ta posunęła się wkrótce do tego stopnia, że Hans palił śmiecie tylko wtedy, gdy

wiatr wwiewał dym do sklepu jego przeciwniczki; przeciwniczka zaś nie nazywała inaczej Hansa jak „Doczmęn“ (Niemiec), co tenże poczytywał sobie za największą obelgę. Z początku mieszkańcy śmieli się z obojga, tembardziej, że żadne nie umiało po angielsku; powoli jednak, skutkiem codziennych stosunków z grocerniami, wytworzyły się w mieście dwie partye Hansistów i Neumanistów, które poczęły patrzeć na siebie krzywem okiem, co mogło zaszkodzić szczęściu i spokojności rzeczypospolitej Struck Oil city i sprowadzić groźne na przyszłość zawikłania. Głęboki polityk mr. Devis, pragnął leczyć złe u źródła, więc starał się pogodzić Niemkę z Niemcem. Bywało nieraz, stanie na środku ulicy i mówi do nich rodowitym językiem:

— No! co się będziecie kłócić? Czy to nie u jednego szewca kupujecie trzewiki? Mam teraz takie, że w całem San-Francisco niema lepszych.

— Próżno chwalić trzewiki przed tym, który niedługo będzie bez butów chodził — przerywała kwaśno panna Neuman.

— Ja nie robię sobie kredytu nogami — odpowiadał flegmatycznie Hans.

A trzeba było wiedzieć, że panna Neuman, chociaż Niemka, miała istotnie piękne nogi; więc takie przycinki napełniały jej serce śmiertelnym gniewem.

W mieście dwie partye poczęły już i na mityngach poruszać sprawę Hansa i panny Neuman;

ponieważ jednak w Ameryce nikt w sprawie z kobietą nie znajdzie sprawiedliwości, większość więc przechyliła się na stronę panny Neuman.

Wkrótce Hans obejrzał się, że jego grocernia zaledwie mu się opłaca.

Ale i panna Neuman nie robiła zbyt świetnych interesów, bo znowu wszystkie kobiety z miasta trzymały stronę Hansa; zauważyły bowiem, że ich mężowie zbyt często robią sprawunki u pięknej Niemki i za każdym sprawunkiem siedzą zadługo.

Gdy nikogo nie było w żadnym ze sklepów, Hans i panna Neuman stawali we drzwiach, jedno naprzeciw drugiego, rzucając sobie wzajem spojrzenia pełne zajadłości. Panna Neuman śpiewała wówczas sobie na nutę *mein liber Augustin:*

— *Doczmen, Doczmen, Do — Doczmen, Do — Doczmen — men!*

Pan Hans patrzył na jej nogi, potem na figurę, potem na twarz z takim wyrazem, z jakimby patrzył np. na zabitego przed miesiącem kujotę; potem, wybuchnąwszy piekielnym śmiechem, wykrzykiwał:

— *By God!*

Nienawiść w tym flegmatycznym człowieku doszła do tego stopnia, że gdy rano ukazał się przed drzwiami, a panny Neuman nie było, kręcił się, jakby mu czego brakło.

Dawno już miałyby miejsce między nimi pewne zajścia czynne, gdyby nie to, iż Hans był pewny

przegranej w każdej urzędowej sprawie, a to tembardziej, że panna Neuman miała za sobą redaktora „*Saturday Weekly Review*“. Hans przekonał się o tem, gdy rozpuścił wieść, że panna Neuman nosi biust sztuczny. Było to nawet prawdopodobne, bo w Ameryce zwyczaj to powszechny. Na następny tydzień jednak w „*Saturday Weekly Review*“ pojawił się piorunujący artykuł, w którym redaktor, mówiąc ogólnie o potwarzach „Doczmenów“, kończył zapewnieniem uroczystem, jako „dobrze poinformowany,“ że biust pewnej spotwarzonej lady jest prawdziwy.

Odtąd pan Hans pijał co rano czarną kawę zamiast białej, nie chciał bowiem brać już mleka od redaktora, ale za to panna Neuman brała stale dwie porcye. Prócz tego kazała sobie uszyć krawcowi suknię, której forma stanika przekonała ostatecznie wszystkich, że Hans był potwarcą.

Hans, wobec chytrości niewieściej, uczuł się bezbronnym; a tymczasem Niemka, stając przed sklepem każdego ranka, śpiewywała coraz głośniej:

— *Doczmen, Doczmen, Do — Doczmen, Do — Doczmen — men.*

— Co ja jej mogę zrobić? — myślał Hans. — Mam zatrutą pszenicę na szczury, choćbym też jej kury wytruł? Nie! Każą mi zapłacić! Ale wiem co zrobię.

I wieczorem panna Neuman, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, spostrzegła pana Hansa, znoszącego pęki

dzikich słoneczników i układającego je, jakoby w ścieżkę pod zakratowanem okienkiem piwnicy. „Ciekawam co to będzie“ myślała sobie. „Pewno coś przeciw mnie!“ A tymczasem ściemniło się. Pan Hans ułożył słoneczniki w dwie linie, tak, że środkiem tylko zostawała wolna droga do okienka piwnicy; potem wyniósł jakiś przedmiot okryty płótnem, obrócił się plecami do panny Neuman, płótno z tajemniczego przedmiotu zdjął, pokrył go liśćmi ze słoneczników, następnie zbliżył się do muru i począł kreślić na nim jakieś litery.

Panna Neuman umierała z ciekawości.

— Pewno na mnie coś pisze — myślała; — ale niech tylko wszyscy spać pójdą, pójdę zobaczyć, choćbym miała skonać.

Hans, skończywszy robotę, poszedł na górę i wkrótce zagasił światło. Wówczas panna Neuman zarzuciła na prędce na siebie szlafroczek, wdziała pantofle na gołe nogi i dalejże przez ulicę. Doszedłszy do słoneczników, szła prosto ścieżką do okienka, chcąc przeczytać napis na ścianie. Nagle oczy jej wyszły na wierzch, rzuciła się wierzchnią połową ciała wstecz, a z ust wyrwało jej się bolesne: „Aj! aj!“ potem zaś rozpaczliwy okrzyk: „Ratunku! ratunku!!!“

Okno na górze podniosło się do góry.

— *Was ist das?* — rozległ się spokojnie głos Hansa. — *Was ist das?*

— Doczmenie przeklęty! — wrzeszczała panna —

zamordowałeś mnie, zgubiłeś! Jutro będziesz wisiał. Ratunku! ratunku!

— Zaraz schodzę — rzekł Hans.

Jakoż po chwili ukazał się ze świecą w ręku. Spojrzał na pannę Neuman, która stała jak przygwożdżona do ziemi, poczem wziął się pod boki i począł się śmiać:

— Co to? To panna Neuman? Ha! ha! ha! Dobry wieczór pannie! Ha! ha! ha! Zastawiłem żelaza na skunksy, a złapałem pannę! Pocoś panna przyszła zaglądać do mojej piwnicy? Umyślnie napisałem na ścianie ostrzeżenie, żeby się nie zbliżać. Krzycz teraz panna; niech się ludzie zlecą; niech wszyscy widzą, że nocami przychodzisz zaglądać do piwnicy Doczmena. *O mein Gott!* krzycz, ale postój sobie aż do rana. Dobranoc pannie, dobranoc!

Położenie panny Neuman było okropne. Krzyczeć? ludzie się zlecą; kompromitacya! nie krzyczeć? stać całą noc złapana w żelaza, a na drugi dzień dać z siebie widowisko?... A tu noga boli coraz bardziej... W głowie jej się zakręciło, gwiazdy pomieszały się ze sobą, księżyc ze złowrogą twarzą pana Hansa: zemdlała.

— *Herr je!* — wykrzyknął do siebie Hans — jeśli umrze, to jutro „zlynczują mnie bez sądu".

I włosy powstały mu na głowie ze strachu.

Nie było rady. Hans poszukał czemprędzej klucza, aby otworzyć żelazo, ale nie łatwo było otworzyć, bo przeszkadzał mu szlafrok panny Neuman.

Trzeba było go trochę zwinąć i... mimo całej nienawiści i strachu, Hans nie mógł się wstrzymać od rzucenia oczyma na piękne, jak gdyby marmurowe, nóżki swej nieprzyjaciółki, oświetlone blaskiem czerwonego miesiąca.

Mógłby ktoś powiedzieć, że w nienawiści jego była teraz litość. Otworzył prędko żelazo, a że panna nie poruszała się jeszcze, więc wziął ją na ręce i zaniósł prędko do jej mieszkania. Po drodze znów czuł litość. Potem wrócił do siebie i całą noc nie mógł oka zmrużyć.

Nazajutrz panna Neuman nie pojawiła się przed swoją grocernią w celu śpiewania: *Doczmen, Doczmen, Do — Doczmen.* Może się wstydziła, a może knuła w milczeniu zemstę.

Pokazało się, że knuła zemstę. Wieczorem tegoż jeszcze dnia, redaktor *S. W. Review,* wyzwał Hansa na kułaki i, zaraz na początku walki, podbił mu oko. Hans jednak, przywiedziony do rozpaczy zadał mu tyle straszliwych ciosów, że po krótkim daremnym oporze, redaktor padł jak długi, wołając: *enough! enough!* (dosyć! dosyć!)

Niewiadomo jakim sposobem, bo nie przez Hansa, całe miasto dowiedziało się o wypadku nocnym panny Neuman. Po walce z redaktorem, w sercu Hansa znowu zniknęła litość dla nieprzyjaciółki, a pozostała tylko nienawiść.

Hans przeczuwał, że go spotka jakiś niespodziewany cios z nienawistnej ręki, jakoż niedługo

nań czekał. Właściciele grocerni przylepiają często przed sklepami ogłoszenia o rozmaitych towarach, zatytułowane zwykle „*Notice*“. Z drugiej strony trzeba wiedzieć, że grocernie sprzedają zwykle szynkom lód, bez którego żaden Amerykanin nie pije ani whisky, ani piwa. Otóż nagle Hans zauważył, że przestano brać u niego lód zupełnie. Ogrome kawały, jakie sprowadził koleją, złożone w piwnicy, stopniały: szkody było na kilkanaście dolarów. Dlaczego? jak? co? Hans widział, że nawet jego stronnicy brali codziennie lód u panny Neuman; nie rozumiał więc co się to znaczy, tem mniej, że się z żadnym szynkarzem nie pogniewał.

Postanowił tę rzecz wyjaśnić.

— Dlaczego nie bierzecie ode mnie lodu? — spytał łamaną angielszczyzną szynkarza Petersa, który właśnie przechodził koło jego sklepu.

— Bo go nie trzymacie.

— Jakto nie trzymam?

— No, bo ja wiem.

— *Aber* ja trzymam lód.

— A to co? — rzekł szynkarz, ukazując palcem na ogłoszenie przylepione na domu.

Hans spojrzał i zzieleniał ze złości. W jego ogłoszeniu ktoś w wyrazie „*Notice*“ wydrapał *t* ze środka, skutkiem czego z „*Notice*“ zrobiło się „*Noice*,“ co po angielsku znaczy: niema lodu.

— *Donnerwetter!* — wykrzyknął Hans i cały siny i drżący wpadł do sklepu panny Neuman.

— To jest nikczemność! — krzyczał zapieniony. — Czemuś mi panna wydrapała literę ze środka?

— Com panu wydrapała ze środka? — spytała zgłupia-frant panna Neuman.

— Literę mówię: *t*, mówię! Wydrapałaś mi panna *t! Aber goddam!* to nie może być dłużej. Panna mi musisz zapłacić za lód! *Goddam! goddam!*

I straciwszy zwykłą zimną krew, począł wrzeszczeć jak opętany; na to panna Neuman w krzyk: ludzi się nazlatywało:

— Ratujcie! — wołała panna Neuman. — Doczmen zwaryował! Mówi, żem mu coś wydrapała ze środka, a ja mu nic nie wydrapałam. Com mu miała wydrapać? nic nie wydrapałam. O! na Boga! wydrapałabym mu oczy, żebym mogła, ale nic więcej. Ja biedna kobieta, sama! on mnie tu zabije, zamorduje!

Tak krzycząc, zalała się rzewnemi łzami. Amerykanie nie zrozumieli wprawdzie o co chodzi, ale Amerykanie nie znoszą łez kobiecych, więc Niemca za łeb i za drzwi. Chciał się opierać: gdzietam! wyleciał jak z procy, przeleciał przez ulicę, wleciał we własne drzwi i upadł jak długi.

W tydzień potem, nad sklepem jego wisiał ogromny malowniczy szyld. Szyld przedstawiał małpę, ubraną w pasiastą sukienkę, biały fartuszek z naramiennikami: słowem zupełnie jak panna Neuman. Pod spodem stał napis wielkiemi żółtemi literami:

„Grocernia pod małpą.“

Ludzi nasechodziło się oglądać. Śmiechy wywabiły pannę Neuman przede drzwi. Wyszła, spojrzała, zbladła, ale nie straciwszy przytomności, zawołała zaraz:

— Grocernia pod małpą? Nic dziwnego, bo pan Kasche mieszka nad grocernią. Ha!

Cios jednak trafił ją w serce. W południe słyszała, jak tłumy dzieci, przechodząc koło sklepów ze szkoły, zatrzymywały się przed szyldem, wołając:

— *O! that's miss Neuman! Good morning miss Neuman!*

Tego było zanadto. Wieczorem, gdy przyszedł do niej redaktor, rzekła mu:

— Ta małpa, to ja! wiem, że ja, ale nie daruję swego. Musi on zdjąć i zlizać tę małpę własnym językiem przy mnie.

— Co panna chcesz robić?

— Idę zaraz do sędziego.

— Jakto zaraz?

— Jutro.

Rankiem wyszła i zbliżywszy się do Hansa, rzekła:

— Słuchaj, panie Doezmenie! wiem, że ta małpa to ja, ale pójdź-no ze mną do sędziego. Zobaczymy, co on na to powie.

— Powie, że wolno mi malować nad moim sklepem, co mi się podoba.

— Zobaczymy to zaraz.

Panna Neuman ledwo mogła oddychać.

— A skąd panna wie, że ta małpa to panna?

— Sumienie mi to mówi. Pójdź, pójdź do sędziego, a nie, to cię szeryf w kajdanach zaprowadzi.

— Dobrze, pójdę — rzekł Hans, pewny wygranej.

Poprzymykali sklepy i poszli, wymyślając sobie po drodze. Dopiero przy samych drzwiach sędziego Dasonvilla przypomnieli sobie, że oboje nie umieją dość po angielsku, aby sprawę wytłómaczyć. Co tu robić? Ot szeryf, jako żyd polski, umie i po niemiecku i po angielsku. Dalejże do szeryfa.

Ale szeryf siedział właśnie na wozie i zabierał się do wyjazdu.

— Idźcie do *devil!* — krzyknął prędko. — Całe miasto przez was niespokojne! Chodzicie w jednych trzewikach po całych latach! Ja jadę po „*lumber*“. *Good bye!*

I pojechał.

Hans wziął się pod boki.

— Musisz panna czekać do jutra — rzekł flegmatycznie.

— Ja mam czekać? Pierwej umrę. Chyba że zdejmiesz pan małpę.

— Nie zdejmę małpy.

— To będziesz pan wisiał! Będziesz wisiał,

Doczmenie! Obejdzie się i bez szeryfa. Sędzia i tak wie, o co nam chodzi.

— A to pójdźmy i bez szeryfa — rzekł Niemiec.

Pana Neuman myliła się jednak. Jeden tylko sędzia w całem mieście nie wiedział ani słowa o ich kłótniach. Bogu ducha winien, staruszek przyrządzał swoje leroa i zdawało mu się, że świat zbawia.

Przyjął ich, jak zwykle przyjmował każdego, z dobrocią i grzecznie:

— Pokażcie języki, moje dzieci!... — rzekł. — Zapiszę wam tu zaraz....

Oboje zaczęli machać rękoma na znak, że nie chcą lekarstw. Panna Neuman powtarzała:

— Nie tego potrzeba, nie tego!

— Więc czego?

Gadali jedno przez drugie. Co Hans słowo, to panna dziesięć. Nareszcie Niemka wpadła na koncept pokazać na serce, na znak, że je pan Hans przebił siedmioma mieczami.

— Rozumiem! rozumiem teraz! — rzekł doktor.

Poczem otworzył książkę i jął pisać. Spytał Hansa ile ma lat? — Trzydzieści sześć. Spytał panny — nie pamiętała dokładnie: tak coś koło dwudziestu pięciu. *All right!* Jakie są ich imiona? — Hans Lora. *All right!* Czem się trudnią? — mają grocernie. *All right!* Potem jeszcze jakieś pytania. Nie zrozumieli oboje, ale odpowiadali *yes*. Doktor kiwnął głową. Wszystko skończone.

Skończywszy pisać, wstał i nagle, ku wielkiemu zdziwieniu Lory, objął ją wpół i pocałował.

Wzięła to sobie za dobrą wróżbę i pełna różowych nadziei, poszła do domu.

Po drodze powiada do Hansa:

— Ja panu pokażę.

— Pokażesz panna komu innemu! — odparł spokojnie Niemiec.

Nazajutrz rano przyszedł szeryf przed sklepy. Oboje stali przede drzwiami. Hans pykał fajkę, panna śpiewała:

Doczmen, Doczmen, Do — Doczmen, Do — Doczmen — men.

— Chcecie iść do sędziego? — spytał szeryf.

— Jużeśmy byli.

— No i co?

— Mój szeryfku mój panie Dewisku! — zawołała panna — pójdźcie się dowiedzieć. Potrzebuję własnie trzewików. A przemówcie tam za mną słówko do sędziego. Widzicie, ja biedna dziewczyna... sama...

Szeryf poszedł i w kwadrans wrócił. Ale niewiadomo dlaczego wrócił otoczony tłumem ludzi.

— No co? no jak? — poczęli wypytywać oboje.

— Wsistko dobrze, oh! — rzekł szeryf.

— No, co sędzia zrobił?...

— Ny, co miał złego zrobić? On was pożenił.

— Pożenił?!!

— Albo to się ludzie nie żenią?

Żeby piorun nagle trzasł, Hans i panna Neuman nie przeraziliby się do tego stopnia. Hans wytrzeszył oczy, otworzył usta, wywiesił język i spoglądał jak głupi na pannę Neuman, a panna Neuman wytrzeszczyła oczy, otworzyła usta, wywiesiła język i spoglądała jak głupia na pana Hansa. Osłupieli, skamienieli. Potem oboje w krzyk.

— Ja mam być jego żoną!?

— Ja mam być jej mężem!?

— Gwałtu! gwałtu! Nigdy! Zaraz do rozwodu! Ja nie chcę!

— Nie, to ja nie chcę!

— Pierwej umrzeć! gwałtu! Rozwód, rozwód, do rozwodu! Co to się dzieje!

— Moi kochani — rzekł spokojnie szeryf — co tu pomoże krzyk?... Sędzia daje ślub, ale sędzia nie daje rozwodu. Na co krzyczeć? Czy to wy milionerzy ze San-Francisco, żebyście brali rozwód? Czy wy nie wiecie co to kosztuje? Aj! Co tu krzyczeć? Mam piękne trzewiki dziecinne; tanio sprzedaję! *Good bye!*

To rzekłszy, odszedł. Ludzie, śmiejąc się, porozchodzili się także; nowożeńcy pozostali sami.

— To ten Francuz — wykrzyknęła panna-mężatka — naumyślnie nam to zrobił, bośmy Niemcy!

— *Richtig* — odpowiedział Hans.

— Ale pójdziemy do rozwodu!

— Ja pierwszy! pannaś mi wydrapała *t* ze środka!

— Nie! ja pierwsza! paneś mnie w żelaza złapał.

— Ja panny nie chcę.

— Ja pana nie cierpię.

Porozchodzili się i pozamykali sklepy. Ona siedziała u siebie, rozmyślając cały dzień, on u siebie. Przyszła noc. Noc przynosi spokój. Oboje jednak nie mogli myśleć o śnie. Położyli się, ale oczy im się nie kleiły. On myślał: „Tam śpi moja żona.“ Ona: „Tam śpi mój mąż!“ I dziwne jakieś uczucia rodziły im się w sercach. Była to nienawiść, gniew w połączeniu z poczuciem samotności. Prócz tego pan Hans myślał o swojej małpie nad sklepem. Jak ją tu trzymać, kiedy to teraz karykatura jego żony? I wydało mu się, że zrobił bardzo brzydką rzecz, kazawszy wymalować tę małpę. Ale znowu ta panna Neuman! Przecie on jej nienawidzi. To przez nią lód jego stopniał. On ją przecie złapał po księżycu w żelaza. Tu znowu na myśl przyszły mu owe kształty, widziane przy blasku księżyca. „No, co prawda, to ona tęga dziewczyna (myślał). Ale ona mnie nie cierpi i ja jej.“ Oto położenie! Ach *Herr Gott!* Ożenił się? I z kim? z panną Neuman! A tu rozwód tyle kosztuje! cała grocernia nie starczy!

— Ja jestem żoną tego Doczmena — mówiła sobie panna Neuman. Ja już nie panna... t. j. chciałam powiedzieć: panna, ale poszłam za mąż! Za kogo? Za Kaschego, który mnie złapał w że-

laza. Prawda i to... że wziął mnie wpół i odniósł na górę. A jaki mocny! Ot! tak sobie wziął mnie wpół... Co to jest? tu jakiś szelest?

Szelestu nie było żadnego, ale panna Neuman poczęła się bać, choć poprzednio nigdy się nie bała.

— Gdyby on jednak ośmielił się teraz... Boże!

Potem jednak dodała głosem, w którym brzmiała dziwna jakaś nuta rozczarowania...

— Ale on się nie ośmieli. On...

Z tem wszystkiem bojaźń jej wzmagała się. „To tak zawsze kobiecie samej! myślała dalej. Gdyby tu był jaki mężczyzna, byłoby bezpieczniej. Słyszałam o jakichś zabójstwach w okolicy (o zabójstwach panna Neuman nie słyszała). Przysięgam, że mnie tu kiedy zabiją. Ach, ten Kasche! ten Kasche! zamknął mi drogę. Trzeba jednak naradzić się o rozwodzie.“

Tak myśląc, przewracała się bezsennie po szerokiem amerykańskiem łożu i istotnie czuła się bardzo samotną. Nagle zerwała się znowu. Tym razem przestrach jej miał powód rzeczywisty. W ciszy nocnej słychać było wyraźne stukanie młotka.

– Jezus! — krzyknęła panna — dobierają się do mojej grocerni!

To rzekłszy, wyskoczyła z łóżka i pobiegła do okna, ale spojrzawszy w nie, uspokoiła się zaraz. Przy świetle księżyca widać było drabinę, a na niej okrągłe białe kształty Hansa, odbijającego młotkiem gwoździe podtrzymujące szyld z małpą.

Panna Neuman otworzyła ścicha okno.

— Jednak zdejmuje małpę, to poczciwie z jego strony! — pomyślała.

I czuła nagle jakby jej coś topniało koło serca.

Hans wyciągnął powoli gwoździe. Blacha z brzękiem upadła na ziemię; wówczas zlazł, odbił ramy, zwinął blachę w trąbkę w żylastych rękach i począł odstawiać drabinę.

Panna śledziła go oczyma... Noc była cicha, ciepła...

— Panie Hans — szepnęła nagle dziewica.

— To panna nie śpi? — odszeptał równie cicho Hans.

— Nie! dobry wieczór panu!

— Dobry wieczór pannie.

— Co pan robi?

— Zdejmuję małpę.

— Dziękuję panu, panie Hans.

Chwila milczenia.

— Panie Hans! — zaszemrał znowu głos panieński.

— Co? panno Loro.

— Musimy naradzić się o rozwodzie.

— Tak, panno Loro.

— Jutro?

— Jutro.

Chwila milczenia, księżyc się śmieje, psy nie szczekają.

— Panie Hans!

— Co? panno Loro.

— Bo mnieby pilno wziąć ten rozwód...

Głos panny brzmiał melancholicznie...

— I mnie, panno Loro!

Głos Hansa był smutny.

— Bo to, widzi pan, żeby nie zwłóczyć...

— Najlepiej nie zwłóczyć.

— Imby się prędzej naradzić, temby lepiej.

— Tem lepiej, panno Loro.

— To możemy się zaraz naradzić...

— Jeśli panna pozwoli...

— To pan przyjdzie do mnie...

— Tylko się ubiorę.

— Nie trzeba ceremonii.

Drzwi na dole otworzyły się, pan Hans znikł w ciemnościach, a po chwili znalazł się w panieńskim pokoiku cichym, ciepłym, schludnym. Panna Lora miała biały szlafroczek i była zachwycająca.

— Słucham panny — rzekł Hans złamanym, miękkim głosem.

— Ale, bo to widzi pan, jabym bardzo chciała wziąć rozwód, ale... boję się, żeby nas kto z ulicy nie zobaczył.

— Wszak ciemno w oknach... — rzekł Hans.

— Ach! prawda! — odparła panna...

Wówczasto zaczęła się narada o rozwodzie, która już do opowiadania nie należy.

Spokój powrócił do Struck Oil city.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

SPIS PRZEDMIOTÓW

tomu trzeciego.

	str.
VIII. Szkice amerykańskie	1
IX. Szkice amerykańckie	49
X. Szkice amerykańskie	94
XI. Szkice amerykańskie	144
List z Rzymu	189
Z Wenecyi	206
Z Paryża	222
Komedya z pomyłek. Szkic z życia amerykańskiego	241